

**FOTOWOLTAIKA
MA POD PRĄD**

**CYWILIZACJA
ŻARCIA**

**WIELKA GRA: NIEMCY
KONTRA WATYKAN**

**RYSIE
WRACAJĄ**

Kraków 28 maja 2023 nr 22 (3855)

ceną 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

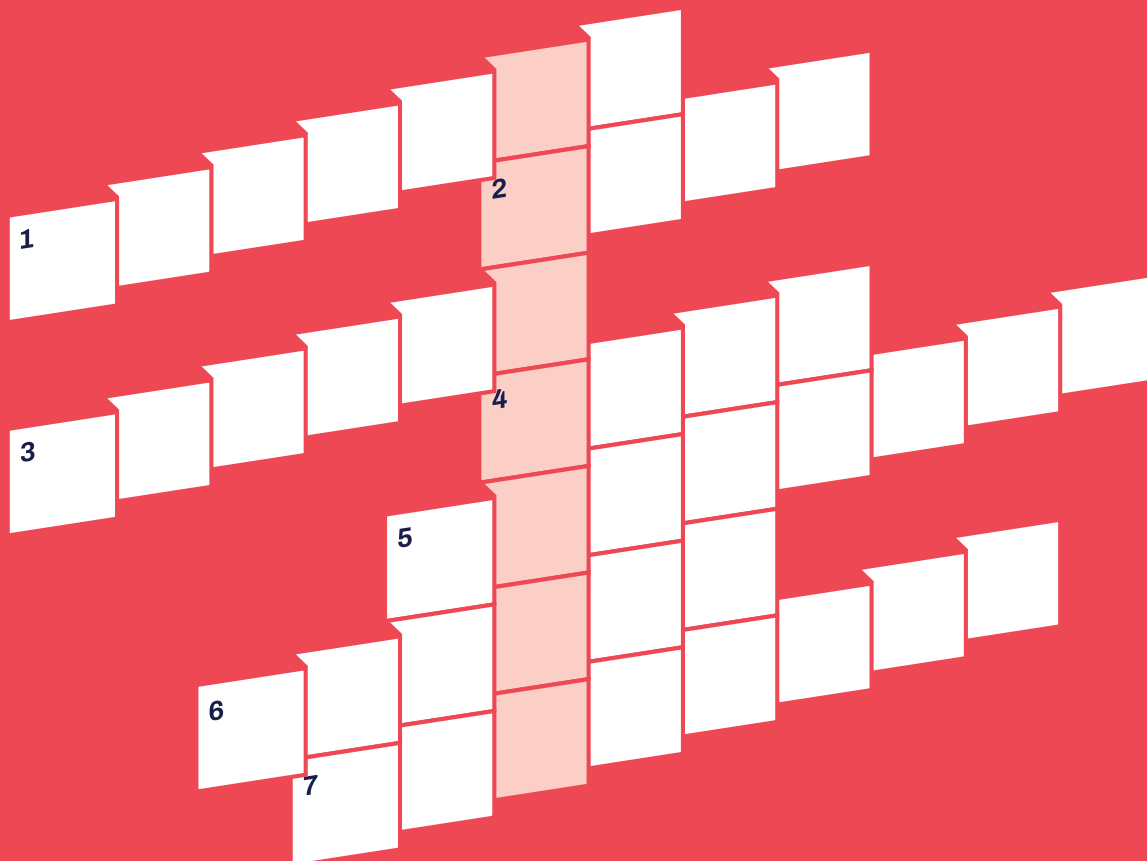
Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Nieznane twarze Andrzeja Dudy

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



MNW 11/05–
27/08/2023
kolekcjonuje
Zakupy z lat 2017–2022



**Przyjdź na wystawę,
rozwiąż krzyżówkę,
kup katalog z rabatem!**

PRZYJDŹ Z ROZWIĄZANĄ KRZYŻÓWKĄ DO KSIĘGARNI MNW I ODBIERZ 10 ZŁ RABATU
NA KATALOG WYSTAWY. PROMOCJA OBOWIĄZUJE DO 30/07/2023.

1. Właściciel „Firmy Portretowej”.
2. Autor krzesła H106, „Pajaka”.
3. Tam niemiecka fabryka porcelany.
4. Hiszpański malarz sabatu czarownic.
5. August, słynny polski rzeźbiarz.
6. Leży w instalacji duetu Kijewski/Kocur.
7. Autorka „Autoportretu niedokończonego”.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA
NARODOWEGO, PROF. DR. HAB. PIOTRA GLIŃSKIEGO

Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

MECENASI MUZEUM



PARTNERZY MUZEUM



PARTNER STRATEGICZNY MUZEUM



WSPÓŁPRACA

AkzoNobel

KS. ADAM

Boniecki: Zmiany

PROBLEM JEST JASNY: KOŚCIOŁOWI POTRZEBNE jest nowe (lub odnowione) zaprezentowanie swojej obecności w świecie, który jest daleki od patrzenia na siebie w kategoriach religijnych. Laickie spojrzenie na świat w ogóle, a na człowieka w szczególności, zdaje się odsuwać w cień wszelką interpretację religijną. Z drugiej jednak strony, nie sposób człowieka – także dzisiejszego – pozbawić odwoływania się do wiary. Trudności zaczynają się wtedy, gdy w miejsce religijności wchodzi pseudoreligijne wyobrażenia. Chrześcijaństwo ze swoimi obietnicami i grzechami zostało wymieszane z obyczajem, który ma niewiele z nim wspólnego albo jest totalną negacją nauki Chrystusa.

Artykuł Edwarda Augustyna „Kościoł na biegunach”, choć ujęty w sposób możliwie ostrożny i biorący pod uwagę wszystkie działające w Kościele siły, musi budzić niepokój ludzi oddanych dzisiejszej postaci Kościoła. Z jednej strony, wiele kwestii postrzegamy dziś – jak się wydaje – w nowy sposób, jak choćby kwestię osób LGBT+, z drugiej – dość jednoznacznie interpretowane są zalecenia Ewangelii. Czy rzeczywiście „każda poważna reforma pokazuje, że to, co miało być nienaruszalne, dało się naruszyć”? Wciąż – jak sądzę – pozostaje przecież pewien nienaruszalny trzon nauczania, mimo wszystko.

Droga Synodalna wypracowana przez Kościół w Niemczech z jednej strony kontra odmienne propozycje wysunięte przez inne Kościoły – tak się może jawić najbliższy synod biskupów. Warto przypomnieć, że choć dorobek synodu nie wiąże ostatecznie papieża, który pozostaje wolny w finalnym przedstawieniu synodalnego dorobku, to przecież nie może być wyrzucony po prostu do kosza. „Chodzi o sposób funk-



cjonowania Kościoła” – zauważa Edward Augustyn. Również dlatego ten synod niewątpliwie będzie burzliwy. Papież przyznał na nim prawo głosu świeckim, co z jednej strony jest otwarciem na nowe propozycje, z drugiej – na komplikacje, których papież Franciszek wyraźnie się nie obawia. Ma on – jak wspomniałem – ostateczny głos w sprawie przyjęcia czy nieprzyjęcia propozycji, jednak wolność ta jest ograniczona różnego rodzaju okolicznościami.

Tak czy inaczej zmiany w Kościele i w traktowaniu doktryny katolickiej będą postępować. Sądzę, że pierwszym tego symptomem będzie (jest) spadek liczby księży także w tych rejonach świata, gdzie było ich dotąd wielu. To może, choć nie musi, wzmocnić rolę ludzi świeckich, tych, co pozostali, oraz (znacznie mniej licznych niż dziś) księży. Kolejnym zjawiskiem będzie pogorszenie się sytuacji materialnej Kościoła. Coś także się stanie z systemem nauczania prawd wiary. Spadnie liczba tzw. praktykujących, czyli osób chodzących przynajmniej od czasu do czasu do kościoła, liczba dzieci pierwszokomunijnych, liczba wiernych. Nie twierdzę, że będzie to rozpoczynanie chrześcijaństwa od początku, ale zejdziemy, różnie w różnych krajach, do liczb znacznie niższych niż w przeszłości. Może to nakazywałoby alarm, jednak przed alarmem warto się uważnie przyglądnąć temu, jak było wcześniej, w czasach „sytości”. Bo być może potęga ówczesnego chrześcijaństwa była tylko iluzją władzy.

Ale nie sądzę, by same reformy instytucji (oczywiście są one konieczne) mogły uratować Kościół. Uratuje go tylko jego świętość. Nie mówię: świętość wszystkich ludzi Kościoła, lecz choćby tych, którzy nim kierują. Tak, to świętość uratuje Kościół. Albo nic go nie uratuje.

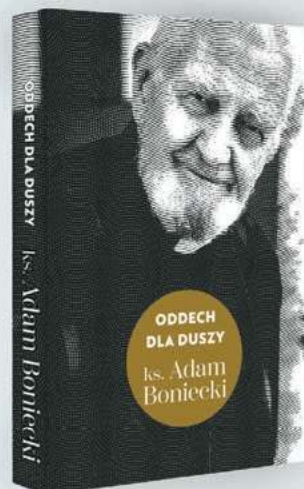
© P

TYGODNIK
POWSZECHNY

„Oddech dla duszy” ks. Adama Bonieckiego

Zamów egzemplarz wydania drukowanego przed premierą!

Wpisz kod rabatowy: **ODDECH** w koszyku zakupów na stronie **vivelo.pl**, egzemplarz dostaniesz, zanim książka trafi do księgarń.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Nieznane twarze prezydenta**JACEK GADEK**

Andrzej Duda próbuje wejść w buty Lecha Kaczyńskiego. Pomoc Ukrainie stała się jego życiową misją, sposobem na znalezienie miejsca w historii, a może i dalszą karierę – już międzynarodową.

**26 Cywilizacja żarcia****PROF. TADEUSZ POMIANEK, AUTOR REFORMY SYSTEMU PRODUKCJI ŻYWNOŚCI:**

Straszenie narodu jedzeniem robaków wynika albo z braku wiedzy, albo z cynicznego założenia, że to pomoże przy wyborach. Ale w efekcie służy światowym koncernom, nie Polsce.

**34 Jak uratować Jezusa****ZUZANNA RADZIK**

Dobra Biblia dla dzieci to nie tylko odkrycie edytorskie. Może stać się początkiem ważnych pytań o dostęp do źródeł wiary.

**58 Księga naszego rodzaju****ŁUKASZ KWIATEK**

Australopiteki dzieli się dziś nawet na dziesięć gatunków i cztery różne rodzaje. Nie byłoby nas bez nich. Ale jakie były te dwunożne małpy i skąd się wzięły?

**70 Piękni dwudziestoletni**
CEZARY ŁAZAREWICZ, REPORTER:

Historia tej trójki jest biblijna: Jezus, czyli Pyjas, ginie. Judasz, czyli Maleszka, jest niewierny. Wildstein okazuje się apostołem, który buduje pomnik nieżyjącemu przyjacielowi.

**86 Znów tu są**
KRZYSZTOF STORY

Aby się przyjęły na wolności, musieli wypuścić ich jak najwięcej, w jak najkrótszym czasie. To było wyzwanie. Bo skąd wziąć rysie, których brakuje w całej Europie?



6 **Ja ci dam, a ty przyjdź**
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 **Obraz tygodnia**

18-19 **Czytania / Widzenia**
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 **Nieznane twarze prezydenta**
JACEK GĄDEK

24 **Co słonko widziało**
MAREK RABIJ:
*Przechodzenie od węgla do OZE
to w Polsce bajka dla tych, którzy
lubią szczęśliwe zakończenia.
Jak jest naprawdę?*

26 **Cywilizacja żarcia**
ROZMOWA Z PROF. TADEUSZEM
POMIANKIEM

■ ■ OPINIE

30 **Rozmówki polsko-norweskie**
EWA SAPIEŻYŃSKA Z NORWEGII:
*Słowo „Polak”, po norwesku
„polakk”, jest tu w pierwszej
dziesiątce najczęściej używanych
przekleństw w szkołach średnich*

■ ■ WIARA

34 **Jak uratować Jezusa**
ZUZANNA RADZIK

38 **Wytrawny smak**
PIOTR SIKORA:
*O czym mówi opowieść
o zesłaniu Ducha Świętego*

40 **Stań przy mnie i uwielbiaj**
MARCIN CHODUŃ:
*Taniec uwielbienia – modlitwa,
która angażuje całe ciało*

■ ■ ŚWIAT

44 **Wymiar niesprawiedliwości**
ANNA ŁABUSZEWSKA:
*Machina represji w Rosji
się rozkręca*

TEMAT TYGODNIKA

SEBASTIAN GOLLNOW / DPA / AFP / EAST NEWS



12 Kościół na biegunach

EDWARD AUGUSTYN

Niemieccy biskupi złożyli na ręce
papieża kilka rewolucyjnych postulatów.
Czy uda im się przekonać do nich
episkopat innych krajów, a także
Franciszka? Przed październikowym
synodem w Kościele toczy się wielka gra.

■ DODATKI ■

65 **POZNAŃSKA NAGRODA LITERACKA 2023**
82 **KRAKOWSKI FESTIWAL FILMOWY**

■ FELIETONY ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI
43 WOJCIECH BONOWICZ **63** JACEK PODSIADŁO
84 OLGA DRENDĄ **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

GRAFIKA NA OKŁADCE:
MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

47 **Turecki thriller**
KRZYSZTOF STRACHOTA:
*Wybory stulecia wiele mówią
o przyszłości Turcji*

49 **Czego nie widać
na pierwszy rzut oka**
PAWEŁ PIENIAŻEK Z KIJOWA:
*Choć na ulicach wojny jest jakby
mniej, dotyka bezpośrednio wielu
mieszkańców miasta*

52 **Z Bobrownik do Bachmutu**
WOJCIECH PIĘCIAK: *Czytelnicy
„Tygodnika” pomagają Ukrainie*

■ ■ HISTORIA

54 **Drugie życie Fani**
JACEK STAWIANY: *Żydowska
kucharka w przedwojennym
Wilnie robiła to, co dziś weganie*

■ ■ NAUKA

58 **Księga naszego rodzaju**
ŁUKASZ KWIATEK

■ ■ KULTURA

70 **Piękni dwudziestoletni**
ROZMOWA Z CEZARYM
ŁAZAREWICZEM

74 **Dopij to piwo**
PIOTR KOFTA: *Vlastimil Třešňák
– wielki konfabulant*

78 **Muzyka z łez**
DOROTA KOZIŃSKA:
*„Symfonia pieśni żałosnych”
H.M. Góreckiego: bezwstydnie
piękna, wyprzedziła swój czas*

80 **Zróbmy sobie miejsce**
ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Plan 75” Chie Hayakawy

81 **Historia i zdrowy rozsądek**
LEKTOR o zbiorze esejów
Marcina Kuli

■ ■ ZMYŚŁ

86 **Znów tu są**
KRZYSZTOF STORY

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ Wybory w Indiach [Strona świata]

Niepokonany premier Modi przegrał wybory stanowe
w Karnatacie. Islamofobia tym razem nie zadziałała
– pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | TygodnikPowszechny.pl/StronaSwiata

➔ Miesiąc w nauce [Podkast]

Skąd się bierze zapach nowego auta? I czy jest sens
wstawać na ósmą na zajęcia? – na przegląd naukowy
zaprasza **ŁUKASZ ŁAMŻA** | TygodnikPowszechny.pl/Podkast

Serwisy specjalne: patrz szerzej

POLSKA SZKOŁA

Uczniowie, nauczyciele i lekcje do odrobienia

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/SKOŁA



JA CI DAM, A TY PRZYJDŹ

Nawet jeśli podczas kampanii usłyszemy wiele słów o wartościach i ideach, nie na tym polu rozegra się najważniejsza bitwa wyborcza. Politycy opozycji zrozumieli, że stosowana od lat strategia PiS jest skuteczniejsza.

MAREK KĘSKRAWIEC

POWYŻEJ:

Baner „Główne przyczyny inflacji” na siedzibie NBP. Warszawa, 17 maja 2023 r.

Po chwilowym szoku zapowiedzi przekształcenia programu Rodzina 500 plus w 800 plus, opozycja ruszyła do kontrofensywy. „Tusk zaorał Kaczyńskiego” – słysząc było z wielu stron po tym, jak lider PO zaproponował podniesienie świadczenia już od czerwca. I najnowsze sondaże rzeczywiście wskazują, że rzucona nagle przez Jarosława Kaczyńskiego oferta 800 plus, darmowych autostrad, a także leków dla seniorów oraz dzieci i młodzieży – nie przyniosła wielkiego efektu. PiS nadal balansuje na granicy utraty władzy, choćby po wyborach dogadał się z Konfederacją.

Dziś zresztą nic na to nie wskazuje, Kaczyński jest dla Sławomira Mentzena obiektem kpin, zaś Konfederacja, jako jedyna obok sojuszu PSL i Polski 2050, nie uczestniczy w festiwalu mnożących się obietnic, co tylko uwypukla kiepski stan naszej polityki. Tyle że jesienią wszystko może być inne. Mentzen już nieraz zmieniał poglądy, a wy tłumaczenie zwolennikom, że lepiej być u władzy i reformować powoli Polskę, niż mieć rację, ale tkwić bezradnie w ławach opozycji – nie powinno być trudne.

To jednak na razie polityczne *science fiction*. PiS walczy o całą pulę i wie, że

trzeba będzie ludziom obiecać więcej, choć podwyżka świadczenia na dzieci (już dziś należącego do najwyższych w Europie) obciąży budżet dodatkowymi 24 mld zł. Dlatego rząd przygotowuje kolejne propozycje: nowy bon wakacyjny, drugie wakacje kredytowe, podwyżkę emerytur, ulgi podatkowe dla przedsiębiorców i rodzin wielodzietnych etc.

Zostawmy na boku rozważania, czy to wszystko da się spiąć bez groźby katastrofy dla finansów państwa. Wieszczanie jej okazało się na początku rządów PiS kompromitacją opozycji w świetle faktu, jak wiele programów udało się później wprowadzić. Zresztą oferta Tuska, by już od czerwca – przy ustalonym od dawna budżecie państwa – wprowadzić 800 plus, świadczy, że i on zaczął wierzyć, iż nasze finanse są z materiału, który da się jeszcze bardziej rozciągnąć. Bo w cel, dla którego stworzono ten program, czyli zatrzymanie zapasów demograficznej, raczej nie wierzy, skoro nie wierzy weń już nawet sam PiS.

Nie chodzi jednak o to, czy postaw czerwonego sukna w końcu rozerwie się na strzępy. Bardziej chyba niepokojące jest to, że – zgodnie z zaskakującymi wynikami sondażu United Surveys – polscy politycy przyjęli wolę społeczeństwa, które uważa, że w Polsce wybory wygrywa się transferami socjalnymi oraz pomysłami na ochronę zdrowia i bezpieczeństwa. Wielkie spory ideowe o aborcję i LGBT+ oraz walka na wspólne programy są dobre przy obiadowym stole lub na portalu społecznościowym, ale przy urnie mają dużo mniejsze znaczenie.

Nie wiem, co było pierwsze. Czy obecna otwartość elektoratu na politykę traktowaną jak sklep z atrakcjami, z którego ludzie wybierają ładnie wyglądające, nie zawsze realne towary – to skutek wieloletniej propagandy PiS? A może jest inaczej? Może duża część elektoratu machnęła ręką na opozycję, która powtarzała te same zaklęcia o rozdawnictwie, a sama nie była w stanie zaproponować alternatywnej wizji Polski?

Gdybyśmy przyjrzyli się strategii najważniejszej siły opozycyjnej, czyli PO, ujrzelibyśmy w ostatnich

latach reaktywność wobec wiodącej narracji PiS. Niemal wszystko opierało się na krytykowaniu lub wyśmiewaniu pomysłów władzy, przy śladowej kontrofercie. I choć ta strategia nie przynosiła żadnych korzyści – sondaże PiS spadały tylko wtedy, gdy potykał się o własne nogi, jak w przypadku wyroku TK w sprawie aborcji – to opozycja brnęła dalej. Co zresztą plastycznie opisał Donald Tusk w wywiadzie dla „Tygodnika”: „Kiedy bijesz się na polu walki, to raczej nie myślisz o tym, jak urządzisz swój dom na emeryturze”.

Kłopot w tym, że wielu Polaków nie uważa, by w kraju trwała wojna dobra ze złem i groziła mu z powodu PiS katastrofa. Żeby wygrać wybory, trzeba wyjść z bańki świata widzianego oczami swojego twardego elektoratu, a także zaproponować społeczeństwu projekt remontu wnętrza domu, co lekceważył Tusk. Nie ma to nic wspólnego ze spokojną emeryturą, bo większość Polaków nie uważa, że jak przestanie rządzić PiS, to nagle zaświeci słońce i problemy same znikną. Brak zrozumienia dla tej prawdy, mimo tylu porażek opozycji, jest zastanawiający.

Od wspomnianego wywiadu z Tuskiem minęło już 15 miesięcy i widać, że opozycja odrobiła lekcje. Tyle że jej pomysły to tak naprawdę wchodzenie w buty PiS. Babciowe, kredyt hipoteczny na o proc., 800 plus od czerwca, podniesienie kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł – to odejście od deklarowanej latami odpowiedzialnej polityki gospodarczej PO, za którym nie idą wyjaśnienia, komu zabrać, by innym dać. I jak przy tak napiętych wydatkach znaleźć kasę obiecaną dla staczających się w ubóstwo budżetówki (o którą PiS nie ma w zwyczaju dbać).

Jeszcze w marcu minister finansów Magdalena Rzeczkowska zaprzeczała, by istniała przestrzeń na rewolucyjną świadczenia 500 plus. Minęły ledwie dwa miesiące i lider partii rządzącej znalazł coś, czego nie umiała dostrzec jego główna specjalistka od pieniędzy. Wygląda na to, że do takich „cudów” będziemy musieli się przyzwyczaić – niezależnie od tego, kto nami rządzi. ©

Skąd weźmiemy na 800 plus



MAREK RABI

W 2020 ROKU – TUŻ PO OGŁOSZONYM ROK WCZEŚNIEJ rozszerzeniu prawa do świadczenia na każde dziecko – koszt programu Rodzina 500 plus stanowił 1,76 proc. PKB Polski. 800 plus kosztować ma w przyszłym roku w sumie 64,2 mld zł, co dałoby 2,13 proc. przyszłorocznego PKB. Część waloryzacji świadczenia, które wzrosną aż o 60 proc., sfinansuje zatem sam rozwój polskiej gospodarki.

Ważnym aspektem jest też demografia. W 2020 r. w Polsce przyszło na świat 350 tys. dzieci. W ubiegłym – tylko 305 tys., z czego ponad 15 tys. urodziły cudzoziemki (głównie Ukrainki), które niekoniecznie muszą wiązać z naszym krajem przyszłość. W rezultacie koszt 500 plus w latach 2020-2022 spadł z 41,2 do 40,2 mld zł.

Wzrost polskiej gospodarki przekłada się na dochody budżetu z podatków. W latach 2020-2022 tylko wpływy z VAT wzrosły o 45,8 mld zł. W zeszłym roku budżet zyskał z tego tytułu dodatkowe 14,7 mld zł, głównie wskutek drastycznego wzrostu cen. Warto jednak zauważyć, że przy średniorocznej inflacji na poziomie 14,4 proc. wpływy z VAT urosły tylko o 6,8 proc. – to efekt słabnącej konsumpcji w kraju dotkniętym jedną z najwyższych inflacji w Europie. Rządzący muszą zdawać sobie sprawę, że w tym roku wskaźniki konsumpcji ulegną pewnie dalszemu pogorszeniu, a to, wraz z malejącą inflacją, musi się przełożyć także na dynamikę wzrostu dochodów budżetu z VAT.

Tegoroczne założenia mówią o 286,3 mld zł z tego tytułu, a to oznaczałoby skok poboru aż o 56 mld zł rok do roku. Rząd upiera się, że dopnie swego dzięki dalszemu zmniejszaniu słynnej luki w poborze, ale większość ekonomistów uważa, że założone wpływy są nierealne. A to oznacza, że inwestycje w 800 plus domkną budżetowi albo podwyżka innych podatków – rzecz nie do ogłoszenia w roku wyborczym – albo... pożyczka. I za pewne to ma na myśli premier Morawiecki, mówiąc o „braku obaw o stan budżetu”. W rządowym portfelu pieniędzy nie zabraknie. Będą tylko pochodziły, jak coraz więcej publicznych wydatków, z długu. Ale jeśli w kolejnych latach nadal będzie szybko rosła gospodarka, to relacja puchnącego zadłużenia do jej wzrostu nie ulegnie zmianie i na papierze dług spłaci się niejako sam.

Możliwe więc, że rząd widzi w 800 plus nie tylko kielbasę wyborczą, ale także narzędzie stymulujące popyt. Około 15 proc. wydatków na 500 plus wraca co roku do budżetu w formie samego podatku VAT. 24 mld zł, jakie pochłonie przemodelowanie programu na 800 plus, w rzeczywistości będzie więc wydatkiem rządu 20,4 mld. ©

Nocna prohibicja

KRAKOWSCY RADNI poszli na wojnę z alkoholem. Od 1 lipca sklepy i stacje benzynowe nie będą mogły go sprzedawać od północy do 5.30 rano. To reakcja na apele mieszkańców, którzy mają dość hałasów i bójek, zwłaszcza w turystycznym centrum. Wcześniejsze doświadczenia kilku innych miast są pozytywne. Jest spokojniej, a jeśli ktoś musi się napić, może iść do pubu.

Po decyzji krakowskiej rady wielu mieszkańców odetchnie z ulgą, podniosły się też jednak głosy krytyczne. Zakaz ma uderzać w wolności obywatelskie i gospodarcze. Właściciele nocnych sklepów twierdzą, że przez ograniczenie sprzedaży alkoholu padną. Trudno. Mówimy o problemie, który dotyka wielu osób. I nie chodzi tylko o ich potrzebę snu.

Od początku wieku do 2008 r. spożycie alkoholu w Polsce wzrosło niemal o połowę. Ostatnie dane mówią o 9,7 litra czystego spirytusu na głowę, co oznacza rocznie 45 mld zł (to więcej niż nakłady państwa na 500 plus). A jeszcze w latach 90. pochłaniałmy tylko 6-7 litrów.

Najgorsi w Europie nie jesteśmy, więcej piją m.in. Rosjanie, Czesi, Niemcy, Litwini, Łotysze, Francuzi. Problemem Polski jest to, że o ile pijemy rzadziej niż inni, to robimy to ostro. Dba o to także państwo; dzięki niewysokiej akcyzie mocny alkohol nie jest w Polsce drogi. Znacznie zdrożały jedynie obłożone dodatkowym podatkiem tzw. małpki, których przed pandemią sprzedawano 3 mln dziennie, z czego przed pracą – milion. Po wzroście cen sprzedaż spadła o 20 proc.

Koszty społeczne naszego picia są ogromne. Choroby wątroby, trzustki, serca, problemy psychiczne pijących, z którymi zmagają się także ich bliscy. Wiele z nas wciąż to jednak lekceważy, a analizy naukowców świadczące o tym, że alkohol jest groźniejszy niż większość substancji uznawanych za narkotyki – traktujemy z przymrużeniem oka. Inne kraje lepiej to rozumieją i starają się ograniczać dostęp do alkoholu, zwłaszcza nocą. Tak jest na Litwie, w Szwecji, Słowenii, Finlandii, Hiszpanii, niektórych landach Niemiec.

Krakowski zakaz dotknie niemal 300 sklepów. Nie uczyni cudów, ale pozwoli odpocząć wielu ludziom. Nie ma powodu, by alkoholowi, który od lat jest plagą Polski, ułatwiać drogę do klientów. Nie muszą mieć go nocą niemal na każdym rogu. © MAREK KĘSKRAWIEC

KRAJ W SKRÓCIE

MOST

„Mateusz, ale z ciebie bambik” – tak Donald Tusk skomentował oficjalne otwarcie przez premiera Morawieckiego czynnego już od kilku miesięcy mostu na Dunajcu w Tylmanowej, przywołując określenie z uniwersum gier komputerowych na graczy stawiających pierwsze kroki albo po prostu nieudaczników.

WYWIAD

Ale bambikiem Morawiecki jest chyba nie tylko dla lidera opozycji. „Premier we wszystkich decyzjach unijnych się pomylił” – woła z okładki tygodnika „Do Rzeczy” teoretycznie podwładny szefa rządu, Zbigniew Ziobro.

ŚLEDZTWO

Zwierzchnik resortu sprawiedliwości szuka zresztą innych bambików: Onet twierdzi, że na jego osobistą interwencję Prokuratura Krajowa niespodziewanie przejęła od wojskowej śledztwo w sprawie szczątków rosyjskiej rakietki znalezionych pod Bydgoszczą i ma zbadać rolę szefa MON Mariusza Błaszczaka.

ORDER

„Za wybitne zasługi w pracy duszpasterskiej, za propagowanie postaw patriotycznych” abp Marek Jędraszewski został odznaczony przez prezydenta Andrzeja Dudę Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. W uroczystości wzięli udział m.in. Jarosław Kaczyński, Ryszard Terlecki, Beata Szydło i, oczywiście, Mateusz Morawiecki.



MAREK BORAWSKI / KPRP

Odrę zrewitalizujemy betonem



KRZYSZTOF STORY

17 MAJA RADA MINISTRÓW PRZYJĘŁA PROJEKT specustawy o rewitalizacji Odry. Dokument zapowiadany tuż po zeszłorocznej katastrofie ekologicznej trafi teraz do Sejmu. Co dokładnie zawiera? Nie mamy pojęcia, bo rząd nigdzie nie opublikował tekstu prawa, którego budżet opiewa na ponad miliard złotych. Rzekę ma uratować tajna specustawa napisana bez żadnych konsultacji społecznych, a takie jeszcze w lutym tego roku zapowiadali urzędnicy Ministerstwa Infrastruktury.

Jedynie poszlaki to notka prasowa na stronie rządu oraz wersja ustawy z 5 kwietnia, do której dotarła fundacja Greenmind. Zaczyna się od 6-stronicowej listy inwestycji, które mają poprawić los Odry. To standardowy, betonowy repertuar Wód Polskich



MARCIN BIELECKI / PAP

(to one mają otrzymać z budżetu dotacje na większość prac): kolejne zbiorniki, jazy, remonty kanałów i dwa stopnie wodne w Lubiążu i Ścinawie, choć naukowcy w kolejnych raportach wskazują nadmierną regulację rzeki jako jedną z przyczyn katastrofy. Są też zapisy o podniesieniu kar za zanieczyszczanie rzek oraz opłat za legalne zrzuty ścieków (choć tu kilka kluczowych zmian ma wejść w życie dopiero w 2027 r.). Wody Polskie poza marchewką mają dostać także kij: powstanie podległa im Inspekcja Wodna z prawem do noszenia broni i stosowania środków przymusu bezpośredniego. – To jakby lis wynajmował kunę do ochrony kurnika – komentuje Jacek Engel, prezes fundacji Greenmind.

Tajna ustawa, rola Ministerstwa Infrastruktury i nowa instytucja dublująca już istniejące (Straż Rybacką i Główny Inspektorat Ochrony Środowiska) powodują, że wszystko bardziej przypomina resortową wojnę o stanowiska i budżety niż rewitalizację Odry. Nadal nie mamy zapowiadanego systemu monitoringu jakości wody w rzekach. Tymczasem Odrze grozi powtórka z zeszłego roku i przynajmniej to nawet ministra klimatu, Anna Moskwa. 15 maja GIOŚ zbadał przewodność wody (ściśle powiązaną z zasoleniem) w 22 miejscach na Odrze i kanale Gliwickim. Tylko w pięciu wynik mieścił się w normie. ©



DYLAN MARTINEZ / REUTERS / FORUM

PRZECIWKO ŚCIEKOM: od Brighton do Edynburga surferzy, kajakarze i pływacy protestowali na brytyjskich plażach przeciw zanieczyszczaniu wód. Ścieki niszczą ekosystemy także przy ujściach rzek i prowadzą do zatrucia wśród sportowców. Według rządu w 2022 r. przedsięwzięcia kanalizacyjne wpuszczały ścieki do rzek i mórz przez ponad 1 750 000 godzin. Ruth Kelly, szefowa Water UK (zrzeszenia firm kanalizacyjnych), w imieniu branży powiedziała „Przepraszamy” i ogłosiła plan modernizacji systemu kanalizacji o wartości 10 mld funtów. Na zdjęciu: protest na plaży w Brighton, 20 maja 2023 r. © JP

Requiem dla Bachmutu: bitwa o Donbas trwa



WOJCIECH PIĘCIAK

NIEZALEŻNIE OD TEGO, CZY JEWGIENIJ Prigożyn mówi prawdę i jego Grupa Wagnera zajęła cały Bachmut, czy też Ukraińcy bronią nadal jednej lub drugiej ulicy – trwająca od dziewięciu miesięcy bitwa o to niewielkie miasto w obwodzie donieckim spełniła swoją rolę. Choć początkowo Bachmut wydawał się nie mieć znaczenia strategicznego – jesienią wiele razy słyszałem od ukraińskich żołnierzy, że jego oddanie to kwestia czasu, bo uparczywa obrona nie ma tam sensu – to znaczenia takiego nabrał w trakcie walk. Bój o to miasto związał, mówiąc językiem wojskowych, duże rosyjskie zasoby ludzkie i materialne, powodując też poważne straty. Podczas szczytu przywódców krajów grupy G7 w japońskiej Hiroszimie prezydent Biden podał liczbę 100 tys. Rosjan zabitych lub rannych w bitwie o Bachmut.

Poważne straty poniosła też bez wątpienia strona ukraińska – niektórzy sądzą, że tylko niewiele mniejsze od rosyjskich – ale najwyraźniej cel był wart tej ofiary. Bo nawet jeśli Prigożyn mówi prawdę, to po dziewięciu miesiącach tej „maszynki do mielenia mięsa” (jak otwarcie mówią Rosjanie, a po cichu także Ukraińcy) strona

rosyjska może nie mieć dziś dość sił, żeby wykorzystać zajęcie miasta i wyprowadzić nowe uderzenie w kierunku Kramatorska oraz Słowińska, by osiągnąć choćby cel minimum spośród tych deklarowanych w lutym 2022 r. przez Putina – czyli podbić cały Donbas.

W wykorzystaniu sukcesu Rosji przeszkodzić może nie tylko wyczerpanie. Ukraińskie kontrataki na północ i południe od Bachmutu nie są być może tak znaczące, jak twierdzi Kijów – daleko do tego, by kontratakujący otoczyli miasto i zrobili tam Rosjanom „mały Stalingrad”. Widać jednak, że Ukraińcy przejęli inicjatywę – nawet jeśli w lokalnym wymiarze. Chcąc nie chcąc, rosyjskie dowództwo musi kierować w to miejsce posiłki („wagnerowcy” – ci, co przeżyli – mają wkrótce udać się na wypoczynek). To zaś sprawia, że Bachmut nadal będzie wiązać rosyjskie zasoby, odciągając je od innych odcinków frontu.

Analitycy zachodzą teraz pewnie w głowę, czy ukraińskie kontrataki w Donbasie to już zapowiadana kontrofensywa, czy też należy się jej spodziewać w innym miejscu. Tak czy inaczej – ruiny Bachmutu nadal odgrywają w tym swoją rolę. ©P

Afrykanka z Templetonem

JEST PIERWSZĄ SOMALIJKĄ, która ukończyła studia w Wielkiej Brytanii. Pierwszą kobietą, która prowadziła samochód w Somalilandzie (to północny autonomiczny region Somalii, mający własny rząd nieuznawany przez społeczność międzynarodową). Pierwszą wykwalifikowaną położną w tej części Afryki. Pierwszą kobietą-minister (kierowała ministerstwem spraw zagranicznych w rządzie Somalilandu) i była pierwszą damą. Teraz jest pierwszą Afrykanką, która zdobyła tegoroczną Nagrodę Templetona – poinformowała na swojej stronie Fundacja Johna Templetona (renomowana instytucja wspierająca naukę i edukację).

Edna Adan Ismail urodziła się w Protektoracie Somalilandu Brytyjskiego w 1937 r. Jej ojciec był zasłużonym lekarzem, który organizował opiekę zdrowotną w tym regionie, i jednocześnie pobożnym muzułmaninem. Matka była katoliczką. Dzięki ojcu najpierw zdobyła wykształcenie, choć w tamtym czasie dziewczynki nie były posyłane do szkoły, a potem została położną. Na terenie dawnych koszar zbudowała szpital i uniwersytet medyczny. Poślubiła



TIM COLE / MATERIAŁY PRASOWE TEMPLETON PRIZE

Muhammada Haji Ibrahima Egala, somalijskiego polityka, który w latach 1967-69 kierował rządem Somalii, a w latach 1993-2002 był prezydentem Somalilandu.

Jest prekursorką walki ze zwyczajem okaleczania żeńskich narządów płciowych. Opowiada, że pierwszym impulsem do tej walki stało się oburzenie ojca, gdy dowiedział się, że matka Edny i jej babka w tajemnicy przed nim zorganizowały obrzęd jej obżezania, gdy miała 8 lat.

„Zakorzeniona w swojej wierze muzułmańskiej, otrzymuje tegoroczną nagrodę w uznaniu jej niezwykłych wysiłków na rzecz wykorzystania mocy nauki w celu potwierdzenia godności kobiet i pomocy im w fizycznym i duchowym rozkwicie” – czytamy w uzasadnieniu wyróżnienia. Nagrodzie Templetona towarzyszy czek na ponad 1,3 mln dolarów.

©P ARTUR SPORNIK

Fala ujawnień



KEP / MATERIAŁY PRASOWE

ANNA GOC:
Dziennikarze Tomasz Krzyżak i Piotr Litka ustalili, że w latach 1944-1989 władze PRL zajmowały się 121 sprawami wykorzystania seksualnego nieletnich przez duchownych.

Jakie dane ma teraz Kościół?

KS. PIOTR STUDNICKI: Episkopat Polski przy pomocy ISKK przeprowadził dotąd cztery kwerendy statystyczne. Dotyczą one spraw wykorzystania seksualnego małoletnich przez duchownych i zakonników zgłoszonych od 1990 do końca 2022 r. Najstarsze miały miejsce w latach 50. W sumie w tym czasie przez blisko 900 sprawców zostało skrzywdzonych ponad 1200 osób małoletnich. Dane pokazują skalę zgłoszeń, a nie skalę krzywdy. Warto zauważyć, że połowa z tych zgłoszeń nastąpiła w ciągu ostatnich 5 lat, to znaczy, że przeżywamy falę ujawnień.

Episkopaty Portugalii, Francji czy Niemiec powołały niezależne komisje. Portugalską kierował psychiatra dziecięcy, który zajmuje się ochroną dzieci. Dlaczego w Polsce takie rozwiązanie nie jest możliwe?

W marcu tego roku biskupi zdecydowali o rozpoczęciu prac nad powołaniem komisji niezależnych ekspertów. Aktualnie delegat ds. ochrony dzieci i młodzieży wraz ze współpracownikami opracowuje koncepcję i założenia metodologiczne komisji. Analizuje raporty m.in. z Francji i Portugalii pod kątem przeprowadzonych tam badań. Jeśli chodzi o komisję polską, to na pewno biskupi wyrazili oczekiwanie przeprowadzenia badań archiwalnych, tak w archiwach państwowych, jak i kościelnych. Myślę, że więcej szczegółów pojawi się po czerwcowym zebraniu plenarnym KEP. Zakładam, że zespół będzie się składał również z osób świeckich.

Biskupi dopuszczają świeckich do archiwów kościelnych?

Kluczowe dla zadania, którym komisja ma się zająć, będą kompetencje ekspertów. Nie mam wątpliwości, że niezależność komisji będzie uzależniona od społecznego autorytetu jej członków. © P

Całość rozmowy w kolejnym numerze „Tygodnika Powszechnego”.

KS. PIOTR STUDNICKI jest kierownikiem Biura Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży.

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

KOPERNIK

W 480. rocznicę śmierci Mikołaja Kopernika oraz wydania jego przełomowego traktatu „O obrotach sfer niebieskich” abp Stanisław Budzik odprawił mszę w katedrze we Fromborku – miejscu pochówku astronoma. Przewodniczący Komisji Nauki Wiary KEP mówił o głębokiej religijności Kopernika, który potrafił godzić wiarę i naukę. Nie wspominał, że Kościół uznał kopernikanizm dopiero w XIX wieku.

IKONA RUBLOWA

Prezydent Rosji Władimir Putin zwrócił Rosyjskiemu Kościołowi Prawosławnemu ikonę Trójcy Świętej autorstwa Andrieja Rublowa, dotychczas przechowywaną w Galerii Tretiakowskiej w Moskwie. Komentatorzy sugerują, że to przejaw zabobonności dyktatora i jego lęku przed klęską agresji na Ukrainę.

SZTUCZNA INTELIGENCJA

Nie będzie mogła ona ewangelizować, „bo nie spotkała nigdy Chrystusa, nigdy Go nie pokochała, nie uwierzyła w Niego, nie potrzebuje Go anieraz, ani w wieczności” – mówił charyzmatykom na Jasnej Górze abp Adrian Galbas. Z kolei prymas Holandii kard. Wilhelm Jacobus Eijk uważa, że jednak trzeba ewangelizować chatboty, gdyż zaczynają mieć duży wpływ na naszą rzeczywistość.



DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd” Agnieszki Lichnerowicz w Radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Misja niemożliwa

KARD. MATTEO ZUPPI otrzymał od papieża misję prowadzenia rozmów między Moskwą a Kijowem. Arcybiskup Bolonii był przed laty głównym konstruktorem pokoju w Mozambiku: jego mediacje w 1992 r., prowadzone w rzymskiej siedzibie Wspólnoty Sant'Egidio pod patronatem ONZ, zakończyły wojnę domową w tym kraju.

Teraz ma trudniejsze zadanie. Jeśli ceną za pokój miałyby być utrata ziem, Kijów nie zamierza jej płacić. Prezydent Zełenski po niedawnym spotkaniu z papieżem mówił: „Nie potrzebujemy mediatora między Ukrainą a agresorem, który okupuje nasze tereny”. Warunkiem rozmów jest wycofanie wojsk rosyjskich z Ukrainy (a więc także z Krymu i czterech regionów zaanektowanych w ub. roku). Przekonanie Kijowa, by rozmawiał o „łagodzeniu napięć w konflikcie” (jak mówi watykański komunikat), a nie o karaniu winnych ludobójstwa, wydaje się misją niemożliwą.

Negocjacje mogą za to być korzystne dla Rosji, bo albo skończą się akceptacją obecnego stanu, albo dadzą jej czas na zebranie sił i umocnienie na zajętych terenach. Bo w to, że się wycofa i przyzna do porażki, trudno uwierzyć. © P EDWARD AUGUSTYN

Ideologia i kicz



DWA DNI był w sprzedaży znaczek wydany przez Poczta Watykańską z okazji nadchodzących Światowych Dni Młodzieży w Portugalii. Po interwencji Sekretariatu Stanu Gubernatorat nakazał jego wycofanie. Powodem był sposób przedstawienia papieża: idący na czele grupy młodych ludzi Franciszek stylizowany jest na Henryka Żeglarza prowadzącego kolonizatorów – motyw ze słynnego lizbońskiego Pomnika Odkrywców, dziś uważanego za symbol konkwisty.

Pomysłodawcom znaczka, którzy do końca go bronili, dorabiając różne ideologie, zabrakło refleksu i refleksji. Ledwie dwa miesiące temu Watykan potępił „doktrynę odkrycia”, uznając ją za sprzeczną z nauką Kościoła. A Franciszek wielokrotnie przestrzegał przed nowymi formami kolonizacji, także przy głoszeniu Ewangelii. Choć przede wszystkim zabrakło im dobrego gustu.

© P EA

KULTURA W SKRÓCIE

MUSICAL
GWIAZD

Na Wzgórzu Katedralnym we Fromborku odbyła się premiera musicalu „Kopernik”. To jedno z najważniejszych wydarzeń Roku Jubileuszowego 550. rocznicy urodzin i 480. rocznicy śmierci kanonika warmińskiego i astronoma. Jesienią „Kopernika” będzie można zobaczyć także w Krakowie.

WERNISAŻ
MISTRZÓW

Obrazy Tycjana, Brueghla i Bordona od piątku są prezentowane na Wawelu wśród najnowszych dzieł kolekcji Zamku Królewskiego. Pokaz „Tycjan i inni. Najnowsze dzieła Zamku Królewskiego na Wawelu” uzupełni również odzyskana strata wojenna – „Lekcja rysunku” Jana Mauritsa Quinkhardta z 1762 r. Wystawę można oglądać do 11 czerwca.

FESTIWAL
WOJOWNIKÓW

„Jaćwingowie – nieznanymi wikingowie z Suwalszczyzny” – to hasło przewodnie I Festiwalu Jaćwieskiego, który odbył się w klasztorze pokamedulskim w Więgrach. Podczas imprezy można było zobaczyć wioskę wojowników, warsztat kowala czy zbrojownię. Jaćwingowie przywędrowali na tereny dzisiejszej Suwalszczyzny ok. V w. p.n.e. Podbił ich w średniowieczu zakon krzyżacki.



**DZIENNIKARZE
I AUTORZY
„TYGODNIKA”**

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasy w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM



PETER GABRIEL FACEBOOK

PETER GABRIEL POWRÓCIŁ. Wielki portret Steve'a Biko widniał nad sceną jeszcze długo po tym, jak zeszli z niej muzycy i zapaliły się światła. Pieśnią o zakatowanym przez śledczych południowoafrykańskim bojowniku o prawa czarnej ludności zakończył krakowski występ Peter Gabriel. „Jesteśmy starzy, tyśi – nie to, co avatary Abby” – żartował dwie godziny wcześniej. Jego zachrypnięty, wciąż sięgający wysokich rejestrów wokal oraz bulgoczący bas Tony'ego Levina, surowa gitara Davida Rhodesa i hipnotyzujące bębny Manu Katché – udowodniły, że rockowe dinozaury mają wciąż coś ważnego do powiedzenia. © P MAM

Klimat: naprawdę
gorące prognozy

NOWY RAPORT Światowej Organizacji Meteorologicznej (WMO) przestrzega, że globalne temperatury osiągną „bezprecedensowe” poziomy. Prognoza obejmuje okres 2023-2027. Na 98 procent co najmniej raz padnie w tym czasie rekord ustanowiony w 2016 r., kiedy średnia temperatura na całej kuli ziemskiej była wyższa o 1,28 st. Celsjusza niż w erze przedindustrialnej (umownie: w drugiej połowie XIX w.). Teraz istnieje aż 66 procent szans na przekroczenie w którymś z nadchodzących lat prognozy 1,5 stopni.

Zatrzymanie procesu ocieplania poniżej tego progu (biorąc pod uwagę średnią z wielu lat) to najważniejszy cel porozumienia paryskiego z 2015 r. Powyżej tego progu ma leżeć klimatyczna *terra incognita*. Z megasuszami, zabójczymi falami upałów i innymi katastrofami. Już w najbliższych latach Europę czekają bezprecedensowo gorące lata, ale i bardzo śnieżne zimy. Wielkie dżungle Amazonii i Kongo mogą zacząć wysychać.

Wieloletni trend też wygląda fatalnie. Jest jedna szansa na trzy, że poziom 1,5 stopnia przekroczy średnia za pięcioletni okres. Jeszcze w 2015 r. ryzyko takiego zjawiska szacowano na zero. © MICHAŁ GIKOWSKI

Antidotum na muchomory

WSZYSTKIE GRZYBY SĄ JADALNE, ale niektóre tylko raz – ta odwieczna grzybiarska prawda wkrótce może nieco stracić na aktualności. Naukowcy z uniwersytetu w Shenzhen odkryli zarówno punkt chwytu terapii, jak i substancję, która może stać się skutecznym antidotum na zatrucie jednym z najbardziej toksycznych grzybów – muchomorem sromotnikowym.

Owocniki tego grzyba posiadają białozielonkawą kapelusz, pod którym znajdują się gęsto usiane blaszki. W niezachęcającym do konsumpcji opakowaniu ukryte są amatoksyny, w tym alfa-amanityna, która w krótkim czasie wywołuje objawy jelitowe, a po ok. 48 godzinach uszkadza wątrobę i nerki, prowadząc do ich niewydolności i nierzadko śmierci pacjenta.

Chińscy badacze, wykorzystując metodę CRISPR-Cas9, poszukiwali mutacji w komórkach, które sprawiają, że staną się one niewrażliwe na toksynę muchomora. Dzięki temu odkryto STT3B – białko, którego zablokowanie chroniło komórkę przed wejściem toksyny do jej wnętrza. Następnie przebadano ponad 3 tys. substancji dopuszczonych do stosowania u ludzi przez FDA. Skutecznym inhibitorem białka, a więc antidotum, okazała się zieleń indocyjanowa, stosowana jako barwnik w radiologii.

Pomyślnie wypadły również testy na myszach. Śmiertelność po podaniu zieleni spadła wśród zatrutych myszy z 90 do 50 proc. Najskuteczniejsze wciąż jest pozostawienie zielonkawych grzybów z blaszkami w lesie. © BARTOSZ KABAŁA

TEMAT
TYGODNIKA

KOŚCIÓŁ NA BIEGUNACH

Niemieccy biskupi złożyli na ręce papieża kilka rewolucyjnych postulatów. Czy uda im się przekonać do nich episkopat innych krajów, a także Franciszka? Przed październikowym synodem w Kościele toczy się wielka gra.

EDWARD AUGUSTYN

SZANOWNY PANIE AUGUSTYN. DZIĘKUJĘ za pytanie skierowane do przewodniczącego Konferencji Episkopatu Niemiec. Przekazuję jego odpowiedź: Nie. Choć oczywiście wykorzystamy każdą okazję, by informować o wynikach Drogi Synodalnej. Z poważaniem – Matthias Kopp, sekretarz prasowy Konferencji Episkopatu Niemiec”.

Pytanie, na które pan Kopp odpowiadał, brzmiało: „Czy biskupi niemieccy będą w najbliższym czasie przekonywać kolegów z innych krajów do postulatów, które przesłali do Watykanu jako propozycje na październikowe obrady synodu?”.

Gdyby je zrealizowano, mielibyśmy w Kościele rewolucję: celibat księży byłby dobrowolny, kobietom udzielano by święceń, a parom jednopłciowym błogosławieństwa. Zliberalizowano by etykę seksualną, a o tym, kto zostanie proboszczem, kto zaś biskupem, decydowałyby rady złożone po równo z duchownych i świeckich.

Wykorzystać wszystkie kanały

Nierealne? Ponad dwie trzecie niemieckich biskupów uznało, że te postulaty są konieczne, jeśli myśli się poważnie o ratowaniu autorytetu Kościoła.

Stefan Orth, redaktor naczelny niemieckiego miesięcznika katolickiego „Herder Korrespondenz”, zapewnia, że biskupi z jego kraju są i nadal będą zaangażowani w promowanie zmian, nawet jeśli przewodniczący episkopatu, bp Georg Bätzing, woli nie używać tego określenia.

– Kilka tygodni temu to właśnie on apelował do swoich kolegów, by wykorzystali wszystkie kanały, w Rzymie lub w innych Kościołach lokalnych, do wyrażania decyzji i stojących za nimi idei Drogi Synodalnej – mówi Orth, przyznając, że wiele z tych działań ma charakter nieoficjalny i podejmowane są podczas bezpośrednich kontaktów.

Massimo Faggioli, dziś profesor historii Kościoła na Uniwersytecie w Filadelfii, a kiedyś student teologii w niemieckiej Tybindze, również widzi to zaangażowanie: – Całkiem niedawno niemiecki episkopat wysłał do Stanów Zjednoczonych swojego emisariusza, by rozmawiał z ludźmi Kościoła i mediami. Nie wiem,

czy przyniosło to spodziewany skutek czy wręcz przeciwnie. Anglo-amerykański świat mediów katolickich od samego początku wypowiedział niemieckiej Drodze Synodalnej otwartą wojnę.

Radykalne postulaty Niemców nie tylko za oceanem budzą przerażenie.

Wewnątrzkościelny układ sił jest dużo bardziej skomplikowany i będzie się zmieniał. Jest o co walczyć, zaliczono wysoko.

Droga ekspresowa

Droga Synodalna była odpowiedzią na kryzys, w jakim znalazł się niemiecki Kościół po ujawnieniu skali seksualnego wykorzystywania nieletnich przez księży.

W marcu 2019 r. tamtejsi biskupi – świadomi, że sami nie są w stanie odbudować wiarygodności Kościoła – poprosili o pomoc organizację świeckich katolików, w Niemczech wyjątkowo mocne. Wspólną debatę nazwano Drogą Synodalną (niem. *Synodaler Weg*), by nie używać terminu „synod”, zastrzeżonego w prawie kanonicznym dla konkretnej instytucji kościelnej. Dzięki temu uczestnicy Drogi mogli sami stworzyć regulamin obrad i podejmować decyzje w demokratycznym głosowaniu z udziałem biskupów i świeckich na równych prawach.

Aby dyskusje o reformach nie rozmyły się w tysiącu pomysłów, wybrano cztery tematy – sprawowanie władzy w Kościele, życie księży, etyka seksualna i rola kobiet – uznając, że odzwierciedlają najgorętsze problemy współczesnego Kościoła w Niemczech.

Od początku było jasne, że inicjatywa napotkać opór. Z całego świata do biskupów niemieckich popłynęły listy „braterskiej troski”. Zainicjował je abp Stanisław Gądecki, przewodniczący polskiego episkopatu. Także Watykan ostrzegł ich, by „nie podejmowali kroków niezgodnych z normami Kościoła powszechnego”. Dezaprobaty nie ukrywał papież Franciszek, który w „Liście do pielgrzymującego ludu niemieckiego” z czerwca 2019 r. zarzucił Niemcom działanie pośpieszne, na własną rękę, oparte na badaniach socjologicznych, a nie Ewangelii.

Biskupi się nie ugięli. W czasie czterech sesji Drogi Synodalnej, od stycznia 2020 r. do kwietnia 2023 r., przyjęli prawie wszystkie postulaty – jedynie dokument o zmianach w etyce seksualnej nie

uzyskał dwóch trzecich ich głosów (zabrało pięć).

Przewodniczący episkopatu zdecydował jednak o przesłaniu do Watykanu wszystkich dokumentów, włącznie z tym odrzuconym, jako propozycje na październikowy synod biskupów, który w międzyczasie zwołał papież.

Papieski poligon

Jesienią 2021 r., gdy Niemcy byli już w połowie swojej Drogi, Watykan ogłosił bowiem autorski pomysł Franciszka: „synod o synodalności”.

W przeciwieństwie do poprzednich synodów biskupów ten miał mieć inny przebieg: miał się rozpocząć w każdej parafii, przejść etap diecezjalny, krajowy i kontynentalny, aby na koniec poddać zebrane propozycje pod obrady biskupów w Rzymie. Te ostatnie zaplanowano początkowo na jesień 2022 r., a potem przesunięto na październik 2023 i 2024 r.

Trudno nie odnieść wrażenia, że niemiecka Droga Synodalna, której papież zarzucał, że poszła na skróty, popsuła Franciszkowi plany. Obrady we Frankfurcie nad Menem, na których poruszano tematy jasno sprecyzowane i medialnie nośne, przyćmiły jego inicjatywę. Jej tytuł – „Synod o synodalności” – brzmiał dziwnie, niczym „debatą o debatowaniu”. Trzeba było czasu, by zrozumieć, że chodzi o rzecz konkretną: sposób funkcjonowania Kościoła.

Synody biskupów znane są od dawna, ale dopiero Franciszek sprawił, że zaczęli się nimi interesować nie tylko eksperci od funkcjonowania Kościoła. Od początku pontyfikatu stały się poligonem doświadczalnym reformatorskich pomysłów, o których papież nie chciał decydować mocą własnego autorytetu, lecz po wysłuchaniu dyskusji biskupów, czasem burzliwej.

I tak na synodzie o rodzinie (2015 r.) debatowano o rozwodach i ponownych małżeństwach. Efektem była papieska decyzja o udzielaniu pod pewnymi warunkami komunii katolikom w związkach niesakramentalnych. Decyzja, która doprowadziła niemal do schizmy – przeciwko papieżowi wystąpiło publicznie czterech kardynałów, kilkunastu biskupów i sporo świeckich o konserwatywnych poglądach.

Kolejny synod, o młodzięży (2018 r.), upłynął pod znakiem tropienia ideologii →

Przejście dla pieszych przy katedrze w Fuldzie, w czasie obrad Konferencji Episkopatu Niemiec, wrzesień 2021 r.

→ LGBT – część biskupów, głównie z Afryki, zagroziła, że jeśli ten skrót pojawi się w dokumencie końcowym, będą głosować za jego odrzuceniem. Pozostano przy terminie „homoseksualizm” – zawężającym, ale za to obecnym już w nauce Kościoła.

Ostatni synod (2019 r.) poświęcony był problemom Amazonii. Debatowano podczas niego także nad celibatem – i było o krok od dopuszczenia do święceń żonatyh mężczyzn.

Poszerzanie namiotu

Propozycje przesłane na tegoroczny synod pokazują, jaką drogę przeszedł Kościół w ciągu kilku lat.

Skrót LGBT+ pojawia się w większości raportów krajowych (także z Polski), i to nie jako symbol wrogiej ideologii, lecz opisowe określenie mniejszości seksualnych, które Kościół powinien otoczyć opieką. Ten postulat znajdziemy w niemal wszystkich tzw. syntezach kontynentalnych (brak go tylko w dokumencie z Afryki).

To niejedyna zmiana świadomościowa. Od 10 lat Franciszek „poszerza przestrzeń namiotu” (jak mówi hasło etapu kontynentalnego): tematy do niedawna zakazane, jak zniesienie celibatu czy kapłaństwo kobiet, dziś nikogo nie dziwią. Mówi się o Franciszku, że „inicjuje procesy i pozwala im dojrzewać”. I że nie chce ograniczać się do opinii kurialnych urzędników i doradców, tylko słuchać głosów biskupów z najodleglejszych diecezji czy świeckich, których liczbę na synodzie stopniowo zwiększa (do jednej czwartej w tym roku), i którym dał prawo głosu (od tego roku także kobietom).

Dlaczego więc nie po drodze mu z Niemcami, których obrady były całkowicie demokratyczne? Bo w synodalności nie chodzi wcale o demokrację – powtarza uparcie Franciszek. Spotkać się, wysłuchać, przegłosować treść dokumentu – proszę bardzo. Ale ostateczna decyzja musi należeć do papieża.

Symptomatyczne, że największe gromy posypały się na Drogę Synodalną

nie za pomysły dotyczące celibatu, święcenia kobiet czy praw osób LGBT+, lecz po decyzji o utworzeniu stałej Rady Synodalnej, która miałaby zarządzać Kościołem. Bo w gruncie rzeczy chodzi o władzę.

A jednak się rusza

„Niemcy mają już jeden Kościół ewangelicki. Nie potrzeba im drugiego” – mówił Franciszek do dziennikarzy w listopadzie 2022 r., wracając z Bahrajnu. Była to aluzja do postulatów Drogi Synodalnej.

Zarzut „protestantyzacji” jest jednym z najczęstszych, jakie stawia się zwolnikom demokratyzacji Kościoła. To najprostszy sposób na dezawuowanie ich działań, zwykle niezgodny z prawdą.

Kościół katolicki demokrację akceptuje i pochwala, ale tylko u innych. Swoją własną ustrój określa jako hierarchiczny z woli samego Jezusa. Spór o sposób sprawowania władzy toczy się w nim od początku [patrz ramka – red.]. Wydawało się, że kres położył mu Sobór Watykański I (1869-70), ogłaszając dogmat o nieomylności papieża i niezmienności jego nauki. To jednak nie zamknęło tematu.

Biskupi niemieccy nie wzięli zresztą udziału w głosowaniu nad tym dogmatem, opuszczając salę soborową. Część z nich wypowiedziała potem posłuszeństwo Rzymowi, tworząc Kościół starokatolicki, odwołujący się do chrześcijaństwa pierwszego tysiąclecia i nurtów narodowych, zakorzenionych w niemieckiej tradycji od kilkuset lat.

Na kongresach w Monachium, Kolonii i Konstancji, w których wzięło udział 300 delegatów, duchownych i świeckich, ustalono zasady starokatolickiego wyznania: ustrój episkopalno-synodalny, otwarcie na nowoczesną naukę, odrzucenie neoscholastyki i teologii rzymskiej, uniwersyteckie kształcenie księży, poparcie dla wolności obywatelskich i dla konstytucji świeckich państw.

Rzym uznał to za odejście od niezmiennej nauki Kościoła. Po czym – po stu latach – sam do nich wrócił, a większość nawet przyjął na Soborze Watykańskim II (obradował w latach 1962-65).

Bo spór o władzę to także spór o to, kto może dokonywać zmian w nauczaniu. Kościół wielokrotnie je wprowadzał, czasem z woli cesarza, czasem soboru, czasem papieża [patrz ramka – red.]. Ale nie lubi słowa „zmiana” – woli mówić o rozwoju, udoskonalaniu i pogłębieniu doktryny.

Zmiany w niezmiennym

CHRZEŚCIJAŃSTWO

A PIERWSZE PRZYMIERZE

– tzw. Sobór Jerozolimski (Dz 15) w roku 48/49 orzekł, iż chrześcijaństwo po pochodzenia pogańskiego nie muszą być poddawani obrzezaniu i wymogom Tory, czym zatwierdza praktykę Kościołów Pawłowych. Z punktu widzenia pierwszych uczniów Jezusa to fundamentalna zmiana rozumienia Przymierza – zbawczej relacji Boga i ludzi.

FILIOQUE – Sobór w Konstantynopolu (381 r.) ustalił Credo, w którym mówi się: „wierzę w Ducha Świętego, który od Ojca pochodzi”. Miało być ostateczne i niezmiennie, jednak od V w. najpierw w Hiszpanii, a później stopniowo w całym chrześcijaństwie łacińskim rozpowszechnia

się Credo ze zmienioną formułą: „wierzę w Ducha Świętego, który od Ojca i Syna (*Filioque*) pochodzi”. W 809 r. Karol Wielki zwraca się do papieża Leona III o oficjalne zatwierdzenie tej zmiany w liturgii. Papież odmawia i każe w bazylice św. Piotra umieścić Credo bez *Filioque* „ze względu na miłość i obronę wiary ortodoksyjnej”. W 1014 r. papież Benedykt VIII zmienia tę decyzję i włącza do oficjalnego Credo z liturgii rzymskiej formułę *Filioque*. W 1215 r. Sobór Laterański IV potwierdza: „Ojciec nie pochodzi od nikogo, Syn od samego tylko Ojca, Duch Święty zaś od Ojca i Syna w równym stopniu, bez początku, zawsze i bez końca”. Wprowadzona na Zachodzie zmiana formuły Credo staje się przyczyną

rozłamu między Kościołem Wschodnim a Zachodnim.

EXTRA ECCLESIAM NULLA

SALUS – zasadę „poza Kościołem nie ma zbawienia” sformułował w IV w. Cyprian z Kartaginy w odniesieniu do opuszczających Kościół. Zinterpretował ją radykalnie Sobór Florencki (1442 r.): „nikt, kto nie jest w Kościele katolickim, nie tylko poganie, ale i żydzi albo heretycy i schizmatycy, nie mogą dostąpić żywota wiecznego (...). Nikt też, choćby nie wiedzieć jakie dawał jałmużny, a nawet przelał krew dla Imienia Chrystusowego, nie może być zbawiony, jeżeli nie wytrwa w łonie i jedności Kościoła katolickiego”. Dopiero Sobór Watykański II (1962-65) uznał możliwość zbawienia niekatolików.

©© PIOTR SIKORA



SEBASTIAN GOLLNOW / DPA / PAP

Biskup Georg Bätzing (tyłem) rozmawia z młodymi katolikami w czasie przerwy w obradach Drogi Synodalnej. Frankfurt nad Menem, wrzesień 2022 r.

Tymczasem każda poważna reforma pokazuje, że to, co miało być nienaruszalne, dało się ruszyć. „Eppur si muove” („A jednak się rusza”) – miał powiedzieć Galileusz, podpisując przed Świętą Inkwizycją akt wyrzeczenia się heliocentrycznych poglądów.

Ren wpływa do Tybru

„Kiedy niemiecka Droga Synodalna popiera rodzaj parlamentarnego systemu zarządzania Kościołem, wbrew porządkowi, który sam Chrystus ustanowił, kieruje nią pycha i arogancja” – napisał George Weigel, amerykański teolog i biograf Jana Pawła II.

Te dwie „niemieckie cechy” są kolejnym – po dziedzictwie Lutra – powodem niechęci do Niemców i ich prób reformowania Kościoła. Weigel dodaje, że niemieccy teologowie od zawsze żyli w przekonaniu o swojej „szczególnej odpowiedzialności za nauczanie Kościoła, której oczywiście nikt im nie powierzył”.

Kompleks niższości wobec nadreńskiej teologii, uprawianej na poziomie dla wielu nieosiągalnym, widać także w Watykanie.

Popularne w czasie Soboru Watykańskiego II powiedzenie, że „Ren wpłynął do Tybru”, dobrze opisywało nową falę, która wówczas zalała Kościół. O jej sile decydowało w dużej mierze trzech niemieckich kardynałów: Augustin Bea, Julius Döpfner i Josef Frings. Okazali się oni utalentowani nie tylko teologicznie.

Pierwszy, szef Sekretariatu ds. Jedności Chrześcijań, doprowadził do przyje-

cia najtrudniejszych dokumentów: na temat Żydów i wolności religijnej. Erudyta i znawca starożytnych języków Bliskiego Wschodu, Augustin Bea, był też ciepłym i towarzyskim człowiekiem, łatwo nawiązującym kontakty, budzącym sympatię i potrafiącym rozmawiać.

Z kolei Döpfner i Frings byli głównymi przywódcami – obok hierarchów z Belgii, Austrii i Francji – proreformatorskiej większości na soborze. Ale skuteczne działania podjęli już na etapie przygotowań. Pierwszy, arcybiskup Monachium, zaraz po zwołaniu soboru sporządził raport o problemach, których można się spodziewać. Opisał w nim frakcje w kolegium kardynalskim i sugerował, w jaki sposób z każdą z nich prowadzić rozmowy na temat oczekiwanych zmian.

Młody teolog pisze dla biskupa

Trzeci z tego grona, arcybiskup Kolonii Josef Frings, był najbardziej znanym wówczas hierarchą niemieckim i zarazem autorytetem moralnym – nie tylko ze względu na wiek i prostotę życia, lecz także antynazistowską przeszłość. Trudno było go przy tym podejrzewać o liberalizm czy progresizm. Jednak to on w znacznym stopniu przyczynił się do rewolucyjnych zmian w ówczesnym Kościele.

Jego związek z nową myślą teologiczną zaczął się półtora roku przed rozpoczęciem soboru, podczas jednej z wielu uroczystości, na jakie był zapraszany jako przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec. W lutym 1961 r. Frings wysłuchał wykładu młodego i nieznanego teo-

loga z Bonn, Josepha Ratzingera. Ten w błyskotliwy sposób dowodził, że mimo dogmatu o nieomyślności papieża sobory wcale nie utraciły swej roli kierowania Kościołem. Frings miał na podobny temat wygłosić konferencję w Genui, ale czuł, że go to przerasta. Poprosił młodego teologa, by napisał dla niego tekst wystąpienia.

Ratzinger spełnił prośbę, a wieść o „wybitnym referacie kardynała z Kolonii” dotarła nawet do Jana XXIII, który zapożyczył z niego sporo myśli do przemówienia inauguracyjnego obrady Vaticanum II.

Ratzinger współpracował z Fringsem przez cały sobór: najpierw przygotowywał krytyczne uwagi do projektów dokumentów, potem został osobistym teologiem kardynała, w końcu oficjalnym ekspertem soboru. Biograf Ratzingera Peter Seewald twierdzi, że dzięki kontaktowi z Fringsem, który był jednym z członków prezydium soboru, przyszły papież wywarł dużo większy wpływ na odnawiający się Kościół, niż się powszechnie uważa.

Będzie problem

Oprócz teologicznej przewagi Niemcy mają jeszcze pieniądze. Są największym „płatnikiem netto” w Kościele. Budżet Stolicy Apostolskiej to 300 mln euro, podczas gdy jedna tylko archidiecezja kolońska ma do dyspozycji 944 mln euro rocznie (dane za 2022 r.). Do kasy episkopatu Niemiec tylko z „podatku od religii” trafia co roku ok. 7 mld euro. Część z nich przekazywana jest do kasy Watykanu, który wciąż ma problemy finansowe. Niemieckie diecezje i organizacje katolickie wspierają też bezpośrednio Kościoły w potrzebie, głównie na Bliskim Wschodzie, w Afryce, a w niedawnej przeszłości także w Europie Wschodniej.

Trudno nie pomyśleć, że to również może się liczyć w czasie październikowych obrad i poprzedzających je dyskusji. Nawet jeśli nikt nie chce tego przyznać.

– Z pewnością nie byłoby to zgodne z duchem Ewangelii, gdyby ktoś chciał kupić poparcie. Żaden biskup w Niemczech tego nie robi – zastrzega Stefan Orth. – Ale praca kościelnych agencji pomocowych czy partnerstwo między diecezjami różnych krajów są okazją do intensywnych kontaktów. W ten sposób buduje się wzajemne zrozumienie. Bezpośrednia rozmowa jest dużo bardziej skuteczna niż komunikowanie się przez listy.

Papież i władza w Kościele

PRZEWODNICTWO PAPIEŻA

w chrześcijaństwie nie jest czymś oczywistym, a we wczesnym Kościele taki pomysł mógł się wydawać wręcz ekscentryczny – szczególnie patriarchom miast szczytujących się szkołami teologicznymi i tradycjami monastycznymi, jak Antiochia czy Aleksandria. Jednak Piotr i Paweł udali się do Rzymu i tam zginęli: z tej założycielskiej opowieści wypływa myśl o prymacie biskupa tego miasta.

PO UPADKU IMPERIUM

na zachodzie wzrosła polityczna rola papieża. Szedł za tym od VI w. rozwój teologii dowodzącej jego prymatu. Myśl ta wydała owoce szczególnie w dobie reformy gregoriańskiej XI w.: wzywano, by oczyścić

Kościół z wpływów świeckich (przede wszystkim cesarza) i pozbawić monarchów prawa do wyboru biskupów. Idee szybko się radykalizowały: oto nie tylko Kościół miał być niezależny od monarchów, ale oni mieli być narzędziami w ręku papieża. XIII-wieczny papież Innocenty III uważał już, że wprowadzić stoi niżej od Boga, ale zdecydowanie wyżej od człowieka. Na początku XIV w. sformułowano nauczanie, według którego wierność papieżowi jest konieczna do zbawienia.

PYCHA KROCZY

PRZED UPADKIEM: nadszedł czas niewoli awiniońskiej i wielkiej schizmy zachodniej, Kościołem rządziło dwóch, a nawet trzech papieży. Konkurujące o wpływy kurie stawały

się „biurami rozdawnictwa beneficjów i ściągania opłat”. Odpowiedzią na upadek autorytetu papieża był koncyliaryzm, ruch podkreślający rolę ludu Bożego w rządzeniu Kościołem. W świetle jego idei papież miałby być wykonawcą woli regularnie zwoływanych soborów. Jednak po zażegnaniu schizmy kolejni biskupi Rzymu unikali, jak mogli, soborów. Pozycji politycznej z początków tysiąclecia już nigdy nie osiągnęli, ale teologię prymatu rozbudowywali, aż do ogłoszenia w 1870 r. dogmatu o nieomylności.

OGIEŃ Z WODĄ pogodzili dopiero ojcowie Vaticanum II, formułując nauczanie o papieżu włączonym do ludu Bożego – za czym poszedł rozwój kolegialności, czyli stałej współpracy papieża z biskupami w zarządzaniu Kościołem.

©© MACIEJ MÜLLER

Krytyka ze strony papieża i dotychczasowych sojuszników zrobiła na niemieckich biskupach wrażenie. Zaczęli tonować wypowiedzi. Na lutowym spotkaniu w Pradze, zamykającym etap kontynentalny synodu, bp Bätzing zapewniał, że Niemcy nie szukają żadnych „specjalnych ścieżek”. Mówił: „Idziemy razem tak, jak Duch Boży prowadzi nasz Kościół: w wielu miejscach, z wieloma ludźmi, w wielu formach”.

Ale dodał, że jako przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec ma obowiązek „wprowadzić postulaty Drogi Synodalnej do ogólnoświatowego procesu”.

Nowe sposoby

Niemieccy biskupi są w trudnej sytuacji. Z jednej strony muszą być posłuszni papieżowi, z drugiej – znaleźli się pod presją świeckich katolików, którzy domagają się realizacji uchwał. Zresztą sami są przekonani do zmian i nie zamierzają z nich rezygnować – choć wiadomo, że bez akceptacji Watykanu wielu z nich nie da się przeprowadzić.

Październikowy synod będzie pierwszą okazją, aby o to zaważyć.

Taktyka przyjęta od początku – transparentność obrad Drogi Synodalnej, zaproszenie obserwatorów z innych krajów, publikacja dokumentów po angielsku (a ich streszczeń także po włosku i hiszpańsku) – okazała się niewystarczająca, by przekonać świat do niemieckich propozycji. Zaczęto więc szukać nowych sposobów.

Pierwszym jest zdejmowanie z najbardziej radykalnych postulatów etykiety „Made in Germany”, z nadzieją, że dzięki temu łatwiej będzie je wprowadzić w obieg.

Nie jest to strategia nowa, ale coraz mocniej zauważalna. Temu celowi służyło m.in. spotkanie w ambasadzie Niemiec przy Watykanie, zatytułowane „Wpływ Kościołów lokalnych na Synod Kościoła Uniwersalnego”, zorganizowane 12 maja. Miało kameralny charakter (ok. 50 osób), zadbano o sympatyczną atmosferę i poczęstunek. Wśród gości byli przedstawiciele Sekretariatu Generalnego Synodu (z s. Nathalie Becquart, watykańską podsekreterarz), księży pracujący w kurii i na rzymskich uczelniach, dziennikarze. Zaprezentowano im nie tylko propozycje Drogi Synodalnej, lecz także postulaty irlandzkie i francuskie, w dużej mierze zbieżne z niemieckimi.

→ Ostrożny jest też Massimo Faggioli: – Finansowe uzależnienie od Niemców może im pomóc, ale też zaszkodzić, gdy ktoś uzna je za praktyki kolonialne.

Jeden z kardynałów kurii rzymskiej, pytany przez dziennikarza „La Croix” o siłę argumentu finansowego, odpowiedział szczerze: „Jeśli Niemcy, którzy mają tak wielkie pieniądze, zaczną naciskać na pewne sprawy, będzie problem. Co nie znaczy, że nie będziemy ich krytykować”.

Rozbudzone oczekiwania

A krytyki jest coraz więcej. Najbardziej zaskakuje zdystansowanie się od niemieckich propozycji kardynałów Maria Grecha i Jeana-Claude’a Hollericha z Sekretariatu Generalnego Synodu, którzy jeszcze do niedawna im kibicowali. Trudno powiedzieć, czy zmienili poglądy, czy też równają do szeregu, bo zwykle powtarzają zarzuty po papieżu.

Na początku tego roku Grech i Hollerich wysłali list do wszystkich biskupów,

w którym przestrzegają przed osobami chcącymi „narzucić synodowi agendę pracy, ukierunkować dyskusję i wpłynąć na jej rezultaty”. Przypominają, że temat październikowych obrad został jasno określony i „nie jest zadaniem posiedzenia plenarnego podejmować wszystkie kwestie, wokół których dziś się debatuje”.

Stefan Orth dziwi się takiemu stawianiu sprawy: – Trudno sobie wyobrazić, że synod będzie mówić tylko o synodalności i to na jakimś metapoziomie, nie odnosząc się do postulatów merytorycznych, które się z nią wiążą, jak relacje duchowniświeccy czy rola kobiet w Kościele.

Massimo Faggioli uważa, że to taktyka obliczona na uspokojenie emocji: – Grech i Hollerich nieraz okazywali sympatię niemieckiej Drodze Synodalnej. Ale są przedstawicielami Sekretariatu Generalnego Synodu, i to najważniejszymi, więc muszą stać ponad sporami. Dobrze zresztą robią, obniżając nadmiernie rozbudzone oczekiwania.

Drugą metodą jest przekonywanie, że niemieckie propozycje nie oznaczają zmian w nauczaniu całego Kościoła i mogą być traktowane jako „produkt lokalny”. Widać to choćby w relacjach ze spotkania kontynentalnego w Pradze. O różnorodności w Kościele, która jest wartością, a nie problemem, mówili zarówno członkowie grup niemieckojęzycznych pracujący online, jak i delegaci obecni na miejscu. Przytoczone wyżej słowa bp. Bätzinga „o wielu formach Kościoła” także tę myśl wyrażają.

– Niemcy coraz częściej odwołują się do argumentu: dokonaliśmy wyboru, ale to rozwiązanie dla nas, nie zamierzamy was do niczego przymuszać. Tylko prosimy, nie oceniacie naszych decyzji, nie nazywajcie nas protestantami czy heretykami – uważa Massimo Faggioli.

Trudno takiemu postępowaniu odmówić logiki. Cztery lata temu, na Synodzie Amazońskim, bliski realizacji był pomysł, by regionowi pozwolić na większą niezależność duszpasterską, liturgiczną, teologiczną i dyscyplinarną. „Uprawniona różnorodność nie szkodzi komunii i jedności Kościoła” – uznali wtedy biskupi, głosząc za wyświęcaniem żonatych mężczyzn na księży (128 za, 41 przeciw).

Jeśli więc na poważnie mówiono o południowoamerykańskim modelu Kościoła, dlaczego nie można myśleć o niemieckim? Tak jak dziś nikogo nie szokują już kobiety udzielające komunii – nawet jeśli nie wszyscy biskupi na to po-

zwalają – tak za kilka lat nikogo nie będą dziwić kobiety udzielające chrztu czy głoszące kazania.

Można wyobrazić sobie sytuację, że w Niemczech, Holandii czy Belgii kobiety są diakonissami, a w Polsce lub we Włoszech nie. Albo że jedne Kościoły błogosławiały pary homoseksualne, a inne nie (co zresztą w praktyce już się dzieje).

Oczywiście doprowadzi to do pytań, czy będą to wciąż Kościoły rzymskokatolickie czy już narodowe. Choć przecież o katolicyzmie nie decyduje ani celibat (bo w Kościele jest od niego wiele wyjątków), ani duszpasterstwo osób LGBT+, ani nawet prawo decydowania o tym, kto zostanie biskupem. Byli w historii biskupi mianowani przez władców świeckich albo przez kapituły katedralne – i nikt nie kwestionuje ich katolicyzmu. W kilku diecezjach niemieckich kapituły wciąż mają zresztą taki przywilej. Historia – i ta dawna, i ta niedługa – uczy, jak wiele jest tu możliwości.

„Żyjemy nie tylko w wielobiegowym świecie, ale także w wielobiegowym Kościele” – mówiła s. Nathalie Becquart podczas zamknięcia etapu kontynentalnego synodu.

Konfrontacja

Czy na październikowym synodzie dojdzie do otwartej konfrontacji biskupów niemieckich z Watykanem?

– Nie wyobrażam sobie tego – mówi Orth. – Ale na pewno biskupi niemieccy

wniosą do dyskusji doświadczenia, które zdobyli na Drodze Synodalnej, a także jej postulaty.

– Dojdzie z pewnością – uważa Faggioli. – Albo na synodzie, albo po nim. Tylko że nie będzie to spór Niemców z Watykanem. Do Niemców dołączą inni, a Watykan... Nie ma dziś jednego Watykanu. Jest ich kilka: papieża, różnych dykasterii, Sekretariatu Stanu. Konfrontacja jest nieunikniona.

Niemiecka Droga Synodalna trwała cztery lata i zajmowała się czterema tematami. Proces synodalny, zainicjowany przez Franciszka, trwał dwa razy krócej i zamierza omówić propozycje z całego świata. Gdyby o wyniku miało decydować tylko przygotowanie merytoryczne, łatwo można by go przewidzieć. Ale liczyć się będzie nie tylko siła argumentów czy umiejętność zawierania sojuszy i zdobywania przewagi liczebnej.

Rozstrzygająca będzie decyzja papieża, który wcale nie jest sędzią bezstronnym. W przeszłości czasem wprowadzał w życie postanowienia synodów, a czasem pomijał je milczeniem, jak w przypadku wspomnianych propozycji dotyczących Amazonii.

Synodalna dyskusja jest mu jednak potrzebna do „rozeznania”: wsłuchania się w głosy z terenu, sprawdzenia, jaka jest atmosfera wokół spornych kwestii. Oraz czy nadszedł czas na zmiany.

© © EDWARD AUGUSTYN

Współpraca: WOJCIECH PIĘCIAK

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocui,
Michał Okoński, Marek Rabiń, Krzysztof Story,
Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik),
Łukasz Łamza
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz,
Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik),
Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoreportaż: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller,
Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Tygodnika: Agnieszka Cynarska-Taran,
Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdań, Katarzyna Domin,
Sylvia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczyńska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Rozwój cyfrowy: Mateusz Chmielewski, Mateusz Gawron,
Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Eliza Kącka, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz,

Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło,
Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejewska,
Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński,
Beata Chomętowska, s. Barbara Chyrowicz,
Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła,
Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek,
ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska,
Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz,
Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska,
Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński,
Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski,
Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki,
Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszejka,
Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet,
Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak,
Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek,

Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Strózewski, Marcelina Szum-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczyńska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walsted Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: Szczepan konwertytów



W JUDAIZMIE NIE MOŻNA ZOSTAĆ KAPŁANEM – trzeba się nim urodzić. Dlatego też nie można oczekiwać od męskich potomków Aarona, by każdy z nich był błyskotliwy. Czytając o obchodach Dnia Pojednania za czasów świątynnych, natrafiamy też na opis przygotowań. Wiadomo, że arcykapłan miał swoich coachów, którzy przed najważniejszą ceremonią w roku odświeżali w jego pamięci poszczególne jej elementy. Do świętego świętych arcykapłan wchodził oczywiście sam, lecz z liną obwiązaną dookoła kostki, gdyby okazał się niegodny i szedł tamże, albowiem nikt inny nie mógłby tam wejść, by wynieść jego zwłoki. Szczęśliwy finał celebracji był dla arcykapłana powodem do odczuwania ulgi i radości. Po wybląganiu przezeń przebaczenia dla Izraela, niejednokrotnie tłum towarzyszył mu w drodze do domu.

Talmud odnotowuje taką sytuację: po wyjściu arcykapłana ze Świątyni, szczęśliwi wierni odprowadzali go do domu. Nagle ujrzeli idących Szemaję i Awtalioną – którzy byli jednymi z najznamienszych mędrców tamtej epoki – i wówczas opuścili arcykapłana, by towarzyszyć mędrcom. Odprowadzili ich kawalek, ale mędrzy, przed pójściem do własnych domów, chcieli się jeszcze pożegnać z arcykapłanem. Ten im rzucił: „Niech potomkowie narodów idą w pokoju”. Oni mu na to: „Niech idą w pokoju potomkowie narodów, którzy dokonują czynów Aarona, niech zaś nie idzie w pokoju potomek Aarona, który czynów Aarona nie dokonuje”.

Trochę mu się odgryźli. Tradycja żydowska zawsze podkreśla, że Aaron był człowiekiem wyjątkowo miłującym pokój i dążącym do niego na wszelkie możliwe sposoby. W innym miejscu w Talmudzie czytamy, że zarówno Szemaja, jak i Awtalion wywodzili się z konwertytów, faktycznie byli więc „potomkami narodów”. (Proto-)rabinem nie trzeba się urodzić, do tego dochodzi się własną pracą i ta droga nie jest dla nikogo zamknięta. Natomiast protekcyjność odnoszenie się do konwertytów i ich potomków jest jawnym pogwałceniem przykazania: „Niech nikt nie krzywdzi bliźniego swego, lecz czuj bojaźń przed Bogiem twoim” (Kpł 25, 17). W kodeksie prawa żydowskiego czytamy: „Tak jak można skrzywdzić w transakcjach handlowych, można też skrzywdzić za pomocą słów. Krzywda słowna jest poważniejsza niż krzywda finansowa, ponieważ pieniądze można zwrócić, natomiast słów nie da się zwrócić (...) Należy być wyjątkowo ostrożnym, by nie krzywdzić konwertytów”. Żydowski filozof wszech czasów napisał „List do konwertyty Owadii”, w którym zawarł takie słowa: „Człowiek, który zostawił swoją rodzinę (...) pojął swym rozumnym sercem i związał się z narodem [żydowskim] (...), pragnie przykazań Bożych, a jego serce wznosi się, by być bliżej boskości (...) ktoś taki [gdzieś jest najwyższego szacunku]”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Dobrzy wrogowie



MÓWI SIĘ TRUDNO, CYTUJĘ: „POD KONIEC drogi krzyżowej, którą odprowadzałam, zaczął się skarżyć Pan Jezus na dusze zakonne i kapłańskie, na brak miłości u dusz wybranych. – Dopuszczę, aby były zniszczone klasztory i kościoły. – Odpowiedziałam: Jezu, przecież tyle dusz Cię wychwała w klasztorach. – Odpowiedział Pan: Ta chwala rani serce moje, bo miłość wygnana jest z klasztorów. Dusze bez miłości i poświęcenia, dusze pełne egoizmu i samolubstwa, dusze pyszne i zarozumiałe, dusze pełne przewrotności i obłudy, dusze letnie, które mają zaledwie tyle ciepła, aby się same przy życiu utrzymać. Serce moje znieść tego nie może. Wszystkie łaski moje, które codziennie na nich zlewam, spływają jak po skale. Znieść ich nie mogę, bo są ani dobrzy, ani zli. Na to powołałem klasztory, aby przez nie uświęcać świat; z nich ma wybuchnąć silny płomień miłości i ofiary. A jeżeli się nie nawrócą i nie zapalą pierwotną miłością, podam ich w zagładę świata tego...” – mówi nie kto inny, ale apostołka Bożego miłosierdzia zakonnica Faustyna Kowalska. Mówi jak na proroka przystało.

Na takie *dictum* cóż odpowiedzieć? Niejednemu nóż w kieszeni się otwiera. Żeby mieć spokój, dobrze byłoby, gdyby Faustynę zaliczono do wrogów Kościoła. Nic nowego. „Ta nauka jest trudna do przyjęcia. Któż może tego słuchać?” – tak uczniowie skwitowali mowę Jezusa o jedzeniu Jego Ciała i Krwi, czyli Jego samego. Przyzwyczajeni do żarzyniania zwierząt i składania w ten sposób ofiar w celu uzyskania lub odzyskania życzliwości Boga, nie mogli pojąć, że Bóg oczekuje całkiem czego innego. „Miłości pragnę, nie krwawej ofiary, poznania Boga bardziej niż całopalen” – prorok Ozeasz.

Słuchając Faustyny i myśląc o Kościele, rodzi się pytanie, czy coś podobnego nie dzieje się dzisiaj. Jemy Ciało Pana i pijemy Jego Krew, ale Jego słowa, zachęcające do brania i posiłkowania się Nim, wciąż są tylko Jego słowami. Służą jedynie do przemieniania chleba i wina, ale nie nas. Przecież te słowa podarował Kościołowi Chrystus i są one własnością wszystkich. W każdej Eucharystii powtarzamy je za Chrystusem, gdyż On jest jedynym kapłanem. Mówimy całemu światu: wszyscy bierzcie jedzcie i pijcie nasze ciała i naszą krew. To znaczy, że uznajemy za swoje słowa Pawła Apostoła: „Cieszcie się z tymi, którzy się cieszą, a płaczcie z tymi, którzy płaczą [i] starajcie się czynić dobrze wszystkim ludziom”. Natomiast „Aby się przekonać, czy kwitnie miłość Boża w domu zakonnym, trzeba się zapytać, jak się obchodzą z chorymi, kalekami i niedołężnymi”. Spróbujmy popatrzeć na Kościół od tej własnej strony, a zobaczymy, że nie jeden burzyciel Kościoła robi robotę zleconą mu nie przez złego, ale dobrego Ducha. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Wdzięczność

Gdy zmysły dostarczają
rwącego strumienia
wrażeń, trudne
– jeśli w ogóle możliwe –
jest oczyszczenie umysłu,
poddanego takiej powodzi.

NIL Z ANCYRY



Choć nie mam takiej mocy,
by powstrzymać to,
co dzieje się na zewnątrz,
to jeśli zdołam
powściągnąć swój umysł
– cóż jeszcze pozostanie
do powściągnięcia?

ŚANTIDEWA



Dziś CHCIAŁBYM SIĘ podzielić medytacją nad epizodem zapisanym u św. Łukasza: uzdrowienie dziesięciu trędowatych (Łk 17, 11-19). „Czy nie dziesięciu zostało oczyszczonych? Gdzie jest dziewięciu? Żaden się nie znalazł, który by wrócił i oddał chwałę Bogu, tylko ten cudzoziemiec” (Łk 17, 17n). Kto wie, czy w tej serii Jezusowych pytań nie kryje się nie tylko zdumienie i wyrzut, ale także ważna diagnoza. Dlaczego dziesięciu uzdrowionych Żydów nie odnalazło w sobie wdzięczności, a odnalazł ją w sobie Samarytanin? Dlaczego to w nim właśnie eksplodowała wręcz modlitwa uwielbienia, oni zaś pozostali nieporuszeni? Być może kluczem do odnalezienia odpowiedzi na te pytania jest właśnie użyte przez Jezusa określenie „cudzoziemiec”.

Spośród dziesięciu potrzebujących tylko on jeden jakby nie miał prawa – ani prosić, ani otrzymać. Nie należał do narodu wybranego. To, że Bóg objawi się naraz w jego życiu, wydawało się najmniej oczywiste. Wiedział, że aby go uzdrowić, Bóg musiał przekroczyć jakąś granicę.

Czy charyzmatyczny żydowski Nauczyciel miał obowiązek, by pomagać Samarytaninowi? Zapewne nie. Czy miał obowiązek pomóc dziesięciu Żydom, zapewne również nie. Ale w ich wypadku ta pomoc nikogo nie zdziwiła. Była jakoś spodziewana. Czy okazana im łaska była „mniejszym” obdarowaniem? Ależ skąd! Ale przynależność do narodu wybranego stępiła w nich zachwyt i zadziwienie Bożym działaniem.

Myślę o tym, jak wiele jest w naszym życiu darów Boga, za które Mu nie dziękujemy tylko dlatego, że stały się naszą codziennością. Nie dziękujemy Mu za dar modlitwy (czasami wręcz wydaje się nam ona uciążliwym obowiązkiem); za Jego Słowo (Biblia stojąca na półce, całymi dniami nieotwierana!); za wspólnotę Kościoła (jest nam – przeciwnie – powodem do wstydu); nie dziękujemy za możliwość codziennej Eucharystii; za odpuszczenie grzechów (zawsze dostępne), które jest przecież większym darem niż uzdrowienie z paraliżu.

Omawiana historia pokazuje jednocześnie, że ów brak wdzięczności jest bardzo niebezpieczny. Zamyka nas bowiem na przyjęcie większych darów. Klęczącemu u Jego stóp Samarytaninowi Jezus ogłasza: „Wstań, idź, twoja wiara cię zbawiła”. W tych słowach jest objawiona ostatecznie różnica między nim a pozostałą dziesiątką: tamci doznali „oczyszczenia”; on dostał zbawienia. W ich przypadku Jezus mógł dotknąć i uzdrowić jedynie ich skórę; w jego przypadku dosięgnął serca i osoby. Uzdrowił go w jego najbardziej wewnętrznej prawdzie.

„Oczyszczony” (jak pozostali) otrzymał o wiele więcej i w innym wymiarze. Ale ku temu „więcej” poprowadziła go wdzięczność za to, co „już”. I to nie jest oczywiście tak, że Bóg „nie daje” niewdzięcznikom. Może nawet przede wszystkim obdarowuje „niewdzięcznych i złych” (Łk 6, 35). Chodzi raczej o to, że niewdzięczność odbiera nam świadomość obdarowania i zamyka nam na nie oczy.

©

CZYTANIA LITURGICZNE (28 V – 4 VI)

Niedziela zesłania Ducha Świętego: Dz 2, 1-11;

Ps 104; 1 Kor 12, 3b-7. 12-13; J 20, 19-23;

Poniedziałek: Rdz 3, 9-15. 20 lub Dz 1, 12-14;

Ps 87; J 19, 25-34;

Wtorek: Syr 35, 1-12; Ps 50; Mk 10, 28-31;

Środa: So 3, 14-18 lub Rz 12, 9-16b;

Ps: Iz 12,2-6; Łk 1, 39-56;

Czwartek: Rdz 22, 9-18 lub Hbr 10, 4-10;

Ps 40; Mt 26, 36-42;

Piątek: Syr 44, 1. 9-13; Ps 149; Mk 11, 11-25;

Sobota: Syr 51, 12-20b; Ps 19; Mk 11, 27-33;

Niedziela, uroczystość Najświętszej Trójcy:

Wj 34, 4b-6. 8-9; Ps: Dn 3, 52-56;

2 Kor 13, 11-13; J 3, 16-18.

Wybrał PIOTR SIKORA

NIEZNANE TWARZE PREZYDENTA

Andrzej Duda próbuje wejść w buty Lecha Kaczyńskiego. Pomoc Ukrainie stała się jego życiową misją, sposobem na znalezienie miejsca w historii, a może i dalszą karierę – już międzynarodową.

JACEK GĄDEK



CZY PREZYDENT JEST SAMOTNY? – Oprócz „Kolargola” na co dzień nie ma w Pałacu Prezydenckim żadnych przyjaciół, a ministrowie zbyt często się zmieniają – opowiada „Tygodnikowi” jeden z jego współpracowników. „Kolargolem” jest Wojciech Kolarski, kolega ze szkoły i harcerstwa, potem szef biura Dudy, gdy ten był europoseł, a dziś minister w Kancelarii Prezydenta. To jego najwierniejszy człowiek, choć wcale nie polityk.

Gdy razem z Dudą byli młokosami, do przyszłej głowy państwa przylgnęła ksywka „Duduś”, a jedna z nauczycielek wspominała, że był „grzeczniutki aż do zemdlenia”. Przez niemal całą pierwszą kadencję żyrował rządy PiS. Dziś często jest w kontrze do partii, a z Jarosławem Kaczyńskim widzi się tylko na oficjałkach.

Aleksander Kwaśniewski mówi „Tygodnikowi”: – Andrzej Duda to jest już inny prezydent niż na początku, choć mało inny. I dodaje: – Postawa Dudy wobec Ukrainy jest bardzo ważną, jasną stroną jego prezydentury. W dużej mierze będzie to rzutować na ocenę całych dziesięciu lat.

Niegodny w oczach prezesa

8 kwietnia 2010 r., lot z Wilna. Lech Kaczyński miał powiedzieć do Dudy i Pawła Wypycha: „Ja już mam swoje lata i moje pokolenie będzie powoli odchodzić, ale wtedy na was spocznie ciężar prowadzenia nadal polskich spraw”. Scena jak z filmu. Duda przytoczył ją, gdy stawał do walki o prezydenturę.

Osoba z Pałacu mówi jednak „Tygodnikowi”: – Duda nie porównuje się do Lecha Kaczyńskiego. Był jego uczniem, ale sam jest już człowiekiem z innej epoki. Najważniejsze jest dla niego bezpieczeństwo Polski, a niepodległość Ukrainy jest tu bardzo ważną składową.

Gdy emocji tuż po wybuchu pełnoskalowej wojny w Ukrainie było więcej, ludzie prezydenta mówili co innego: Duda miał być przekonany, że ma do odegrania wielką rolę. Podobną jak Kaczyński w 2008 r. w Gruzji, tyle że większą, bo Ukraińcy będą potrzebować wsparcia przez długie lata. Do tego konieczny był

jednak sojusz z prezydentem USA Joem Bidenem, z którego w Pałacu szydzono przezywając go, podobnie jak z racji jego wieku robi się to w Stanach, „Sleepy Joe”. Wojna zmieniła tę sytuację, a Duda zasiadł z nim przy stole. – Biden nie pęka. Obserwował wszystkie konflikty zbrojne po II wojnie światowej i ma bardzo trudny, dramatyczny życiorys. Nie mogło być lepszego prezydenta w tym momencie – mówi człowiek Dudy.

Inny dodaje: – Duda odnajduje się, gdy coś się dzieje na forum międzynarodowym. A dopiero teraz dzieją się rzeczy historyczne.

Na forum krajowym otoczenie prezydenta pcha go do coraz większej niezależności. Choć pozostaje ważnym elementem obozu władzy, parę razy już wyrzucił stolik prezesowi PiS, który niemal od początku uznaje go za człowieka niedorastającego do roli kontynuatora misji zmarłego brata. Wedle Kaczyńskiego już jako prezydent Duda wręcz sprzeniewierzył się pamięci o nim – w rocznicę katastrofy smoleńskiej siedem lat temu. Wezwał wtedy do przebaczenia, a Kaczyński odparował, że „wybaczenie jest potrzebne, ale po wymierzeniu kary”. Prezes PiS ograniczył po tym zdarzeniu kontakty z prezydentem i z niechęcią podawał mu rękę. – No ale gdzie jest ta kara, którą prezes chciał wymierzyć? – ironizuje jeden z współpracowników Dudy.

Prezydent po wyborach w 2015 r. grzecznie odgrywał rolę notariusza PiS. Pomógł rozprawić się z Trybunałem Konstytucyjnym, przejąć media publiczne, ułaskawił Mariusza Kamińskiego. Nie był kreatorem polityki, a co najwyżej hamulcowym dla PiS – choćby składając weta do ustaw sądowych w 2017 r., przez co Kaczyński uznał go za „porażkę” nie tylko moralną, ale i polityczną. Niemniej w końcu ustabilizowali relacje. Zimne.

– Kontakty są poprawne, jak to między najważniejszymi politykami – mówi osoba z Pałacu. To jednak upudrowany obraz. Kolejny współpracownik dodaje: – Relacje z Kaczyńskim? Ich nie ma. Rozmawiają tylko przy oficjalnych okazjach.

Ważnym momentem był początek 2020 r. i żądanie Dudy, by ówczesnego prezesa TVP Jacka Kurskiego wyrzucić ze stanowiska, bo inaczej Duda nie podpisze ustawy o miliardach na media publiczne. Na krótko przed wyborami prezydenckimi.

Panowie spotkali się w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego. Duda zażądał głowy „Kury”. Kaczyński odpowiedział, że to wykluczone. Prezydent odparł: albo Kurski, albo podpis. Prezes wstał, włożył płaszcz i wyszedł. Wszystko trwało kilka minut. Był tak wściekły, że sondaż wymianę Dudy na Mateusza Morawieckiego, choć niewiele wcześniej mówił o Dudzie jako „kandydacie marzeń”. Potem w kampanii działały dwa sztaby – PiS i Dudy, zakulisowo szydzące z siebie nawzajem. Tuż po ogłoszeniu zwycięstwa Duda – co odbiło się echem – podziękował Marcinowi Mastalerkowi, który bardzo mu pomógł w finale kampanii.

Powrót z urlopu

Ku zdziwieniu otoczenia prezydent po reelekcji poszedł na urlop od wielkiej polityki. Roczny. Wrócił w lecie 2021 r., i to z przytupem. Zawetował ustawę „lex TVN”. Nowogrodzka marzyła wówczas, by rozprawić się z należąca do amerykańskiego koncernu telewizją, nazywaną przez PiS „największą partią opozycyjną w Polsce”.

Do weta przekonywali go: ambasador przy ONZ prof. Krzysztof Szczerski i Mastalerek, wtedy już doradca społeczny prezydenta – obaj są przyjaciółmi Dudy. Pierwszy prosił, by nie rujnował podpisem relacji z USA, a przez to nie zamykał drzwi przed karierą w polityce międzynarodowej. Drugi doradzał niezależność od PiS. Duda chwiał się, ale weto postawił. Później nie szczędził kolejnych, a piekielnie ważną dla PiS ustawę o Sądzie Najwyższym, która ma odblokować 35 mld euro z Krajowego Planu Odbudowy, odesłał do sparaliżowanego buntem sędziów Trybunału, czym mocno utrudnił PiS-owi walkę o trzecią kadencję.

Dziś Kancelaria Prezydenta personalnie niewiele ma wspólnego z tą na starcie. A tym bardziej z tą Lecha Kaczyńskiego. Najważniejsi ludzie wokół 51-letniego prezydenta są młodzi: od twardej polityki jest Mastalerek – 39 lat. Marcin Przydacz, szef Biura Polityki Międzynarodowej, ma 37. Z kolei szef BBN Jacek Siewiera – 39. Gdy Lech Kaczyński był prezydentem, im jeszcze w głowach szumiały studia.

Numerem dwa w Pałacu jest dziś Mastalerek. Na stronie Kancelarii Prezydenta przedstawiany jest jako ekspert od wizerunku i komunikacji. W orędziach Dudy i najważniejszych wystąpieniach widać →

Prezydent Andrzej Duda przed wręczeniem nominacji ministerialnych. Kancelaria Prezesa Rady Ministrów, Warszawa, październik 2022 r.

→ jego rękę. Ale ma też wpływ na decyzje polityczne i obsadę Kancelarii, choć formalnie jest tylko społecznym doradcą, a zawodowo – wiceprezesem piłkarskiej Ekstraklasy SA. Oraz współtwórcą komedii romantycznych „Druga połowa” i „Wygrać marzenia”.

Na Nowogrodzkiej Mastalerek jest znienawidzony. Oskarża się go, że stoi za wetami Dudy, choć to przecież były poseł i rzecznik PiS, a także dawny szef jej młodzieżówki oraz współautor zwycięskiej kampanii w 2015 r. Kaczyński uznał jednak, że jest zbyt arogancki, i w tamtych wyborach nie wpuszczał go na listy do Sejmu.

By znaleźć klucz do zmian w prezydenturze Dudy, warto sięgnąć do książki „Game changer” Michała Kolanki. Mastalerek wspominał w niej, jak mając 27 lat rozmawiał w gabinecie Kaczyńskiego. Prezes PiS miał mu powiedzieć, pukając w blat, że polityka jest „przy tym stole”. Wtedy zrozumiał, że prawdziwa gra o władzę jest właśnie taka: gdy się siedzi przy stole i gdy można go w każdej chwili wyrzucić. No właśnie: Duda od lat żąda miejsca przy stoliku, a nie długopisu. Czasami też Kaczyńskiemu go wywraca.

Krakowski zaciąg

W Pałacu mocno wzrosła pozycja Marcina Przydacza – szefa Biura Polityki Międzynarodowej. Osoba z tego środowiska mówi: – Przydacz się mocno rozpycha, co już zaczyna denerwować innych ministrów.

Przydacz jest prawnikiem po UJ, studiował także stosunki międzynarodowe i filozofię, był analitykiem konserwatywnego Klubu Jagiellońskiego i wiceministrem spraw zagranicznych. W styczniu przeszedł do pracy u Dudy i w kwestiach międzynarodowych jest głównym doradcą. Jak w ogóle trafił do tego kręgu? W 2013 r. grupka krakowskich konserwatystów założyła Fundację Dyplomacja i Polityka. Byli wśród nich prof. Ryszard Legutko i prof. Szczerski. Był też i Przydacz, jako prezes.

Po wyborach w 2015 r. Duda zadzwonił do niego z pytaniem, czy wesprze go jeszcze przed zaprzysiężeniem. Następnego dnia Przydacz był już w Warszawie. Jednym z pierwszych zadań okazało się odpisywanie na gratulacje. Przyjmował listy od Baracka Obamy, Angeli Merkel i innych przywódców. Proponował projekty podziękowań.

Kaczyński uważa Dudę za zastępczego prezydenta,

który sprzeniewierzył się pamięci jego zmarłego brata.

Dziś niechętnie podaje mu rękę.

Dziś Przydacz jest już daleko od tej mikrej roli, kreuje politykę międzynarodową. Szefem Biura miał zostać jeszcze w 2021 r., ale Duda zdecydował, że ściągnie do siebie Jakuba Kumocha, wówczas ambasadora w Turcji, byłego dziennikarza-poliglotę z szerokimi kontaktami w dyplomacji. Wspomina osoba z otoczenia Dudy: – Kumoch ma wiele talentów, a wśród nich ten do tworzenia sobie wrogów.

Kumoch nie był typowym urzędnikiem, a na domiar złego w Kancelarii toczył się wokół niego ostry konflikt. W końcu Duda zdecydował się podziękować mu po blamażu Kancelarii dotyczącym rozmowy prezydenta z rosyjskimi pranksterami, podającymi się za Emmannuela Macrona. Teraz czeka na wyjazd na jakąś placówkę dyplomatyczną w Azji.

Bardzo blisko Dudy jest na co dzień były radny spod Wawelu, wspomniany już Wojciech Kolarski. Formalnie minister od przemówień i polityki historyczno-kulturalnej, ale realnie ma też wpływ na politykę, zwłaszcza krajową. Prywatnie to fanatyk Cracovii. – Gdziekolwiek będzie Duda, będzie i Kolarski – mówi człowiek bliski Pałacowi.

– Nie jest on politykiem z krwi i kości, ale jest lojalny i nie gra na siebie – dodaje inny przedstawiciel tego środowiska. Kolarski jest jedynym przyjacielem Dudy spośród etatowych ministrów w Kancelarii.

Pałacowy układ

Gabinetowi prezydenta szefuje dziś Paweł Szrot, były bliski współpracownik Przemysława Gosiewskiego. – Twardy PiSowiec z krwi i kości – mówią o nim w obozie rządzącym. Pełnił też funkcję, choć nieformalnie, rzecznika prasowego. Jednak posługiwanie w mediach i dbanie o kalendarz to dla prawnika wpłacone w Gosiewskiego i Beatę Szydło

mało – zwłaszcza że nadzór nad biurem prasowym odbił mu w końcu Przydacz. Warto wspomnieć, że medialnego reprezentanta Duda ma już piątego. Dla każdej z tych osób był to tylko przystanek – teraz są w biznesie albo w dyplomacji.

Ludzie z otoczenia Dudy mają świadomość, że Kancelarii brakuje siły. Czasami nie ma kto bronić szefa w mediach. Grono doradców jest jednak liczne. – Ale część z nich nic nie robi – mówi znawca dworu Dudy.

Nowym człowiekiem, który ma wzmocnić Kancelarię, jest Jacek Siewiera, szef BBN. Wojskowy lekarz sam zaproponował prezydentowi dołączenie do jego ekipy i dopiero uczy się polityki. Kancelarię trzyma w garści ktoś inny: kobieta. To szefowa KP Grażyna Ignaczak-Bandyk. Nie jest medialna, ale za to zadbała o dobre relacje z Agatą Kornhauser-Dudą, co dało jej sporą siłę. Ma opinię sprawnej i twardej urzędniczki. Spoza Kancelarii wpływ na Dudę ma jeszcze prof. Małgorzata Manowska, I prezes SN, z którą zna się od dawna.

Duda nie posiada wokół siebie (oprócz „Kolargola”) ludzi, którzy by traktowali pracę dla niego jako swój cel. Wspomniani już dwaj najważniejsi – Mastalerek i Przydacz – dziś są, a jutro może ich nie być. Pierwszy w tym sensie, że nie ma go na co dzień w Pałacu, bo zajmuje się biznesem sportowym, i jest doradcą nie tyle społecznym, co przyjacielskim. A Przydacz może kandydować jesienią na posła i za pół roku odejść z Pałacu. Dla niego naturalną drogą kariery jest teka szefa MSZ.

Na listach PiS mogą się znaleźć i inni ludzie pracujący teraz dla prezydenta. Decyzji, kto wystartuje, jeszcze nie ma, ale Duda nie utrudni im startu, a raczej pomoże. Bo prezydent ze swoimi współpracownikami rozstaje się po dobroci, bez publicznych wojen, a jak ktoś chce odejść, to go nie powstrzymuje. Pawła Muchę, wiceszefa Kancelarii, prezydent posłał do zarządu NBP, choć był na niego wściekły, bo ten omal nie „przegrał” mu wyborów w 2020 r. przez sprawę ułaskawienia mężczyzny skazanego za czyny pedofilskie wobec córki.

Zmienność kadr sprawia, że Duda często musi liczyć na siebie. I nawet dobrze sobie radzi. Jak przypomina Aleksander Kwaśniewski, Duda na krótko przed atakiem Rosji zaprosił prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego na spotkanie

do willi w Wiśle. – Odbyli tam wiele rozmów politycznych i zapewne także prywatnych. Może poszli do sauny. Zbudowali więc i zaufanie, co okazało się przydatne w czasie wojny. To tym ważniejsze, bo wcześniej PiS i sam Duda byli wobec Ukrainy dość bierni – zaznacza.

Duda i Zełenski są dziś przyjaciółmi, co wiele ułatwia. Cała zresztą postawa Dudy wobec Ukrainy jest doceniana także przez krytyków, którzy mieli go za długopis prezesa.

Co po prezydenturze?

Widać, że prezydent stara się wejść w buty Lecha Kaczyńskiego, który polecał do Tbilisi, gdy Rosjanie zaatakowali Gruzję. Stara się, choć sam nigdy tak by tego nie ujął. Spójrzmy jednak na kluczowe przemówienia. Choćby to z 1 września 2019 r. – wtedy przed światowymi przywódcami mówił niemal cytatami z pamiętnej mowy Kaczyńskiego z 2009 r. na Westerplatte, ostrzegając przed imperialnymi zapędami Putina (sam Putin był tam i go słuchał). Albo to wygłoszone w ukraińskiej Radzie Najwyższej, w którym o Lechu mówił: „Mój profesor, mój nauczyciel, mój prezydent i wielki przyjaciel Ukrainy. Widziałem z bliska, jak walczył”.

Wojna w Ukrainie jest największym kapitałem Dudy. – To dla niego wydarzenie nadzwyczajne i może określić perspektywy na przyszłość. Nie wykluczam, że już po prezydenturze w różnych formułach międzynarodowych może być zaangażowany właśnie w kwestie ukraińskie – zaznacza Kwaśniewski.

W związku z wojną Duda uparcie jeździ po świecie. Koordynując swą misję z USA, był np. w Afryce, gdzie dawał odpór Rosji na kontynencie ogarniętym strachem przed głodem. Pojechał też do Watykanu orędować za Ukrainą u papieża Franciszka. Mówił potem, że rozmowa była „ważna”, ale to nieprawda. Z relacji ludzi prezydenta wiemy, że zupełnie się nie kleiła. Usłyszeliśmy nawet uwagi w stylu: „Franciszek to stary komunista”, który ożywał się tylko wtedy, gdy nawiązywali do Ameryki Południowej.

Jednocześnie Duda przykładą wielką wagę do budowania wręcz osobistej relacji z prezydentem Chin Xi Jinpingiem. Nieprzypadkowa była jego obecność jako jedynego przywódcy UE na otwarciu Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Pekinie w 2022 r.

Ludzie prezydenta przekonują, że teraz jego uwagę ogniskuje lipcowy szczyt NATO w Wilnie. Ukraina może dostać na nim zaproszenie do Paktu. – Tam mogą zapaść historyczne decyzje. Dlatego Duda nie myśli o żadnym kongresie PiS, którym żyje się w kraju, czy tym, co po prezydenturze – mówi osoba z jego otoczenia. Sam Duda też uparcie powtarza, że skupia się na obecnych obowiązkach, ale to może być blef, jak uważają niektórzy nasi rozmówcy z jego środowiska.

Gdyby ktokolwiek publicznie powiedział, co prezydent planuje „po”, toby mu zaszkodził. Do głowy prezydenta nie zajrzymy, ale z samych jego działań też można wnioskować. Kwaśniewski mówi, że jego druga kadencja nie była „niezależną i daleką od szalonych pomysłów PiS”. – Niemniej widać proces wyzwania się prezydenta i trzeba to docenić. Po kolejnych testach zobaczymy, czy ten proces jest trwały, czy koniunkturalny – stwierdza. Przed Dudą jeszcze dwa i pół roku kadencji.

Coraz dalej od PiS

Przyjrzyjmy się kluczowym momentom w tym procesie, choćby retoryce Dudy i temu, jak buduje relacje na świecie. Kiedyś mówił o Unii Europejskiej jako „wyimaginowanej wspólnocie”. Te słowa wracają na potrzeby powierzchownej publicystyki, warto jednak wsłuchać się w nowsze wystąpienia Dudy. „Dla Polski równie ważna jest obecność w NATO, jak i UE. To fundamenty naszego bezpieczeństwa. To polska racja stanu!” – mówił w marcu do posłów i senatorów.

Zarazem jest zdania, że Komisja Europejska – mówi to na nieoficjalnych spotkaniach – prowadzi brutalną walkę z rządem PiS, bo chce wykurzyć konserwatywny rząd z Warszawy. Uważa też, że szefowa KE go oszukała, gdy podjął próbę odblokowania pieniędzy z KPO. Ale publicznie gryzie się w język – nie chce być uznawany za zapiekłego eurosceptyka.

Duda – mimo koszmarne początku – dba też o relacje z Joem Bidenem i wiceprezydentką Kamalą Harris. To przecież od nich często zależy, kto jaką rolę odgrywa w polityce międzynarodowej. Duda ukatrupił „lex TVN”, uderzający w największą inwestycję USA w Polsce – podpis pod ustawą zostałby mu za oceanem zapamiętany. Przestał też głądzić o „ideologii LGBT”, a na tym punkcie główny nurt za-

chodniej polityki jest czuły. Prezydent ma również w Nowym Jorku swojego zaufanego człowieka – prof. Szczerskiego, ambasadora przy ONZ. Ludzie na prawicy czasami żartują, że ma tam być jak szarpa Dudy szukający miejsca na kontynuowanie jego kariery. Ale człowiek z jego Kancelarii mówi już na serio: – Szczerski sam bardzo chciał uciec z Pałacu, ale długo nie mógł sobie znaleźć roboty w instytucjach międzynarodowych. W końcu dostał fotel zwykłego ambasadora przy ONZ. Jak mógłby sam coś znaleźć Dudzie?

Prezydent gestami stara się wychodzić poza PiS-owski świat. Symboliczne było zwłaszcza zwyczajne podanie ręki – zaskoczonym tym gestem – Donaldowi Tuskowi podczas wizyty prezydenta USA w Warszawie. Ludzie wokół Dudy tłumaczą to kulturą krakowskiego inteligenta, ale przecież kiedyś Duda unikał podania dłoni premier Ewie Kopacz.

Oddalanie się od PiS widać dobrze także w najświeższym spięciu prezydenta z szefem MON Mariuszem Błaszczakiem wokół zbłąkanej rosyjskiej rakiet. Minister chciałby głów nawet dwóch generałów, Duda jednak stanął w ich obronie, a Błaszczaka publicznie pouczał. Ale niech nikt nie liczy, że stanie się liberałem. Kiedyś, owszem, należał do Unii Wolności, ale potem uformował siebie jako konserwatystę. Po dwóch kadencjach w fotelu prezydenta ze swoim kapitałem zaufania społecznego w elektoracie PiS mógłby próbować przejąć partię, ale na drodze do tego celu są duże przeszkody, nie tylko na Nowogrodzkiej. On do kierowania partią się po prostu nie nadaje – ma zbyt miękki charakter, by trzymać struktury za twarz. – Duda nie chce się bawić w partyjną politykę. Ona go nie interesuje – mówi współpracownik.

PO chciałaby Dudę postawić przed Trybunałem Stanu. Znając jednak Platformę, można powątpiewać w jej determinację. Sam Duda będzie, choć bez wielkiego zaangażowania i ostrożnie, wspierał PiS w jesiennych wyborach do Sejmu.

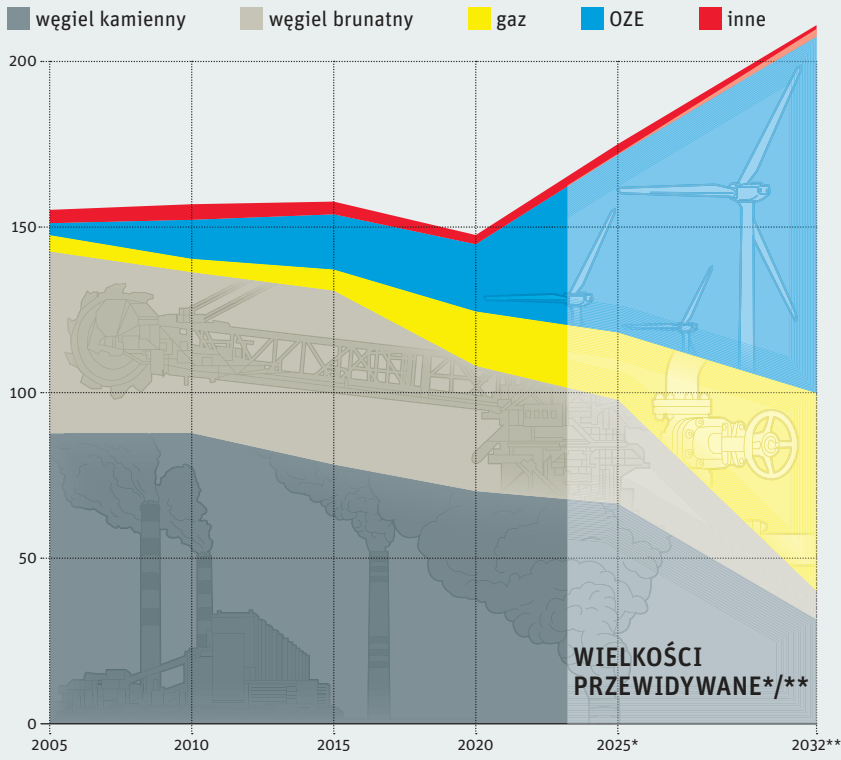
Osoba z Pałacu mówi jasno: – Duda zostanie politykiem prawniczym. Takie ma poglądy i wolałby, aby rządziła prawica. Ktoś przecież musi wysunąć Dudę na te międzynarodowe stanowiska.

© JACEK GADEK

Autor jest dziennikarzem Gazeta.pl

PRODUKCJA ENERGII ELEKTRYCZNEJ W POLSCE

(TWh)



LECH MAZURCZYK

*DANE DLA 2025 ROKU WEDŁUG SZACUNKÓW WYSOKIENAPIĘCIE.PL
 **DANE DLA 2032 ROKU WEDŁUG SYMULACJI Z „PLANU ROZWOJU” PSE W WARIANCIE BAZOWYM I ROKU KLIMATYCZNYM SWS, BEZ UWZGLĘDNIENIA WYMIANY TRANSGRANICZNEJ, PRZY BRAKU ISTOTNYCH OGRANICZEŃ W DZIAŁANIU OZE I CENACH EMISJI CO₂ W WYSOKOŚCI 100 EURO ZA TONĘ CO₂, GRUDZIEŃ 2022

Co słońko widziało

MAREK RABIJ

Przechodzenie od węgla do OZE to w Polsce bajka dla tych, którzy lubią szczęśliwe zakończenia. Jak jest naprawdę, mogliśmy się przekonać w dwie ostatnie niedziele kwietnia.

Z SOBOTNICH WIADOMOŚCI BIŁ METEORologiczny optymizm. Niedziela 23 kwietnia 2023 r. w całej Polsce zapowiadała się słonecznie; tylko w Zachodniopomorskiem mogło nieco popadać. Już koło południa termometry miały pokazać 17-19 stopni, a w porze obiadowej powyżej 20 stopni. „I takie wieści mogą przekazywać państwu codziennie” – stwierdziła pogodynka.

W tym samym czasie dyżurni w podwarszawskiej siedzibie Krajowej Dystrybucji Mocy Polskich Sieci Elektroenergetycznych tę samą prognozę przeglądali w na-

stroju mobilizacji. Bezchmurne niebo zapowiadało, że ponad 1,2 mln polskich instalacji fotowoltaicznych czeka pracowity dzień. Na wybrzeżu miało w dodatku całkiem mocno wiać. Wszystko to składało się na jeszcze jedną prognozę, z której wynikało, że łączna moc odnawialnych źródeł energii wczesnym popołudniem 23 kwietnia osiągnie w Polsce aż 10,2 gigawata.

Gdyby to okienko pogodowe przytrafiło się w dzień pracujący, kiedy wielkie zakłady działają pełną parą, nie byłoby problemu. Gdyby przypadło na letnie

upały, kiedy w milionach mieszkań i biur mruczą klimatyzatory, albo na chłodne dni, gdy z kolei ożywa armia 300 tys. pomp ciepła zainstalowanych w polskich domach – nadwyżka energii też zostałaby skonsumowana. Jednak prognoza zapotrzebowania na prąd w leniwe niedzielne przedpołudnie zakładała popyt rządu zaledwie 13,5 gigawata. Oznaczałoby to, że z OZE pochodzić będzie aż 70 proc. zużywanej w Polsce energii.

Kłęska urodzaju

O godz. 9.08 w niedzielę z Krajowej Dystrybucji Mocy wyszedł nieoczekiwany komunikat o wystąpieniu „zagrożenia bezpieczeństwa dostaw energii elektrycznej”. W związku z tym operator sieci zobowiązał farmy fotowoltaiczne podłączone do sieci przesyłowych średniego i wysokiego napięcia, aby od godz. 11 zredukowały moce produkcyjne o 3 gigawaty – czyli o ok. 30 proc. Jednocześnie zwiększono aż o 1,7 gigawata eksport energii do sąsiednich krajów. O godz. 16 ograniczenia odwołano. Niebezpieczeństwo przeciążenia krajowego systemu energetycznego, któremu niespodziewanie zagroziła kłęska urodzaju, zostało zażegnane.

Tydzień później, 30 kwietnia, doszło do powtórki. Słoneczna, ale daleka od upalnej niedzieli, na progu długiego weekendu. Prognoza zapotrzebowania na energię elektryczną – na poziomie 15 gigawatów. Wstępna analiza wydajności OZE – 11,5 gigawata. O godz. 11 do dużych farm fotowoltaicznych znów idzie więc nakaz natychmiastowego ograniczenia mocy produkcyjnych – tym razem już o 5 gigawatów, czyli aż o 43 proc. Tyle że w uzasadnieniu decyzji PSE nie powołują się – jak przed tygodniem – na opisany w prawie energetycznym stan zagrożenia bezpieczeństwa dostaw prądu. Tym razem piszą wprost, że problemem jest „wysoki potencjał produkcji energii elektrycznej źródeł OZE, przekraczający zapotrzebowanie o ok. 2,3 gigawata”.

Postronny obserwator, nieznający rodzimej branży energetycznej, mógł po lekturze obu komunikatów nabrać przekonania, że Polska to zielona enklawa, w której prąd wytwarza wyłącznie wiatr i słońce. Bo o tym, co 23 i 30 kwietnia robiło 18 wielkich polskich elektrowni opalanych węglem lub gazem, dokumenty nie wspominają.

Na bloku bez zmian

Informacje na ten temat można jednak odczytać ze statystyk PSE, z których wynika, że zarówno 23 kwietnia, jak i tydzień później większość polskich elektrowni węglowych i gazowych pracowała mniej więcej tak samo jak tuż przed wprowadzeniem ograniczeń dla OZE. Niektóre nawet podkręciły tempo. Blok 7. w Połańcu, który 23 kwietnia o godz. 9 wykorzystywał 68 proc. maksymalnej mocy, w południe zwiększył produkcję do 70 proc. maksimum, a o godz. 16 pracował już na 77 proc. W Opolu między godz. 11 a 16 blok numer 1 przyspieszył z 44 do 51 proc. maksymalnej zadeklarowanej mocy. W Bełchatowie ok. godz. 14 włączono nawet uśpiony blok 9. W kolejną niedzielę sytuacja z grubsza się powtórzyła – choć tym razem kilka bloków w Turowie, Bełchatowie, Połańcu i we Włocławku na czas przymusowego postoju OZE również odesłano na tymczasowy odpoczynek.

Powyższe zestawienie nie pozwala na postawienie zarzutu, że ideologiczna niechęć rządzących do zielonej energii zwyciężyła nad rachunkiem ekonomicznym, czy na spiskową hipotezę, jakoby ograniczenie mocy produkcyjnych OZE miało na celu zwiększenie zysków elektrowni węglowych. Te ostatnie w olbrzymiej większości faktycznie są własnością spółek skarbu państwa i zasilają budżet miliardami z podatków oraz dywidendami (choć w zeszłym roku Enea, PGE i Tauron zdecydowały nie wypłacić ich akcjonariuszom). Kontrolowani przez państwo giganci energetyczni prócz kotłów na węgiel i gaz mają jednak również instalacje fotowoltaiczne oraz wiatrowe. Z ich punktu widzenia ograniczenie produkcji niskokosztowej zielonej energii na rzecz prądu z węgla, którego koszty windują certyfikaty emisji CO₂, nie miałyby sensu, zwłaszcza że większość wytwarzanego prądu sprzedają dziś po stałej, wysokiej cenie własnym spółkom dystrybucyjnym.

Eksperti Forum Energii, think tanku zajmującego się polskim rynkiem energetycznym, szacują, że podczas dwóch wymuszonych przestojów polskie instalacje fotowoltaiczne nie wyprodukowały łącznie ok. 29 gigawatogodzin energii. Do wytworzenia takiej ilości prądu elektrownie węglowe i gazowe musiały zużyć ok. 7 tys. ton węgla kamiennego, ok. 6,3 tys. ton węgla brunatnego oraz ok. 590 tys. metrów sześciennych

gazu ziemnego. W połączeniu z opłatami za emisję ok. 22 tys. ton CO₂, daje to 16,6 mln zł, które można było zaoszczędzić, gdyby prąd pochodził z paneli fotowoltaicznych i wiatru.

Dlaczego zatem 23 i 30 kwietnia kraj mający jedno z najwyższych hurtowych cen energii elektrycznej w Europie i tradycyjnie okupujący czołówkę największych trucicieli Starego Kontynentu, postanowił zastąpić tanie źródło prądu droższym, a przy okazji wypuścić do atmosfery tyle dwutlenku węgla, ile w ciągu całego roku wyemitowałoby ok. 3,5 tys. domów jednorodzinnych ogrzewanych piecami węglowymi?

Zabrzmie to absurdalnie, ale zapewne nikt nawet nie pomyślał, że można to rozegrać inaczej.

Kwiatek do kozucha

Do sytuacji, kiedy odnawialne źródła energii trzeba odłączać od sieci, żeby zrobić w niej miejsce elektrowniom węglowym, będzie zapewne dochodzić coraz częściej. To, niestety, najprostsze rozwiązanie. OZE można wyłączyć i włączyć w każdej chwili, dosłownie jednym ruchem myszki. W przypadku elektrowni konwencjonalnych da się jedynie zmniejszyć moce wytwórcze, trudno je po prostu wyłączyć. Powtórne uruchomienie jest bardzo kosztowne i czasochłonne.

Jak zauważa szefowa Forum Energii Joanna Maćkowiak-Pandera, w polskiej narracji o OZE akcenty wciąż stawia się na zagrożenia, nie szanse. Energetycy od lat ostrzegają, że wzrost znaczenia zielonej energii w polskim miksie doprowadzi do destabilizacji systemu, jeśli postawimy za mocno na OZE, a pewnego dnia np. przestanie wiać wiatr. Takie obawy budziły już dni, gdy z odnawialnych źródeł pochodziło 10 proc. energii. Dziś nągminnie zdarzają się takie, gdy blisko połowę prądu mamy z wiatru i słońca. I choć energetyka działa bez zakłóceń, opowieść o „nagłej destabilizacji” wciąż ma się dobrze.

– Po kwietniowych wyłączeniach pojawiły się głosy, jakoby Polska cierpiała na nadmiar odnawialnych źródeł energii – mówi Maćkowiak-Pandera. – To absurd. Problemem nie jest zbyt duża moc zainstalowanych OZE, ale niska elastyczność systemu i energetyki węglowej.

Polski mikś energetyczny wciąż opiera się na węglu. Wprawdzie rząd PiS zobowiązał się do pełnego odejścia od ener-

getyki opartej na kopalinach do 2049 r. (patrz infografika), ale trudno pozbyć się wrażenia, że w ten sposób sprzedał Unii Inflanty. Realna polityka energetyczna Polski wciąż traktuje OZE jak kwiatek do węglowego kozucha. Rząd negocjuje właśnie z Brukselą przedłużenie zgody na dotowanie krajowego górnictwa. Dziesiątki miliardów złotych z certyfikatów emisji CO₂, które co roku płyną do kasy państwa, tradycyjnie rozpluwają się gdzieś w budżecie, miast służyć wspieraniu transformacji energetycznej.

PiS zablokował rozwój energetyki wiatrowej już w pierwszych miesiącach swych rządów, idąc na układ z wiejskimi latyfundystami, którzy z farmami wiatrowymi rywalizują o grunty. Ekspansja krajowej fotowoltaiki, która w ciągu trzech ostatnich lat zwiększyła moce produkcyjne z 5 do niemal 13 gigawatów, jest z kolei fenomenem wybitnie oddolnym, któremu obecna władza długo próbowała, w najlepszym razie nie przeszkadzać.

Na domiar złego większość z blisko 800 tys. km archaicznej sieci przesyłowej nie nadaje się do obsługi systemu, w którym obok wielkich elektrowni są też setki tysięcy małych instalacji prosumenckich. Sprawozdanie z działalności prezesa Urzędu Regulacji Energetyki za rok 2022 nie pozostawia złudzeń, że możliwości przyłączenia nowych instalacji produkujących czystą energię praktycznie się wyczerpały, a większość firm wnioskujących o podpięcie do sieci odchodzi z kwitkiem. W zeszłym roku z odmową spotkało się aż 7 tys. wniosków – więcej niż w całej ostatniej dekadzie. Rozwiązaniem mogłoby być coś, na co polskie prawo na razie nie pozwala, czyli instalowanie na jednym przyłączy paneli słonecznych i turbin wiatrowych (ang. *cable pooling*). Taka hybrydowa elektrownia może dostarczać nawet o 40 proc. więcej energii przy takiej samej przepustowości łącza. Zapewnia też większą stabilność produkcji, bo wiatr wieje także nocą i zimą, kiedy panele słoneczne na niewiele się zdają.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska zapowiada, że przepisy legalizujące *cable pooling* przejdą przez parlament jeszcze w tej kadencji. Bardziej prawdopodobny wydaje się jednak scenariusz, że OZE, które w energetyce przegrywa z węglem, w harmonogramie sejmowych prac przegra też z 800 plus.

©P

Współpraca KRZYSZTOF STORY

Cywilizacja żarcia

PROF. TADEUSZ POMIANEK, AUTOR REFORMY SYSTEMU PRODUKCJI ŻYWNOSCI:

Straszenie narodu jedzeniem robaków wynika albo z braku wiedzy, albo z cynicznego założenia, że to pomoże przy wyborach. Ale w efekcie służy światowym koncernom, a nie Polsce.

MAREK KĘSKRAWIEC: Czy w dyskusjach o katastrofie klimatycznej stawiamy właściwie akcenty?

TADEUSZ POMIANEK: Skupiamy się przede wszystkim na problemie emisji gazów cieplarnianych związanych z produkcją energii, więc słyszymy najczęściej o konieczności pozyskiwania jej z odnawialnych źródeł, które zastąpią ropę, węgiel i gaz. Zdecydowanie za mało mówimy o innym zagrożeniu, które co do skutków jest jeszcze wszechstronniejsze – przemysłowej produkcji żywności, z której pochodzi 35 proc. emisji gazów. Grunty rolne w świecie faszeryjemy rocznie 3,5 mln ton toksycznych pestycydów i 200 mln ton nawozów sztucznych. Przy czym ok. 90 mln ton nawozów niezaabsorbowanych przez uprawy, a także inne środki chemiczne oraz odpady zanieczyszczają ziemię i wodę oraz niszczą bioróżnorodność.

Mówimy o przemysłowej żywności, ale chodzi głównie o mięso.

Wyprodukowanie kilograma mięsa oznacza średnio emisję 22 kg ekwiwalentu dwutlenku węgla, w przypadku wołowiny to nawet 36 kg. Po drugie: cały cykl, czyli produkcja pasz i nawozów, a także okres hodowli i przetwórstwo – powodują gigantyczne zużycie wody. Potrzeba jej powyżej 20 ton, by w sklepie pojawił się kilogram wołowiny. Krowy są zresztą specyficzne, z racji budowy układu trawienno-emitują najwięcej gazów, głównie metanu, który daje 26 razy większy efekt cieplarniany niż CO₂.

Mamy w pamięci romantyczny widok krówki na łące, tymczasem miliony z nich żyją w Polsce stłoczone w koszmarnych warunkach. Czy fakt, że łatwiej nam mówić o rezygnacji z węgla niż o losie cierpiących przez

całe życie zwierząt, to dowód na naszą hipokryzję?

Na hipokryzję, ale i brak wiedzy. Połączyły się tu dwie potężne siły: bezrefleksyjna cywilizacja żarcia oraz olbrzymie koncerny, które opanowały rynek chowu przemysłowego, produkcji nasion, nawozów i pestycydów. Biorąc pod uwagę, jak atrakcyjni są to partnerzy dla banków, dostaniemy odpowiedź, kto dyktuje systemem. Z drugiej strony mamy społeczeństwo, które pierwszy raz w historii stać na konsumpcję takiej ilości mięsa, ale nie ma wiedzy, jakim kosztem się to odbywa. Przed wojną Polacy jedli rocznie 16 kg mięsa na osobę, teraz – 79 kg. Tymczasem według wskazań WHO i Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego optimum to 25 kg rocznie; więcej już nam szkodzi.

Dlaczego ta wiedza do nas nie dociera?

Przeciwagą dla lobby producentów i braku wiedzy mogliby być rządzący oraz media, zwłaszcza publiczne. Zamiast jednak podjąć się roli edukacyjnej, konsumują pieniądze za reklamy. Nie tylko produktów mięsnych, ale też leków i suplementów, które spożywamy w efekcie tego „wielkiego żarcia”. Firmy farmaceutyczne karmią media kwotą 4,5 mld zł rocznie – to jest niesamowity łańcuch interesów, kosztem naszego zdrowia. Zamiast jeść mniej niezdrowego mięsa, jemy więcej leków. W Europie gorsi pod tym względem są tylko Francuzi. Czas zatrzymać ten pochód do grobu.

To jednak bardzo skuteczny mechanizm. W jego ramach udało się Polakom wmówić, że jakiegokolwiek działania przeciwko przemysłowej branży spożywczej to atak na polskiego rolnika. Tymczasem w niej

liczą się światowi giganci, a nie polscy rolnicy.

To jest obszar wieloletniego, nieprawdopodobnego zakłamania. Po upadku komuny żadna ekipa rządowa nie opracowała długofalowego programu rozwoju rolnictwa i terenów wiejskich. Miasta dostały wędki, a wsie ryby, więc dopłaty bezpośrednio z Unii zamieniły je w królestwo socjału. 800 tys. niby-rolników otrzymuje rocznie 7 mld zł, choć tak naprawdę bez umowy dzierżawia ziemię komuś innemu albo biorą pieniądze za posianie trawy na polu. To nie tylko problem Polski, ale całej UE. Urzędnicy w Brukseli doskonale wiedzą, że system dopłat jest toksyczny i pełen nadużyć, a jednak wciąż go utrzymują. W jego ramach co roku miliardy euro lądują również u producentów żywności przemysłowej albo pasz dla zwierząt i ich hodowców.

A co o tym sądzą mieszkańcy wsi?

Przecież to im smrodzą pod nosami te fermy i to ich woda jest zanieczyszczana.

Nawet gdy lokalna ludność ma świadomość zagrożeń i protestuje przeciwko kolejnym wielkim fermom, zazwyczaj przegrywa, bo władze państwowe od lat akceptują ten chory system. Mamy w Polsce 1,3 mln gospodarstw, ale produkcją na rynek zajmuje się ok. 400 tys. Wiele się poddało, bo wyeliminowała je konkurencja przemysłowych producentów mięsa. A skoro i oni dostają dopłaty, to brakuje impulsu, by iść w stronę ekologicznej żywności. W Polsce tylko 3 proc. gruntów rolnych przeznaczonych jest na ten cel; w sąsiednich Czechach 14 proc., w Estonii 20 proc. Po naszym wstąpieniu do Unii na polską wieś poszło ponad 600 mld zł; 42 proc. w postaci dopłat, reszta to nasze podatki. Mogliśmy te pieniądze wydać mądrzej, np. wspierając naturalny chów oraz produkcję zdrowej żywności.

Czy polityk, który publicznie twierdzi, że UE chce nas zmusić do jedzenia robaków, choć przecież chodzi tylko o ograniczenie spożycia przemysłowego mięsa, występuje w obronie polskiego rolnika?

To budzenie lęków w narodzie wynika albo z braku wiedzy albo z cynicznego założenia, że to pomoże przy wyborach. Ale w efekcie służy światowym koncernom, a nie Polsce. Tymczasem niewiele trzeba, byśmy zawarli mądry kompro-



PETER MENZEL / SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

Fabryka hamburgerów w Grand Meadow, Minnesota, USA, 2011 r.

mis społeczny. Nie trzeba iść drogą naukowców Uniwersytetu w Leeds i firmy Arup, które zalecają najwyżej 16 kg mięsa rocznie. Niech to będzie 25 kg, zgodnie ze wskazaniami WHO, a resztę możemy uzupełnić mądrze dobranymi warzywami, białkiem roślinnym, rybami i owocami morza, odtwarzając przy okazji nasze rybołówstwo dalekomorskie (choć ekstensywny sposób połowów też należałoby ograniczyć).

Odzyskalibyśmy dzięki temu 8 mln hektarów areali pod białko roślinne, warzywa. A to oznacza też, oprócz gigantycznej redukcji gazów, dziesięć razy mniejsze zużycie wody w kraju, który ma trzykrotnie mniejsze zasoby niż średnia europejska. Rocznie ratowalibyśmy w ten sposób 50 mld ton wody, czyli 4 tony dziennie na osobę. Przy tej okazji moglibyśmy też przywrócić do życia sztucznie osuszone torfowiska, które świetnie pochłaniają gazy i przywracają bioróżnorodność. To jest pójsię środkiem drogi w stronę zdrowego społeczeństwa, a nie żaden radykalizm.

Przy okazji pochłanialibyśmy też mniej antybiotyków, którymi fašzerowane są zwierzęta, i które powodują w nas lekooporność.

To jest 800 ton antybiotyków rocznie w samej Polsce, których nie używalibyśmy przy roślinach. W naszym interesie jest także wyzerowanie eksportu przemysłowego mięsa – odbywa się on kosztem naszej zatrutej ziemi, naszych rzek i naszego zdrowia. W interesie Polski jest eksport z chowu naturalnego, który oznacza 40 proc. mniej gazów i siedmiokrotnie niższe zużycie energii niż „przemysłówka”. Ale społeczeństwo musi to najpierw zrozumieć, a potem wymusić działania na politykach. Sami tego nie zrobią.

Polska Polską, ale te patologie wzmacnia też polityka unijna.

Wartość całej produkcji ekologicznej w Unii to ledwie 42 mld euro, a dopłaty do przemysłowej produkcji żywności – 30 mld euro. To zgniły kompromis, drepczemy w miejscu, a przecież nie wiemy, gdzie jest granica wytrzymałości środowiska naturalnego, po przekroczeniu której nie będzie już szans na ratunek dla naszych dzieci i wnuków. Mimo wszystko cieszymy się, że jesteśmy w UE, bo ona coś próbuje robić, choćby w ramach Zielonego Ładu, który będzie wspierał produkcję ekologiczną. Kolejne polskie rządy nie mają się czym pochwalić. U nas większą szansę widzę w edukacji domowej, ale tu

nauczycielem byłoby młodsze pokolenie, ono jest bardziej świadome i wrażliwe.

Niemal trzy czwarte ziemi rolnej podporządkowane jest produkcji przemysłowej mięsa i pasz dla zwierząt hodowlanych. Co by Pan zmienił?

Do wyprodukowania kilograma białka zwierzęcego potrzeba 6 kg białka z roślin. Tymczasem z jednego hektara można wyprodukować 6 do 20 razy więcej białka roślinnego niż zwierzęcego, a w przypadku wołowiny – 90 razy. Żaden głód nam więc nie grozi. Mięso też przecież będziemy jełli. Jego białko ma całą gamę aminokwasów, jest łatwiej przyswajalne niż roślinne, zawiera specyficzne mikroelementy. Jedzmy go po prostu mniej i w bardziej naturalnej formie.

Jednak z roślinami też mamy kłopot. Tak jak ledwie 8 gatunków zwierząt – z 40 udomowionych – daje ludzkości 95 proc. mięsa, tak 12 roślin zapewnia 80 proc. zbiorów, a znamy 30 tys. gatunków jadalnych. Tu też króluję przemysłówka.

Tak, to zboża, soja, awokado, kukurydza, palmy olejowe. Usilnie pracujemy, by wytrącić przyrodę z równowagi i w końcu się udusić. Pamiętajmy, że jednym płucem Ziemi są produkujące tlen lasy, z Puszczą Amazońską na czele, wycinane bez opamiętania głównie na globalnym Południu. Uprawiana tam później soja i kukurydza wędrują na globalną Północ, do wielkich ferm emitujących gazy, żebyśmy na koniec my zażerali się mięsem. Brak lasów ogranicza absorpcję gazów, wzrasta temperatura, więc biedni ludzie z Południa uciekają na Północ, o co jesteśmy źli, bo zalewają nas fale migrantów. A to przecież logiczna konsekwencja naszych działań, która może się fatalnie skończyć dla całej cywilizacji.

A drugie płuco?

Drugą połowę tlenu produkuje fitoplankton w procesie fotosyntezy, absorbując dwutlenek węgla. Jeśli w oceanach lądują miliony ton nawozów, pestycydów i odpadów, to zatruwamy go ekspresowo. Na dodatek oceany pochłaniają 93 proc. ciepła powstałego wskutek zmian klimatu. Jednak w przeciwieństwie do wycinki drzew kwestia zatruwania planktonu oznacza tyle

→ zmiennych, że naukowcy nie są w stanie określić punktu, w którym zacznie on bezpowrotnie zanikać. Ale kiedy to nastąpi, będziemy mieli pełny talerz, przy którym się udusimy. Podobny mechanizm dotyczy owadów. Z niemieckich badań wynika, że z powodu skażenia środowiska tylko na terenach chronionych w ciągu niecałych trzech dekad znikło 70 proc. biomasy owadów, odpowiedzialnych za równowagę biologiczną. Kiedyś, gdy jechał pan latem autem po zmroku, to przednia szyba pokrywała się szybko owadami. A teraz?

Od 1970 r. liczba dzikich zwierząt spadła o 69 procent.

I zostało ich w sumie ledwie 4 procent. Tych hodowlanych, głównie kurczaków, mamy 60 mld – w stosunku do 8 mld ludzi. Z czego przy przetwórstwie, transporcie i konsumpcji marnuje się 20 proc. mięsa, co oznacza, że ok. 12 mld umęczonych zwierząt ginie bez sensu. Proszę sobie uświadomić te liczby i warunki, w jakich żyją ofiary naszych zwyczajów kulinarnych.

Które z roślin mogłyby najwydajniej zastąpić część konsumpcji mięsa?

Najbliższe cechom białka zwierzęcego są rośliny strączkowe i orzechy. Mamy różne diety, w tym śródziemnomorską, zawierające o wiele więcej warzyw i owoców. Jest skąd inspirować się zdrową i smaczną kuchnią. W Polsce zresztą jeszcze nie tak dawno jedliśmy o wiele mniej mięsa i nie głodowaliśmy.

Mądre państwo mogłoby promować politykę powolnego odchodzenia od wiejskiego mięsa na rzecz zdrowej żywności. Zamiast tego mięso stało się patką w rękach polityków na użytek wyborów.

Jak widać, politykom dla krótkotrwałego sukcesu odpowiada sytuacja, w której 60 proc. Polaków ma nadwagę, przy średniej 25 proc. na świecie. Otyłych mamy 25 proc., a świat tylko 8 proc. Co czwartemu Polakowi grożą więc miażdżycy, nadciśnienie, choroby serca, cukrzyca, zwyrodnienia stawów, nowotwory, choroba Alzheimera, lekooporność z powodu antybiotyków w diecie. Ludzie żyją w bólu, wielu nie może pracować, cierpi psychicznie. Będzie tylko gorzej, jeśli nie przerwiemy tego łańcucha,



ARCHIWUM PRYWATNE

DR HAB. INŻ. TADEUSZ POMIANEK jest prezydentem Wyższej Szkoły Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie; współautor projektu reformy systemu produkcji żywności w Polsce.

którego elementem jest również zapaść instytucji badających jakość żywności.

Czy polityk, zwłaszcza mieniący się patriotą, nie powinien tego rozumieć? Kochać ojczystej przyrody, rzek i łąk?

A jeśli uważa się za chrześcijanina, powinien też kochać bliźniego i o niego dbać, jeśli sprawuje władzę. Powinien nas uświadamiać, że dewastujemy swój świat i popełniamy samobójstwo, co jest sprzeczne z wiarą.

Co Pan powie komuś, kto twierdzi, że nie stać go na żywność ekologiczną, więc kupuje mięso, bo jest tanie i daje dużo energii?

Przy kalkulacji kosztów nie bierze się pod uwagę tych pośrednich, a więc skutków emisji gazów cieplarnianych, degradacji środowiska, kosztów leczenia chorób, lekooporności etc. Tego nie płacimy w cenie mięsa, ale jeśli przyjmiemy jego średnią obecną cenę, czyli 28 zł, to same koszty pośrednie związane z emisją gazów z ferm wynoszą 9 zł. Ponosimy je wszyscy, tylko w innym miejscu. Nie ponoszą ich producenci mięsa, choć powinni, tak jak płacą za emisję CO₂ np. elektrownie węglowe. Potężnym kosztem jest też utrata bioróżnorodności, która wedle międzynarodowych badań dodaje do ceny kilograma mięsa dodatkowe 19,5 zł. Za to też nie płacą producenci, tylko my wszyscy. Przestańmy więc mówić, że żywność przemysłowa

jest tania. Jest bardzo droga, ale w sklepie płacimy tylko część rachunku.

Czy żywność ekologiczna może być tańsza?

Mięso ekologiczne jest o 30-50 proc. droższe niż przemysłowe, kosztuje ok. 42 zł. Ale skoro to drugie tak naprawdę powinno być dwa razy droższe z uwagi na koszty pośrednie, to mamy odpowiedź. Co ważne, upowszechnienie produkcji naturalnej spowoduje spadek cen dobrego mięsa, ono też jest tańsze w transporcie, bo wiąże się z krótkimi łańcuchami dostaw. Nawet biorąc pod uwagę fakt, że postulowaną mniejszą konsumpcję mięsa trzeba byłoby zrekompensować rybami i warzywami, żadnej finansowej tragedii dla klienta to nie oznacza.

Gdzie tkwią największe szanse naszego rolnictwa? Ono jest dość zacofoane, ponad połowa gospodarstw ma parę hektarów, bo wiele pól gospodarze trzymają tylko dla dopłat.

Konkurencyjny jutro będzie ten, kto najszybciej powróci do produkcji żywności w jako takiej harmonii z przyrodą. Trzeba jednak wcześniej skończyć z ukrywaniem faktycznych kosztów żywności przemysłowej i z dopłatami za koszenie trawy, a pieniądze z tego socjału przekazać na przekwalifikowanie i aktywizację zawodową. Potrzebujemy rąk do pracy. Gospodarstwa staną się większe i bardziej opłacalne, bo wielu niby-rolników sprzeda swe pola albo zacznie produkować na rynek.

Jest jeszcze problem Ukrainy, która być może wejdzie kiedyś do Unii. Niskie koszty, świetne gleby, jak z nimi konkurować?

Nie wygramy z czarnoziemami, ile byśmy zużyli nawozów, niszcząc zarazem naszą glebę. W polskim interesie politycznym jest Ukraina w Europie, i ten impuls musimy wykorzystać, by szybko pójść w stronę jakościowej żywności, produkowanej w większej zgodzie z naturą. Moglibyśmy też zarabiać na eksporcie ukraińskich zbóż i produktów. Przecież w XVI wieku mając jedyny port w Gdańsku, słałiśmy dwa tysiące statków rocznie na Zachód, wysyłając tam zboża, drewno, wołowinę. Mamy swoje tradycje. Możemy jeszcze być spichlerzem Europy.

© Rozmawiał MAREK KĘSKRAWIEC

TOMASZ

Stawiszyński:

Obojętność



ISTNIEJE PEWNA POWTARZAJĄCA SIĘ z upiorną konsekwencją okoliczność, która łączy historie ofiar Jeffreya Epsteina, Petera Madsena, Jimmy'ego Savile'a, dzieci molestowanych przez księży i zakonników oraz dręczonych

– a czasami mordowanych, jak ośmioletni Kamil z Czechochowy – przez najbliższych. Tę listę można by oczywiście rozszerzać w nieskończoność, nieskończona jest bowiem ludzka zdolność do okrucieństwa, a właśnie o systematyczne wytwarzanie warunków sprzyjających okrucieństwu tutaj chodzi. Dokładniej rzecz ujmując: o tę specyficzną ślepotę, obojętność, odwracanie wzroku, racjonalizację, samooszukiwanie – nie wiem doprawdy, które z tych określeń jest najbardziej adekwatne, dlatego przytaczam je wszystkie – cechujące ludzi pozostających w bezpośredniej bliskości cudzego cierpienia, a zarazem efektywnie udających przed sobą, że go nie dostrzegają. Czy też może raczej należałoby powiedzieć: dokonujących we własnych umysłach, duszach, wyobraźniach i sumieniach różnych interpretacji – najczęściej, co sami przed sobą *post factum* niekiedy przyznają, absurdalnie wprost karkołomnych – które mają jeden zasadniczy cel: z rzeczywistości uczynić nierzeczywistość, z czarnego białe, z pustego pełne albo odwrotnie.

Potwierdza się to w bez mała wszystkich serialach dokumentalnych, doniesieniach prasowych, książkowych i telewizyjnych reportażach skrupulatnie rekonstruujących dramaty, do których dochodziło bynajmniej nie na jakichś odciętych od świata pustkowiach, ale w samym centrum życia społecznego. W domach rodzinnych otoczonych innymi domami, w wielkich miastach i na wielkich osiedlach, w mniejszych lub większych zbiorowiskach, czasami zaś niemal wprost przed kamerami, a w każdym razie pod ich czujnym okiem. Zawsze to samo: oczywiste znaki przemocy, jej wielorakie i wielopoziomowe symptomy, zarówno bezpośrednie, jak pośrednie, zarówno u sprawców, jak i u ofiar, były od samego początku widoczne i od samego początku ignorowane.

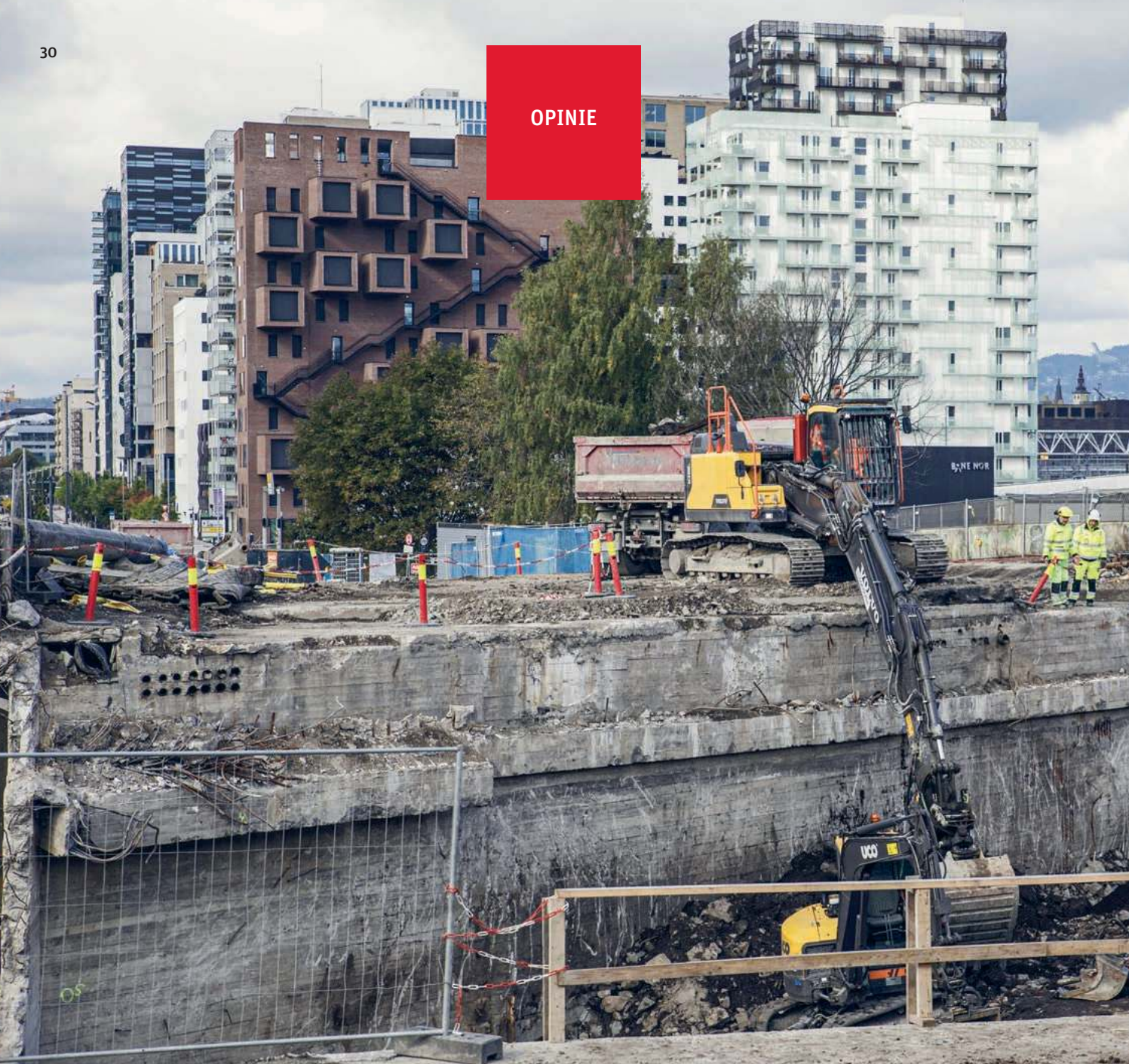
Z czego się to bierze? Po części z tego, o czym już kiedyś na łamach „Tygodnika” wspominałem w felietonie „Wielka wizja”. Pisałem go zaraz po obejrzeniu serialu poświęconego losom szwedzkiej dziennikarki Kim Wall zamordowanej przez wynalazcę Petera Madsena na pokładzie własnoręcznie przezeń skonstruowanej łodzi podwodnej. Uderzyły mnie wówczas pojawiające się co i rusz tłu-

maczenia, że choć faktycznie Madsen wykazywał różne niepokojące skłonności, choć jego zachowania i wypowiedzi mogły zasadnie budzić podejrzenia – nikt nawet przez moment nie uznał go za potencjalnie niebezpiecznego, ponieważ był „człowiekiem z wizją”. Takich właśnie „ludzi z wizją”, wybitnych, silnych, charyzmatycznych, a jednocześnie pozbawionych skrupułów i zdolnych do najstraszliwszych czynów – ludzi, którym nikt nie odważył się przeciwstawić właśnie z uwagi na ich potęgę – było w historii mnóstwo. I z pewnością – jak w tamtym felietonie próbowałem pokazać – współczesna, bezrefleksyjnie promująca siłę, efektywność i sukces (a więc... drapieżnictwo) kultura przyczynia się wydatnie do zbiorowego zaślepienia na potencjalne okrucieństwo podobnych Madsenowi (Putina, Degollada, Savile'a, Epsteina, Weinsteina *et consortes*) postaci.

Co jednak z okrucieństwem tzw. zwykłych obywateli? Z okrucieństwem wydarzającym się nie w królestwie sławnych, wielkich i potężnych, ale za ścianą, za rogiem, po drugiej stronie ulicy? Nie w świecie celebrytów, ale u sąsiadów, wśród rodziny czy przyjaciół? Działają tu chyba nieco inne mechanizmy, choć ostatecznie efekt jest przecież ten sam: znieczulenie, ślepota, obojętność, tragedia.

Nie jest to oczywiście zjawisko nowe i powstało już wiele trafnych – także naukowych – odpowiedzi na pytanie, jakie są jego źródła. Od indywidualnych, związanych z redukcją dysonansu poznawczego, po zbiorowe, kiedy to w dużych skupiskach poczucie odpowiedzialności za reakcję na zło ulega rozproszению. Innymi słowy – każdy myśli, że ktoś inny zapewne zareaguje, w związku z czym finalnie nie reaguje nikt, bo wszyscy uważają, że to ostatecznie nie jest ich sprawa. Od psychologicznych, pokazujących, że mamy tendencję do widzenia zła zawsze gdzieś daleko, na zewnątrz nas samych i naszego otoczenia, po socjologiczne, sugerujące, że w odpowiednio skonfigurowanym kontekście ludzie zachowują się wbrew swojej własnej moralnej wrażliwości i swoim własnym moralnym kodeksom.

Do tego dodałbym jednak jeszcze jeden element. A mianowicie wylewające się zewsząd, z ekranów telewizorów i kin oraz mediów społecznościowych obrazy i idee zła spektakularnego, działającego w ukryciu, czyhającego na nas pod rozmaitymi wymyślnymi kamuflażami: wielkich koncernów, oświeconych obsesjami seryjnych morderców, tajnych światowych rządów planujących metodyczną depopulację przy pomocy szczepień i innych wynalazków. Może – to tylko ostrożna hipoteza – wskutek permanentnego kontaktu z tego typu opowieściami znaczną część naszej czujności i podejrzliwości inwestujemy w tropienie wyimaginowanych spisków albo domniemywania machinacji przeciwników politycznych zamiast w przyglądanie się temu, co dookoła? Tymczasem faktyczne zło wydarza się tuż przed naszymi oczami, tyle że bywa ono dla nas zbyt mało spektakularne, zbyt mało atrakcyjne, że byśmy w ogóle zwrócili na nie uwagę. ©



ROZMÓWKI POLSKO-NORWESKIE

Słowo „Polak”, po norwesku „polakk”, jest w pierwszej dziesiątce najczęściej używanych przekleństw w tutejszych szkołach średnich.

EWA SAPIEŻYŃSKA Z NORWEGII



KYRRE LIEN / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

„W Norwegii nie znajdziesz placu budowy, na którym nie ma Polaków”. Oslo, 2017 r.

o „polskich godzinach pracy”, czyli długich dniówkach. Norwescy pracownicy opuszczają plac budowy po 7 godzinach i 45 minutach (z wliczoną przerwą na lunch), polscy zostają. Tylko niektórym zostanie wypłacony dodatek za nadgodziny według obowiązujących stawek.

Ale te „polakowskie” żarówki? Że co? Tanie? Byle jakie?

Samo słowo Polak, po norwesku „*polakk*”, jest w pierwszej dziesiątce najczęściej używanych przekleństw w norweskich szkołach średnich. Listę, w tym kraju słynącym z równouprawnienia i tolerancji, otwierają „dziwka” i „homo”. Polak pojawia się niżej, w towarzystwie „Żyda”, „ciapatego” i „czarnucha”. Obok plasuje się „ziemniak”, poniżające określenie na Norwegów o jasnej karnacji, używane głównie w szkołach, gdzie większość uczniów ma ciemną skórę. Taka „ziemniaczana” zemsta za inne inwektywy, pijąca do białości i rolniczego rodowodu miejscowych.

Mniejszość największa

Polacy są narodem emigrantów – i to nie od wczoraj. Rozsiana po świecie Polonia to 20 mln ludzi. Chicago to drugie po Warszawie największe polskie miasto, w Wielkiej Brytanii mieszka nas milion, w Niemczech dwa miliony. Jesteśmy największą mniejszością narodową na Islandii, a także w Norwegii, gdzie mieszkam od niemal 20 lat.

Polacy przybywali tutaj w kilku okresach historycznych. Najpierw podczas II wojny światowej: Samodzielna Brygada Strzelców Podhalańskich wzięła udział w bitwie o Narvik, a wielu Polaków przywieziono tu na roboty przymusowe, np. ojca muzyka Jana Garbarka. W latach 80. XX w. do Norwegii uciekło wielu działaczy Solidarności. Obecna, trzecia i największa fala migracji zaczęła się wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. Już w 2008 r. było nas w Norwegii więcej niż dominujących przedtem Szwedów i Pakistańczyków. Dziś na drugim miejscu plasują się Litwini. Polaków jest ponad 100 tys., Litwinów ponad 45 tysięcy.

Migracja nigdy nie jest łatwa. Wybieramy ją z różnych powodów. Szukając nowego początku. Uciekając przed czymś. Chcąc lepiej zarabiać. By spłacić długi, tak jak autor reportażu „No(r)way” Piotr Mikołajczyk czy jak bohater polsko-norweskiego filmu „Norwegian Dream”, który miał niedawno premierę w Polsce na festiwalu OFF Camera. Albo z miłości, jak niżej podpisana. A nieraz, by miłość mogła dalej kwitnąć – by nie bać się chodzić z partnerem czy partnerką tej samej płci za rękę ulicą.

Model biznesowy

Napisałam książkę „Nie jestem twoim Polakiem”, której polskie tłumaczenie właśnie się ukazało, bo po wielu latach życia w Norwegii wzbierał we mnie gniew. Gniew, który jest siłą kreatywną i który w końcu kazał mi się do tego zabrać. Granice pozamykała pandemia i dała mi czas, by pewne rzeczy przemyśleć.

Bo tak, byłam wkurzona na sąsiadów, którzy żądali usunięcia mojego nazwiska ze skrzynki pocztowej, „aby ceny nieruchomości w całej kamienicy nie spadły” (czy to racjonalność, czy inne słowo na „r”?). Wkurzona na rozczarowanie, jakie okazują często rozmówcy, gdy odpowiadam na pytanie: „Skąd tak

U PCHNĘLIŚMY NARTY W GARAŻU, SEZON NA BIEGÓWKI WŁAŚNIE SIĘ W OSLO ZAKOŃCZYŁ. Zaczyna się wiosna. Ruszamy do prac ogrodowych, sąsiad też. Słyszę, jak opowiada mojemu mężowi przez dzielący nasze domy murek: – Tyle miałem roboty, żeby ten dom doprowadzić do porządku. Poprzedni właściciel przyżydził, grzyba na ścianie zamalował i powkręcał polakowskie żarówki.

Myślałam, że się przesłyszałam. Taki sympatyczny starszy pan, a tu antysemicki komentarz i jeszcze „polakowskie żarówki”. Nie polskie, a polakowskie – taki norweski neologizm. Słyszałam już w Norwegii o polskich (i polakowskich) zawodach, czytaj: cieśla, murarz, hydraulik. („Martin znalazł sobie na wakacje polakowską pracę” – rzuca chłopak w tramwaju, a jego kumple wybuchają śmiechem). Słyszałam też



LINDA BOURNANE ENGELBERTH / ARCHIWUM PRYWATNE

Ewa Sapieżyńska. Oslo, maj 2022 r.

→ „naprawdę jesteś?”. Wkurzona na etykietkę, którą przykleja mi się na czoło. „A, z Polski...”. Czyli: wiem już o tobie wszystko.

Gniew rodzą też komentarze o polskości i dowcipy o Polakach, które za każdym razem powielają znany schemat. Proszę mi wierzyć, mam poczucie humoru. Nie w tym rzecz.

Ale gniew nie dotyczył tylko mnie. Dotyczył też warunków pracy i życia rzeszy polskich pracowników. Wielu pracodawców buduje „model biznesowy” na niedopłacaniu pracownikom. A ci, jeśli nie znają języka ani swoich praw i nie należą do związków zawodowych, są łatwym celem. W ekstremalnych przypadkach dopiero w razie choroby czy wypadku zauważają, że pracodawca nie płacił za nich składek, że nie istnieją w systemie.

Często jest też tak, że to pracodawca załatwia pracownikom dom na wynajem, ciągnąc z tego dodatkowe zyski. Jak ten, który mam w sąsiedztwie. Jest przeznaczony do rozbiórki, ale wynajem kwitnie. Dwanaście polskich nazwisk na skrzynce dziś zastąpił tuzin litewskich.

„To tylko Polak”

Kiedy książka „Nie jestem twoim Polakiem” ukazała się pół roku temu w Norwegii, tutejsza Rada Kultury Narodowej zdecydowała się kupić ją do wszystkich bibliotek. A biblioteki z wielu zakątków kraju zaczęły zapraszać mnie na spotkania z czytelnikami.

Parę tygodni temu, w drodze pociągiem z Oslo do biblioteki w Mjøndalen, przejeżdżałam przez Gulslogen. To tu w listopadzie 2008 r. spłonął dom, w którym mieszkało 22 pracowników z Polski. Siedmiu zginęło na miejscu. Kolejny miał ciężkie poparzenia na całym ciele i twarzy. Aby go ratować, po wyciągnięciu go z budynku koledzy obłożyli go śniegiem. Gdy po trzech tygodniach wybudził się ze śpiączki, wrócił do Polski. Tam czekał go rozwód i puste konto. Minęło 15 lat, a nikt nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej, choć według prawa to firma wynajmująca dom ponosi odpowiedzialność za bezpieczeństwo przeciwpożarowe.

Prokurator przyznał po latach, że gdyby w pożarze zginęli Norwegowie, dochodzenie obrałoby zupełnie inny bieg. Reportaż na ten temat, nakręcony przez norweską telewizję w 2015 r., nosił tytuł „To tylko Polak”.

„Polacy roznoszą wirusa”

Gniew gniewem, ale książkę napisałam z przynajmniej trzech racjonalnych powodów. Po pierwsze: choć jesteśmy największą mniejszością w Norwegii, naszych głosów nie słychać w debacie publicznej ani w polityce. Po drugie: napisałam ją, aby opowiedzieć Norwegom, jak może czuć się tutaj Polka. Po trzecie: aby opowiedzieć historii Polaków w Norwegii, pokazać tworzone przez nich ciekawe projekty i powiedzieć trochę o polskiej kulturze, która jest tu mało znana.

Spora część publikacji medialnych o Polakach w Norwegii to kronika kryminalna i artykuły, które klasyfikują nas jako tanią siłę roboczą. Podczas pandemii media wskazały nas jako winnych roznoszenia koronawirusa po całej Norwegii. „Inwazja” – to tytuł z gazety „Nordlys” o licznych samolotach z Polski w szczycie pandemii. Jedna z charytatywnych organizacji ostrzegала wtedy, że taka stygmatyzacja ma potworne skutki w życiu codziennym. Że polscy rodzice proszą dzieci, by nie mówiły po polsku w szkole, by uniknąć mobbingu.

W popularnym norweskim serialu „Wstyd” (doczekał się nawet amerykańskiej wersji) Polacy sprzedają piwo nieletnim. W serialu „Walka o przetrwanie” Polacy to rzezimieszki, mieszkają w nędznych warunkach i stanowią podklasę na usługach bogatych Norwegów.

A więc: tak, mówi się o nas. Ale my rzadko zabieramy głos.

Odcienie bieli

Głosu nie zabraliśmy też podczas debaty o dyskryminacji mniejszości, którą rozpoczęły protesty ruchu Black Lives Matter w Norwegii. W mediach tradycyjnych i społecznościowych ruszyła wtedy lawina osobistych opowieści o codziennej dyskryminacji. Ale znów nie było wśród nich historii największej mniejszości. A przecież te historie o trudnościach z wynajęciem mieszkania (zawsze proś mówiącego bez akcentu partnera, by dzwonił do wynajmującego) lub z dostaniem pracy w zawodzie (jeśli twoje nazwisko nie brzmi skandynawsko, szanse, że dostaniesz się na rozmowę o taką pracę, gwałtownie spadają), te historie z obraźliwymi komentarzami dotyczącymi miejsca, skąd jesteś, słyszane przez dzieci w szkole i na podwórku... Wszystko to brzmiało znajomo.

Musiałam zapytać przyjaciół o ciemniejszej karnacji, czy mogą czuć się zaproszona pod sztandary Black Lives Matter. Przyjęli mnie z otwartymi ramionami. Wielu z nich dostrzega, że biel ma wiele odcieni. Że my, Polacy, w Norwegii okazujemy się niedostatecznie biali.

Niemal połowa

Dlatego chciałam opowiedzieć moją historię – i wiele tych zasłyszanych od Polaków w Norwegii. Powiedzieć norweskiej publiczności, jak może się czuć w ich kraju osoba z Europy Środkowo-Wschodniej (po norwescu: Europy Wschodniej). Bo skąd Norwegowie mają to wiedzieć, skoro sami nie doświadczali dyskryminacji z powodu swojego miejsca pochodzenia? Mogło im się to tutaj przydarzyć tylko, jeśli są Saamami, ludnością rdzenną. Lub jeśli przyjechali z północy Norwegii na południe kilka dekad temu (przyjaciół z norweskiej północy powtórzył mi słowa znajomego o pakistańskich korzeniach: „Stary, w latach 70. to my, Pakistańczycy, zdjęliśmy z was jarzmo »tych obcych«”).

Gdy jeżdżą po świecie, Norwegom raczej nie przydarza się, aby ktoś patrzył na nich z góry. Mogło się tak dziać sto lat temu, gdy Norwegowie masowo wyjeżdżali za chlebem do Stanów i Kanady. Ale to doświadczenie dawno wypchnięto ze zbiorowej pamięci.

Według badań z 2022 r. aż 57 proc. Somalijszczyków czuło się w Norwegii dyskryminowanych w ostatnich 12 miesiącach. Podobnie odpowiedziało 43 proc. Polaków, a zatem nieco mniej, ale nadal niemal połowa.

Origami z dyplomu

47 proc. Polek w Norwegii ma wyższe wykształcenie (średnia wśród Norweżek to 45 proc.), a mimo to Polki pracują tu najczęściej jako sprzątaczk. Badania z 2010 r. pokazują, że w Oslo prawie 60 proc. z nich wykonywało ten zawód, przy czym przed emigracją tylko jeden procent z nich tak zarabiał na życie. Wyobrażam sobie ten długi rząd polskich kobiet, które siedzą przy nieskończeniu długim stole i składają origami z dyplomów wydanych w ojczyźnie.

Mężczyźni najczęściej pracują w budownictwie, podczas gdy tylko połowa z nich pracowała w tej branży przed wyjazdem z Polski. Niemal czterech na dziesięciu Polaków zatrudnionych tu w branży budowlanej jest przekonanych, że zarabia mniej niż ich norwescy koledzy. To najnowsze dane – i tak bardziej optymistyczne niż wcześniejsze.

W czasie wolnym

– W tym kraju nie znajdziesz placu budowy, na którym nie ma Polaków. Bez nas ten kraj by się zatrzymał – mówił mi jeden z rozmówców. A co robisz ci budowniczowie Norwegii w czasie wolnym? (Ktoś opowiadał mi o znajomym geju z Polski, który, pracując w Norwegii na budowie, skrywał swoje zainteresowania artystyczne i wymyślał historie o randce z dziewczyną w weekend na potrzeby small talku podczas drugiego śniadania; znów przypomina się „Norwegian Dream”).

Tu dochodzimy do mojego trzeciego powodu: pragnienia pokazania, że Polska to więcej niż to, o czym się tutaj słyszy. I pragnienie pokazania Polaków w Norwegii jako ludzi, którzy robią mnóstwo ciekawych rzeczy, choć sporą część z nich – w czasie wolnym.

W Norwegii jest mnóstwo polskich wspinaczy, aktywistów, tancerzy, artystów, architektów, lekarzy, filozofów, socjo-

logów, filmowców. Wielu poznałam podczas pisania książki. Wielu z nich nawiązało ze mną kontakt, by pogadać, kiedy książka już się ukazała. Nadal chodzimy na kawę. I spiskujemy – jak na pierwszego maja, gdy wysłaliśmy do mediów list otwarty, by zaprotestować przeciw zamknięciu przez inspekcję pracy możliwości zgłaszania po polsku niewłaściwych zachowań pracodawcy. Inspekcja zlikwidowała polski formularz na swojej stronie internetowej, bo, jak tłumaczyła, generował zbyt wiele zgłoszeń. Nawet w „najlepszym kraju świata” istnieje paragraf 22.

„Żadnego nie znaleźliśmy”

Napisałam moją książkę po norwesku, z myślą o norweskim czytelniku. Nie było mi łatwo pisać w języku, którego nauczyłam się, słuchając norweskiego radia i z podręcznika z biblioteki miejskiej (1 maja 2004 r., w dniu wejścia Polski do Unii, Norwegia przestała oferować bezpłatne kursy języka dla ludzi z krajów unijnych – byłoby za dużo zgłoszeń). W krótkich zdaniach starałam się wyrazić złożoność mojego tożsamościowego i językowego zawieszenia i oddać temperament osób, z którymi prowadziłam wywiady.

Czekam na więcej polskiej literatury migracyjnej. Na więcej nowych głosów spośród tych 20 milionów ludzi, którzy funkcjonują między różnymi rzeczywistościami, językami i tożsamościami. Z Wysp Brytyjskich, z Niemiec, z Holandii, ze Stanów.

W Norwegii powstała kilka lat temu niesamowita książka „Third Culture Kids”: zbiór portretów i wywiadów pokazujący różnorodność młodego pokolenia Norwegów. Nie ma wśród nich żadnej osoby o polskich korzeniach. W 2022 r. książka „Wystarczająco norweski?” zebrała 52 eseje Norwegów o wszelakim pochodzeniu etnicznym, którzy opowiadali, jak się identyfikują i czy czują, że muszą swoją norwescość udowadniać. Wśród tych 52 głosów znowu nie było żadnego polskiego. Zapytałam redaktora tej antologii, czemu nie ma w niej żadnego Polaka. „Żadnego nie znaleźliśmy” – odparł.

PS. Norweska dziennikarka zapytała mnie, czy moim postulatem jest, by Norwegowie przestali używać słowa „polakk”? Byłabym zadowolona, gdyby na początek przestali mówić „mój Polak” o kimś, kto maluje im płot.

© EWA SAPIEŻYŃSKA

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

- **BIELSKO-BIAŁA**, piątek 26 maja, spotkanie z Tomaszem Maćkowiakiem wokół książki „Byłam katolickim księdzem. Historia Ludmiły Javorovej” / stacjonarne /

- **WARSZAWA**, sobota 3 czerwca, spotkanie „Pomaganie jest legalne” z organizatorami wystawy „Pushback jest nielegalny. Pomaganie jest legalne” i wolontariuszami z Grupy Granica / stacjonarne /

- **OGÓLNOKLUBOWE**, wtorek 6 czerwca, spotkanie z Anną Goc, cykl „Piszę w Tygodniku” / online /

REZERWUJ
CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



KLUBYTYGODNIKA.PL



STOWARZYSZENIE
IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia

JAK URATOWAĆ JEZUSA

Dobra Biblia dla dzieci to nie tylko odkrycie edytorskie.
Może stać się początkiem ważnych pytań o dostęp do źródeł wiary.

ZUZANNA RADZIK

STALIŚCIE KIEDYŚ BEZRADNIE PRZED PÓŁką z Bibliami w obrazkach i Bibliami dla dzieci? Zbliża się okazja, na którą trzeba kupić komuś młodemu w rodzinie pobożny prezent, np. Pierwsza Komunia, ale sami nie wiecie, czy jedno banalne obrazki będą lepsze od drugich pastelowych. Czy Biblia, w której pominięto wyjście z Egiptu, to jeszcze Biblia? I właściwie czemu pominięto, skoro ta opowieść jest całkiem łatwa do zilustrowania? Mnie zdarzyło się uznać, że bezpieczniejsze dla zmysłu estetycznego i religijnego chrześniaka będzie, gdy obejdzie się bez swojego egzemplarza.

Dziś, gdy rynek książki dla dzieci i jej ilustracji jest w Polsce w rozkwicie, chciałoby się pytać, dlaczego ten trend omija literaturę religijną. Czy dzieci oglądające i czytające dobrych i wybitnych ilustratorów oraz autorów są w stanie wprowadzić w świat Biblii banalne ilustracje? Na półkach diecezjalnych księgarń pełno jest przedruków znanych amerykańskich pozycji. Jest „Action Bible” w postaci dynamiczno-komiksowej, pojawiają się wersje specyficzne płciowo: dla chłopców i dla dziewczynek. Bywa bardziej komiksowo i bardziej jak ze świętych obrazków.

Jak streścić Biblię

Biblia to nie jest prosta opowieść dla dzieci, a to, co najlepiej się dla najmłodszych nadaje, to mityczne opowieści z Księgi Rodzaju: o Adamie i Ewie w raju, o zwierzętach ratowanych przez Noego w arce, o budowie wieży Babel. To nie-

mał samo się rysuje. Z późniejszymi księgami bywa już gorzej, rzadziej udaje się w wydaniach dla dzieci pokazać, czym są Psalmi, o czym mówią Księgi Prorockie. To, co nie jest narracją prostą w opowiadaniu, łatwiej znika. Mniej da się opowiadać dzieciom o wojnach prowadzonych przez Izrael, trudniej sensownie pokazać Apokalipsę, oddać teologię listów Pawła, prościej zatrzymać się na przygodach Jezusa i paru migawkach z życia pierwszego Kościoła. Ale chyba powinny istnieć jakieś reguły, co w Biblii być musi, nawet gdy jest to wersja dla juniorów. Jaka właściwie powinna być Biblia dla najmłodszych?

– Biblie w obrazkach czy Biblie dla dzieci stały się specyficznym, dostosowanym do wieku, ale często infantylnym gatunkiem literackim – mówi „Tygodnikowi” prof. Kalina Wojciechowska, bibliстка z Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej. – Ich wadą jest często wybiórczość. W związku z tym ogromna staje się rola tego, kto dokonuje wyboru. Uczciwie wobec Biblii byłoby przedstawić każdą księgę, pokazać całą historię biblijną, choć nie zawsze trzeba sięgać po najtrudniejsze opowiadania, jak to o żonie Lewity z Księgi Sędziów. Jednak warto opowiedzieć ciąg historyczny i ewolucję wierzeń, wyobrażeń o Bogu.

To wymagałoby jednak opowiadania nie tylko samych biblijnych opowieści, ale też pokazywania tła historycznego, kontekstu i możliwych interpretacji. Prof. Wojciechowska przyznaje, że to trud, ale też istotny zysk: – To pomogło-

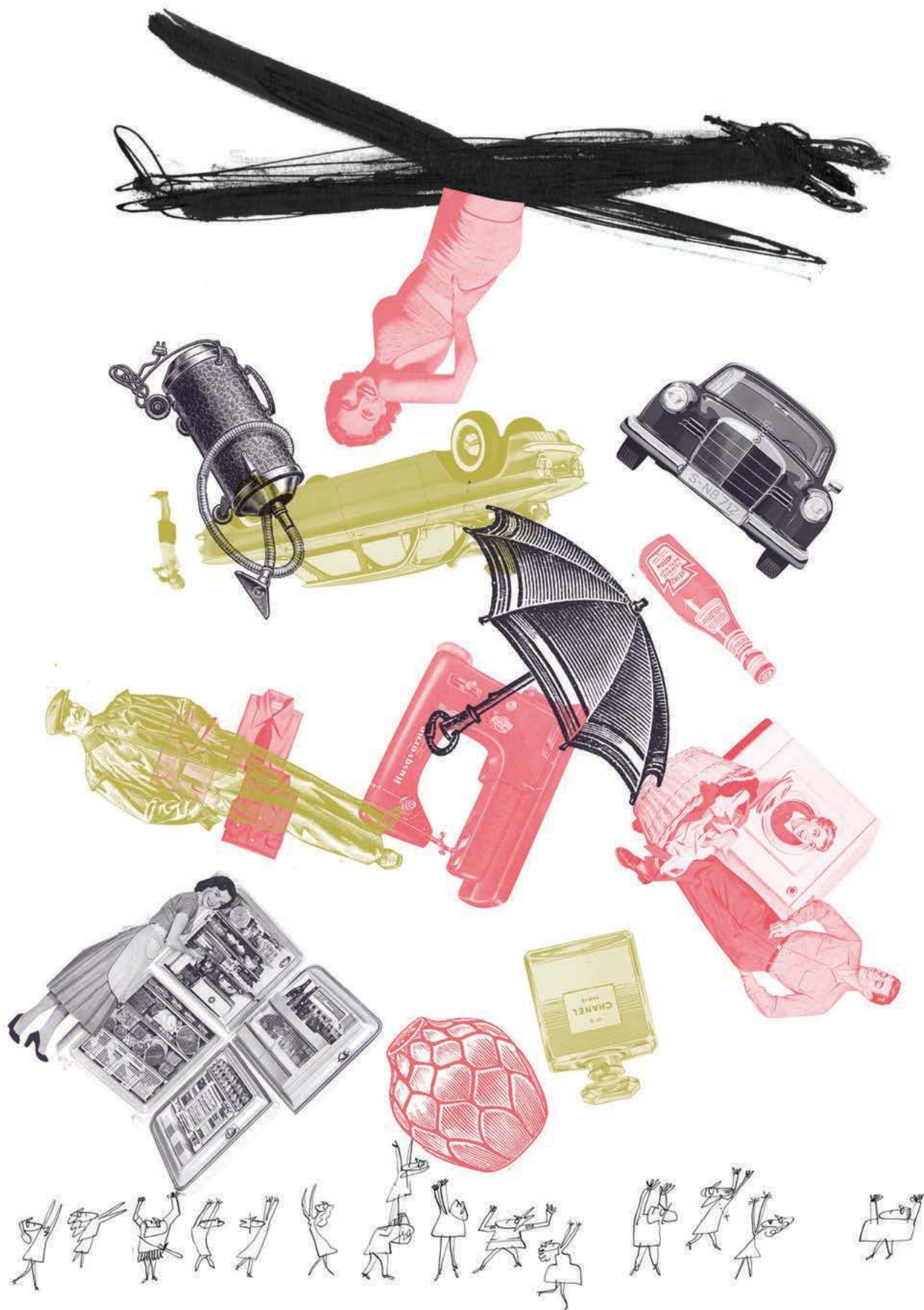
by zaszczyć już w dzieciństwie sposób czytania, który nie jest infantylny. A ten infantylnizm potem pokutuje, bo ludzie formują sposób czytania na podstawie swojej pierwszej Biblii. Pokazywanie wszystkich ksiąg pozwala też uświadomić, ile ich jest, jaka jest ich niejednorodność, różnorodność historyczna, kontekstualna i gatunkowa. To pokazuje różne zagadnienia z wielu perspektyw. Zwłaszcza Stary Testament jest w gruncie rzeczy słabo znany i dokładne pokazywanie go miałoby wielką wartość.

Strzały w dziesiątkę

Wracam przed półki z Bibliami dla dzieci od lat. Ostatnio zwróciła moją uwagę „Biblia. Naród słuchający Boga” wydana przed prawie dwudziestu laty przez Apostolicum, która zaskakuje odwróceniem kolejności. Opowieści Księgi Rodzaju umieszcza w środku książki, tłumacząc, że dopiero na wygnaniu babilońskim naród wybrany zaczął zadawać sobie pewne pytania i odpowiadać na nie, tworząc opowieści. Tak wprowadzone historie z Księgi Rodzaju zaczynają inaczej funkcjonować w świadomości czytelnika. Aż podskoczyłam z entuzjazmu, widząc że można zrobić Biblię dla dzieci subtelnie tłumaczącą tematy, z którymi ma problem wielu dorosłych.

→

Tu i dalej: ilustracje Serge'a Blocha do książki Frédérica Boyera „Jezus. Opowieść o Słowie”, Wydawnictwo Dwie Siostry



→ W tej kategorii zupełnie inną ligą są dwa tomy ilustrowanych biblijnych opowieści w interpretacji Serge'a Blocha i Frédérica Boyera, opublikowane przez Wydawnictwo Dwie Siostry. Francuski rysownik i pisarz proponują nam interpretację, która nie raz zaskoczy i zatrzyma nad niebanalną kreską Blocha. Tylko czy to jest Biblia dla dzieci?

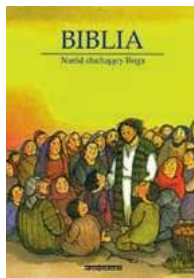
– Nie lubię tego podziału, książki są dla ludzi, a nie dla dzieci czy dla dorosłych – mówi Jadwiga Jędryas, współwydawczyni w Dwóch Siostrach. I te dwa tomy, czyli wydana w 2017 r. „Biblia. Wielkie opowieści Starego Testamentu” oraz świeżo oddane do rąk czytelników „Jezus. Opowieść o Słowie”, to właśnie książki dla ludzi małych i dużych. Dla wszystkich, którzy pozwolą się poprowadzić nieoczywistym interpretacjom autorów. I chyba można zaryzykować, że to również książki i dla wierzących, i niewierzących, choć pierwszy tom kościelnego *imprimatur* nie dostał, a przy drugim wydawniczo już się nawet o to nie starały.

Pierwsza część ma układ bardziej klasyczny. Poświęca dużo miejsca opowieściom Księgi Rodzaju, interpretując je jednak i ilustrując bardzo współcześnie. Historia Abela i Kaina staje się opowieścią o trudnych początkach życia we wspólnocie, gdzie zazdrość psuje relacje. Opowieść o wieży Babel jest w gruncie rzeczy o totalitaryzmie, czyli sytuacji, gdy ludzie chcą mówić jednym językiem, mieć tylko jedno zdanie, spełnić sny o potędze, budując wieżę. Księgę Psalmów składają w opowieść o modlitwie jakby jednym, ale w sumie wieloma psalmami. Oba tomy zawierają krótkie, lecz mocno osadzone w biblistyce i filozofii komentarze do przedstawianych opowieści.

Bez infantylnizmu

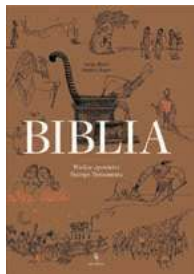
Odpowiadająca Nowemu Testamentowi druga część, „Jezus. Opowieść o Słowie”, to zgoła inny projekt. To pochwała interpretacji. Autorzy nie trzymają się podziału na księgi, ale też wcale nie próbują ułożyć ewangelicznej narracji w jednolitą opowieść. Podchodzą do opowieści o Jezusie poprzez jej różne aspekty, grupując przypowieści i sceny według tematu.

Prof. Kalina Wojciechowska efektem jest zachwycona: – Szata graficzna jest zastanawiająca i pozbawiona infantylnizmu, a przekaz niezideologizowany. Znamiennie jest pokazanie ciągłości, osadzenie



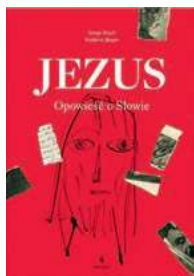
■ Joan Baró i Cerqueda (tekst), Maria Rius (ilustracje)

BIBLIA. NARÓD SŁUCHAJĄCY BOGA, przeł. K. Chorzewska, Apostolicum, 2005



■ Frédéric Boyer (tekst), Serge Bloch (ilustracje)

BIBLIA. WIELKIE OPOWIEŚCI STAREGO TESTAMENTU, przeł. T. Swoboda, Dwie Siostry, 2017



■ Frédéric Boyer (tekst), Serge Bloch (ilustracje)

JEZUS. OPOWIEŚĆ O SŁOWIE, przeł. T. Swoboda, Dwie Siostry, 2023

Jezusa w ówczesnym judaizmie i tradycji Tory, przedstawienie, że nie wziął się znikąd, że były różne wyobrażenia Mesjasza. Komentarze wprowadzające poszczególne części są świetne.

I dodaje: – Zachwyciła mnie zwłaszcza interpretacja zmartwychwstania, bardzo egzystencjalna, a przez to rewelacyjna. Sposób opowiedzenia tych historii pokazuje dojrzwanie tradycji teologicznej. Może to być wzór uczciwości historycznej i pokazywania możliwości interpretacyjnych. Bardzo dobry przykład, jak można podejść do Nowego Testamentu i Ewangelii w niebanalizowany sposób.

Warto wyjaśnić, że tak przemyślane projekty nie wyrastają znikąd i na szybko. I może to pierwszy powód, dla którego biblijny ilustrowany projekt duetu Bloch i Boyer tak bardzo się wyróżnia. To nie jest Biblia w obrazkach dla dzieci, to próba wrzucenia starożytnych tekstów w ilustracyjną i interpretacyjną współczesność, by zaczepić naszą myśl i wyobraźnię.

Pismo na wygnaniu

Autor tekstu Frédéric Boyer jest redaktorem w wydawnictwie Bayard, sam jest też autorem i tłumaczem, również z greki. Przez siedem lat prowadził projekt wydanej w 2001 r. „La Bible. Nouvelle traduction”, w którym prawie pięćdziesięciu specjalistów od języków i tekstów biblijnych oraz współczesnych francuskich pisarzy razem wypracowało współczesne tłumaczenie, nazywane Biblią pisarzy. Przekład był głośny, dyskutowany, budzący opór, a jego zasadność i filozofię Boyer tłumaczył w wydanej rok później niewielkiej książce „La Bible, notre exil”, w której stwierdza, że „tłumaczenie jest pierwotnym ruchem chrześcijaństwa”.

Według niego Pismo Święte jest w naszym świecie na wygnaniu. Wynika to z nieznajomości ani hebrajskiej, ani greckiej Biblii i braku nowoczesnych odpowiedników bogatego słownictwa biblijnego, duchowego i teologicznego, ukształtowanego w ciągu tysiącleci przez powiązania kilku tradycji i krzyżowanie się kilku kultur. Uważa, że trzeba uwidocznić obcość tych słów w naszej kulturze, i przypomina, że prawdziwa zagadka tłumaczenia dotyczy nie języka oryginału, ale języka, w którym piszemy. To wygnanie tekstu poza naturalny kontekst zmusza go do translatorskiego i interpretacyjnego wysiłku. Tłumaczenie widzi właśnie jako wygnanie: „Tłumaczyliśmy, biwakując na ziemi nieczyjej, otwartej między tradycjami religijnymi Biblii i współczesną kulturą świecką”.

Boyer widzi chrześcijaństwo jako kontynuację wielkiej żydowskiej tradycji przynależności do wspólnoty, której celem jest debata nad tekstami. Choć nie jest pewien, czy ten ogień debaty był w Kościele katolickim podtrzymywany. „Jezus. Opowieść o Słowie” jest zaproszeniem w świat nie tylko tłumaczenia, ale i głębokiej interpretacji przekazu Jezusa. Zaproszeniem, byście sobie i swoim dzieciom dali razem z książką przynależność do wspólnoty żywo debatującej teksty.

Z perspektywy rodzica

Pytam znajomych i nieznajomych, którzy już próbowali czytać Biblię w interpretacji Boyera i kresce Blocha. Ci, którzy czytali, przyznają, że najwięcej radości czerpią z tego wydania właśnie oni, dorośli. – Ale za pomocą tych rysunków nie da się opowiedzieć tych historii dzieciom



DZIĘKI UPRZEŹNOŚCI WYDAWNICTWA DWIE SIÓSTRY

po raz pierwszy – tłumaczy matka trzech maluchów. Rodzice nastolatków z kolei wskazują, że akurat kreska je wciągnęła. Ktoś inny dodaje, że jest sceptyczny wobec Biblii dla dzieci, i uważa, że trzeba czytać zwykłą i wyjaśniać.

– Uważam, że to nie jest dla dzieci, choć dzieciom kupuję – zastrzega dr Joanna Barcik, filozofka religii z UPJPII w Krakowie. – Dla mnie ciekawe jest to, że od początku i z założenia ta interpretacja jest możliwie szeroka, przy jednoczesnej wierności biblijnym opowieściom. Włączając tych, dla których Biblia jest dziełem literackim, a Jezus mitem lub nauczycielem moralności – tłumaczy Barcik. – Jest moim zdaniem bardzo inkluzyjna i cieszę się, że moja córka Lolka ma szansę taką poznać.

Chwilę zastanawia się, po czym dodaje: – Odkąd wyszła pierwsza część tej Biblii, towarzyszy mi mocne wrażenie, że to podejście jest „humanistyczne”, a jednocześnie nie spłyca wymiaru religijnego. Takie poczucie mam jeszcze tylko przy czytaniu Kołakowskiego, który twierdzi, że podchodzi do religii z zewnątrz, a jednocześnie doskonale chwyta, o co w niej chodzi. To jest dopiero ciekawe!

– Moje dzieci są niereligijne, nie chodzą do kościoła ani na religię – mówi Michał, ojciec trzech synów. – Ale tę książkę wessały. Z punktu widzenia rodzica, któremu zależy, żeby dzieci były nieobojetne, to wielka pomoc. Jak oni to zrobili, że ten sposób opowiadania się broni? Nie wiem, może Duch Święty przez nich działa.

To jest uratowanie Jezusa dla współczesnego świata i czytelnika.

Piekielnie trudne wyzwanie

Być może prawdziwym tematem rozmowy nie powinno być to czy inne wydanie Biblii, lecz nasza bezradność? Bezradność wobec starożytnego tekstu, której nie trzeba się wstydzić? W końcu Biblia to kilkadziesiąt ksiąg w różnych gatunkach literackich, powstałych dwa tysiące lat temu i wcześniej, pisanych na przestrzeni prawie tysiąca lat w różnych językach. Powstających w zupełnie obcych kulturowych kontekstach i bardzo odległych czasach. Słowem, to nie jest taka sobie książka do czytania. Jest trudna, wymaga kompetencji, których większość z nas nie ma, a jednocześnie zalecana nam jest jako pobożna lektura i ma zasilać życie wiary. Obrosła w szkoły krytycznej lektury i akademickich analiz, ale w biegu codzienności możemy nie wiedzieć, jak ją przeczytać, żeby karmiła. Nie

mówiąc o tym, jak przeczytać ją odpowiedzianie dzieciom.

Dlatego pytanie, jak ją opowiedzieć, zinterpretować czy zilustrować, jest jednak innej skali wyzwaniem niż pytanie o sposób wydania „Baśni” braci Grimm. Gdzieś między wierszami rozmowy o tym, czy Biblia dla dzieci działa czy nie, prześwituje nam większy problem. Czy nie jest tak, że to moment przekazu wiary dzieciom obnaża, czego sami nie rozumiemy, i wtedy okazuje się, że Biblia, która dobrze się sama tłumaczy, robi też robotę dla nas?

Biblia Blocha i Boyera powstała właśnie z zafrapowania problemem opowiedzenia Biblii w obcej dla niej ziemi współczesności, w nowych dla niej językach. I dlatego szarpie nas za myśl i serce, zostawia z tematami do przemyślenia. Przy okazji jednak można dostrzec problem, z którym mierzymy się i jako wierzący, i niewierzący: nierozumienie Biblii jest faktem – zmagamy się z nim my sami i nasze dzieci.

©© ZUZANNA RADZIK

POŻEGNANIE

W niedzielę 4 czerwca 2023 r. o godz. 12.00
w kolegiacie św. Anny w Krakowie
zostanie odprawiona Msza św. za dusze

Ś.†P

Jacka i Józefy Hennelów

Wytrawny smak

PIOTR SIKORA

Opowieść o zesłaniu Ducha mówi, że źródło życia każda i każdy ma w sobie. I że jego pełnia jest możliwa pośród całej niedoskonałości świata.

KTO NIGDY NIE CZUŁ, ŻE RZECZYWIŚTOŚĆ boli; kto nigdy nie doświadczył impulsu, by uciec i się schować: przestać czuć, zamknąć się w sobie; lub kto nie został porwany w kierunku przeciwnej reakcji: by gniewnie oddać światu za ból, by młócić na odlew pięściami, uderzać słowami, krzykiem czy choćby samym wzrokiem – kto tak lub podobnie nigdy nie miał, może dalej iść beztrwosko (choć lepiej niech sprawdzi, czy nie wędruje w złudzeniach). Ale jeśli świat cię boli – ta opowieść jest dla ciebie.

Pragnienie

To opowieść o tym, że zesłanie Ducha następuje z krzyża: „Potem Jezus świadom, że już wszystko się dokonało, aby się wypełniło Pismo, rzekł: »Pragnę«. Stało tam naczynie pełne octu. Nałożono więc na hizop gąbkę pełną octu i do ust Mu podano. A gdy Jezus skosztował octu, rzekł: »Dokonało się!«. I skłoniwszy głowę, przekazał Ducha” (J 19, 28-30).

Historia wędruje po spirali: podobna sekwencja odczuć i wydarzeń w opowieści zdarza się już wcześniej, a wydarzenia o tej samej strukturze odbijają się w sobie nawzajem, jak lustra zawieszone po przeciwnych stronach korytarza, i dopiero w tej nieskończonej grze odbić pokazuje się sens.

Oto prawie na samym początku swojej działalności Jezus idzie przez Samarię. W samo południe siada przy studni Jakuba, do której przychodzi kobieta z Sychar. Jezus prosi ją: „Daj mi pić”. Dialog, rozpoczęty tym wyznaniem pragnienia, kulminuje w zdaniach Mistrza: „O, gdybyś знаła dar Boży i [wiedziała], kim jest Ten, kto ci mówi: »Daj Mi się napić« – prosiłabyś Go wówczas, a dałby ci wody żywej”; i jeszcze: „Kto będzie pił wodę, którą Ja mu dam, nie będzie pragnął na wieki, lecz woda, którą Ja mu dam, stanie

się w nim źródłem wody wytryskającej ku życiu wiecznemu” (por. J 4, 6-14).

Woda żywa – tak potocznie mówiono o wodzie źródlanej. Jezus mówi tu wyraźnie o tym, że źródło może bić w każdej i w każdym. A jest to źródło boskiego Ducha, co wyjaśnia inny fragment tej samej Ewangelii: „Jezus zawołał: »Jeśli ktoś jest spragniony, a wierzy we Mnie – niech przyjdzie do Mnie i pije! Jak rzekło Pismo: Strumienie wody żywej popłyną z jego wnętrza«. A powiedział to o Duchu, którego mieli otrzymać wierzący w Niego” (J 7, 37-39). Tak, w tym świecie pełnym bólu wszystko rozgrywa się pomiędzy boskim pragnieniem a posłaniem Ducha.

Otwarta przestrzeń

„Duch tworzy życie” (J 6, 63), Jego działanie powoduje w nas przemianę, którą można porównać do nowych narodzin – narodzin „z góry” (por. J 3, 3). Jest to jak wyjście z bezpiecznej, choć ciasnej, zamkniętej przestrzeni łona matki na otwartą przestrzeń świata, gdzie „wiatr/Duch wieje, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża”, i gdzie „tak jest z każdym, który z Ducha się narodził” (J 3, 8).

Wolność narodzonej i narodzonego z Ducha sięga wymiaru ostatecznego – co Jezus wyraźnie zaznacza w dalszej części rozmowy z kobietą przy studni. Dla Samarytanki istotne jest pytanie, gdzie należy sprawować religijny kult – na górze Gerazim (jak czyni ona i jej pobratymcy) czy w Jerozolimie (co robią Żydzi). Jest to pytanie, która z religijnych tradycji jest „tą właściwą”. Jezus jednak zmienia całkowicie perspektywę. Odpowiada: „Wierz Mi, kobieto, że nadchodzi godzina, kiedy ani na tej górze, ani w Jerozolimie nie będziecie czcili Ojca. (...) Nadchodzi bowiem godzina, owszem już jest, kiedy to prawdziwi czciciele będą oddawać cześć Ojcu w duchu i prawdzie, a takich to czcicieli szuka



Ojciec. Bóg jest duchem: potrzeba więc, by czciciele Jego oddawali Mu cześć w duchu i prawdzie” (J 4, 21. 23-24).

Osoba narodzona z Ducha rozpoznaje, że – skoro Bóg jest duchem wiejącym wszędzie, także w głębi jej ducha – to właśnie w tej głębi swego ducha ma z Nim zawsze bezpośredni kontakt. Gdziekolwiek się uda i cokolwiek będzie robić, nie się w sobie Święte Świętych, niewyczerpane, niezmierzone źródło boskiego życia. Wszelkie zewnętrzne, specjalne miejsca i tradycje są co najwyżej wskazówką i pomocą, a nie koniecznym warunkiem bycia w jedności z boskością.

Jeśli coś jest konieczne, to nie określone miejsca i rytę, lecz prawda o wewnętrznym stanie osoby (prawdziwy kult dzieje się „w duchu i prawdzie”) – czyli m.in. konfrontacja ze swoimi najgłębszymi pragnieniami i rzeczywistą sytuacją egzystencjalną, jakakolwiek ona by była, także z całym wewnętrznym splątaniem i chaosem: „miałś bowiem pięciu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twoim mężem” (J 4, 18) – spotkanie z Jezusem uświadamia tak Samarytance, jak też każdej i każdemu



TOMASZ RYTYCH / AGENCJA WYBORCZA.PL

Piknik nad Bystrzycą. Lublin, 1 maja 2016 r.

z nas jej lub jego najgłębsze pragnienie miłości i wszystkie ułomności naszych umiejętności jego realizacji.

Inaczej

Duch ujawnia prawdę – choć nie zawsze jest to zgodne z naszymi potocznymi, ugruntowanymi sposobami pojmowania. Dotyczy to zwłaszcza tego, co postrzegamy jako ciemną stronę rzeczywistości. Posłany „gdy przyjdzie, przekona świat o grzechu, o sprawiedliwości i o sądzie” (J 16, 8). Tu często wpadamy w zastawioną przez nas samych pułapkę. Czyż bowiem grzech nie kojarzy się nam z winą, okazją do sprawiedliwego, czyli zgodnego z normami i przepisami, osądzenia i potępienia grzesznika? Duch jednak przekonuje zupełnie inaczej: „O grzechu – bo nie wierzą we Mnie; o sprawiedliwości zaś – bo idę do Ojca i już Mnie nie ujrzycie; wreszcie o sądzie – bo władca tego świata został osądzony” (J 16, 9-11).

Jak łączą się grzech i niewiara w Syna? „Kto wierzy w Syna, ma życie wieczne” (J 3, 36). „Ja jestem życiem” (J 14, 6): wierzyć w Syna to wierzyć w życie, a wie-

rzyć – to całkowicie się zaangażować. Słowo „grzech”, *hamartia*, pochodzi od czasownika *hamartano* – co w podstawowym sensie znaczy „chybić celu”, „pomylić się”, „zblądzić”; w następnym sensie: „utracić”. „Duch tworzy życie” (J 6, 63). Przyszedszy, ujawnia różnicę pomiędzy życiem w pełni, zaangażowanym, a wegetacją, w którą wpadamy, gdy w życie nie wierzymy i w wyniku tej pomyłki wycofujemy się, uciekamy, zamykamy w sobie, popadamy w letarg.

O sprawiedliwości zaś Duch przekonuje, bo Syn idzie do Ojca i znika nam z oczu. Odejście Jezusa oznacza w opowieści – pokazuje przykład Marii Magdaleny – że żadnej postaci Życia nie da się zatrzymać (por. J 20, 17), do żadnej nie warto się przywiązać. „Kto wierzy we mnie, wierzy nie we mnie, lecz w tego, który mnie posłał” (J 12, 44) – to, co określone, przemija i znika, by przeświecać przez nie mogło samo wieczne Źródło życia. Na tym polega sprawiedliwość – właściwy porządek i harmonia świata.

Sąd zaś, o którym przekonuje Duch, w ogóle nie dotyczy nas – to władca

tego świata został osądzony. Ten świat ma bowiem swojego władcę, żelazny system praw nim rządzących. Gdy są ukryte – niewolą nas i panują nad nami. „Sąd zaś polega na tym, że Światło przyszło na świat” (J 3, 19): prawa zostały wydobyte na światło, władca świata został obnażony – a nagi traci przewagę nad nami.

Pełnia

Nie znaczy to, oczywiście, że ciemna, bolesna strona życia przestała istnieć. Nie zapominajmy – posłanie Ducha dokonuje się z krzyża. Konsekwencją pełnego zaangażowania w życie są rany, a także zgoda na przemijanie i śmierć. Przyjęcie tego otwiera nowe możliwości – które w opowieści ujawniają się „w dzień po szabacie”:

„Wieczorem owego pierwszego dnia tygodnia, tam gdzie przebywali uczniowie, gdy drzwi były zamknięte z obawy przed Żydami, przyszedł Jezus, stanął pośrodku i rzekł do nich: »Pokój wam!«. A to powiedziawszy, pokazał im ręce i bok. Uradowali się zatem uczniowie, ujrawszy Pana. A Jezus znowu rzekł do nich: »Pokój wam! Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam«. Po tych słowach tchnął na nich i powiedział im: »Weźmijcie Ducha Świętego! Jeśli komuś grzechy (*hamartias*) odpuscicie (*aphete*), są mu odpuszczone, a jeśli komuś opanujecie (*krate*), są opanowane«” (J 20, 19-23).

Kto ma życie i w sobie nosi Ducha – źródło życia – może leczyć bóle świata: wszystkie sytuacje, gdy ktoś „nie trafił w cel”, zblądził, oddalił się od życia. Ów proces leczenia może zaś zachodzić na dwa sposoby. Pierwszym jest całkowite uwolnienie, odpuszczenie (*apo-hiemi*) – spowodowanie, że to, co bolesne, niosące cierpienie, stojące na przeszkodzie pełnemu rozwojowi życia – odchodzi, znika. Jest to proces, który różnie się może zaczynać, lecz ostatecznie staje się delikatny, swobodny, pozbawiony napięcia.

Taki proces nie zawsze jednak jest możliwy. Są sytuacje, których bolesne konsekwencje pozostają na zawsze. I wtedy jednak pełnia życia jest możliwa, choć nieco w inny sposób – wymagający pewnej walki i opanowania (*krateo*) tego, co negatywne i życiu przeciwne. Wtedy warto pamiętać, że Zmartwychwstały, żyjąc w pełni w Ojcu, zachowuje rany. ©



MARCIN CHODUŃ

Stań przy mnie i uwielbiaj

MARCIN CHODUŃ

Taniec uwielbienia jest modlitwą, która angażuje całe ciało. Jeszcze niedawno był w Polsce zupełną egzotyką. Dziś coraz więcej ludzi modli się w ten sposób.

KRÓTKO PRZED WIECZORNYM SPOTKANIEM jeszcze próba taneczna. Kilka kobiet i mężczyźna ćwiczą ruchy do muzyki płynącej z telewizora: ramiona za-

garniające przestrzeń wokół, obroty całego ciała, pokłony w pozycji klęczącej.

Kiczycze, niewielka miejscowość koło Skoczowa. W tutejszym ośrodku H2O

*Modlitwa tańcem,
Kiczycze, lipiec 2022 r.*

trwają właśnie tygodniowe rekolekcje ekumenicznej wspólnoty Głos na Pustyni, współtworzonej przez katolików i ewangelikalnych chrześcijan. W sumie jest tu około sto osób dorosłych i pięćdziesięcioro dzieci. Codzienne zajęcia: do południa msza, uwielbienie i wykłady (w tym roku głównym tematem jest paruzja, czyli powtórne przyjście Jezusa), po południu czas wolny, a potem uwielbienie wieczorne – modlitwa połączona ze śpiewem i tańcem.

Tańczący ludzie to od kilku lat coraz częstszy widok w polskich kościołach. W wielu miejscach powstały w ostatnich latach tak zwane służby uwielbienia tańcem. Taniec to także stały już element spotkań sporej liczby wspólnot charyzmatycznych.

Więcej niż słowa

Monika Zamojska-Świątek, liderka służby uwielbienia tańcem we wspólnocie Głos na Pustyni, tłumaczy, że celem zajęć jest doskonalenie warsztatu – żeby tancerze mieli narzędzia do wykonywania tańca w jak najlepszy sposób i mogli głębiej „wejść w uwielbienie”. Owszem, bywa że grupa przygotowuje choreografię do jakiegoś konkretnego słowa Bożego lub pieśni. Taniec uwielbienia w tej wspólnocie opiera się jednak głównie na improwizacji ruchowej.

Zaczęła tańczyć, gdy miała osiem lat. Najpierw był to taniec towarzyski, potem współczesny. W 2014 r. dołączyła z mężem do Głosu na Pustyni. Wcześniej, jak mówi, byli standardowymi katolikami – niedzielna msza i tyle. Czuli jednak potrzebę pogłębienia wiary. Na którychś rekolekcjach Monika zrozumiała, że skoro taniec jest mową ciała, to można nim także się modlić.

Tylko jak? Jeszcze kilka lat temu modlitwa tańcem nie była w Polsce znana. – Zaczęliśmy od prostych gestów – mówi Monika. – Bóg wszystkiego nas uczył. Nigdy bym nie pomyślała, że mogę połączyć mój taneczny talent z modlitwą. Coraz więcej wspólnot w Polsce zakłada takie służby uwielbienia tańcem – dodaje. – Widać, że Bóg ma w tym jakiś cel.

Tanec w Kościele

Historia tańca w chrześcijaństwie jest tyleż długa, co zawiła. W pierwszych pięciu wiekach Kościół sprzeciwiał się tego rodzaju aktywności w religijnej przestrzeni. Według teologów takich jak Tertulian czy św. Augustyn taniec prowadził do bałwochwaltwa, pożądania i ostatecznie potępienia. Nic dziwnego zatem, że pierwsi chrześcijanie byli do niego wrogo nastawieni – zdecydowana większość pragnęła odróżnić się od pogan żyjących w świecie grecko-rzymskim, dla których taniec był ważnym elementem życia kulturalnego i obywatelskiego.

Później stosunek do tańca zaczął się stopniowo zmieniać – pomimo licznych zakazów, uchwalanych na kolejnych soborach, chrześcijanie coraz chętniej oddawali się tej formie sztuki. Taniec znajdował swoje miejsce w religijnej rzeczywistości. Co najmniej od IX wieku stał się już integralną częścią chrześcijańskiej pobożności – tańce zaczęto wykonywać w kościołach i katedrach podczas publicznych nabożeństw. Do dziś np. co roku w Echternach w Luksemburgu odbywa się tańcząca procesja do grobu św. Wilibordy, jako rzadki relikwiarz średnio-wiecznego zwyczaju.

Ten krajobraz kulturowy uległ jednak radykalnej zmianie w XVI wieku.

Z ciemnej doliny

Droga Doroty Herok była inna niż Moniki. Trudna. Tata alkoholik, w domu działy się dantejskie sceny. Po rozwozie rodziców niby dorastała w spokoju, ale, jak opowiada, ból, który nosiła, próbowała stłumić muzyką death metal. Myślała o samobójstwie. Coś ją jednak ciągnęło do religii.

Dorota: – W 1993 r. po kilku miesiącach walki – bo na samo słowo „Bóg” reagowałam agresją – zdecydowałam się pójść za nim. On dosłownie ścigał mnie swoją miłością: wyciągnął mnie z naprawdę ciemnej doliny. Uwielbienie, które jest teraz w moim życiu, to podziękowanie, wyrażenie miłości do niego.

Kochała tańczyć. Często chodziła na imprezy, dyskoteki – była studentką architektury, ciężkie studia, jakoś musiała odreagować. Jednak podczas pewnych rekolekcji uznała, że Bóg oczekuje od niej, by porzuciła taniec. Jednego wieczoru w 1996 r. ostatecznie zdecydowała: „Boże, dobrze, zostawiam taniec. Jeśli kiedyś

jeszcze zatańczę, to tylko przed Twoim obliczem i dla Twojej chwały”.

Chciała wielbić Boga tańcem, ale podobnie jak Monika nie wiedziała, jak to robić – taniec w Kościele katolickim w Polsce był zupełną egzotyką. Czuła jedynie intuicyjnie, że to nie mogą być takie same ruchy jak na dyskotece. Gdy przeczytała w Ewangelii, „Ja jestem waszym nauczycielem”, powiedziała: „Więc dobrze, Duchu Święty, ucz mnie”.

Stawała na środku pokoju – z muzyką lub bez – i zaczynała od prostych gestów. Podnosiła rękę i zdawało jej się, że wie, co Bóg wtedy mówi. Następnie podnosiła drugą rękę i po prostu stała. Potem przyszły kolejne gesty i ruchy. Miała wrażenie, że one nie są z niej, że Bóg uczył ją ich duchowego znaczenia.

Trwało to, jak mówi, pięć lat. I było jak wejście do ewangelicznej izdebki, w której On widzi w ukryciu. W 2001 r. na konferencji chrześcijańskiej spotkała kobietę, która służyła tańcem. Powiedziała do Doroty: „Wiem, że jesteś już gotowa. Po prostu stań przy mnie i uwielbiaj”.

Afrykańskie źródła

W czasach reformacji i kontrreformacji katolickiej taniec zaczęto ponownie uznawać za bałwochwaltwa, podobnie jak czynił to wczesny Kościół. Podczas procesów czarownic oskarżone kobiety obwiniano nierazko o taniec z diabłem podczas satanistycznego rytuału znanego jako Sabat. Skutek? Tradycja tańca chrześcijańskiego została praktycznie całkowicie przerwana. Jej ponowne ożywienie przyszło za sprawą Afrykanów przywożonych jako niewolnicy do obu Ameryk – to właśnie oni, ze swymi tradycjami świętego śpiewu i ruchu, wprowadzili taniec z powrotem do chrześcijaństwa.

Co ciekawe, zdaniem prof. Zbigniewa Paska, religioznawcy i kulturoznawcy z AGH, współczesne ożywienie tradycji tańca w katolicyzmie ma podobny fundament. – Wiąże się z istniejącym już od kilku dekad ruchem odnowy charyzmatycznej, czyli otwarciem się na duchowość neospirytualistyczną, gospel, negro. Ten rodzaj religijności, mający swoje źródło w kulturze Afryki, zasadza się na przekonaniu, że jeśli duch i świętość działają, to musi to być widoczne. Ekspresyjne tańce są w tej kulturze formą modlitwy uwielbienia. Takiej ekspresywności uczuć Zachodowi brakowało.

Uwolnienie serca

U Magdaleny Pawlik z Poznania wszystko zaczęło się od córki, która była związana z duszpasterstwem poznańskich dominikanów. Właśnie w ich kościele w 2008 r. na warsztatach „Taniec integracyjny, hebrajski i modlitewny” Magda po raz pierwszy spotkała się z tą formą modlitwy. Od tam brała udział we wszystkich możliwych spotkaniach i warsztatach tanecznych, organizowanych przeważnie przez Inicjatywę Muzyków Poznańskich oraz poznański Teatr Droga. Od kilku lat sama prowadzi warsztaty modlitwy tańcem podczas rekolekcji „Na Fali Wielbienia”, które odbywają się w Licheniu. W codziennych wieczornych wielbieniach biorą udział artyści z Inicjatywy Muzyków Poznańskich Poldka Twardowskiego, którzy grają jazz. Niecodzienne, intrygujące dźwięki dochodzące z wnętrza świątyni przyciągają sporo zainteresowanych.

Kilka lat temu Magda przeprowadziła się na Stary Strzeszyn (to jedna z dzielnic Poznania). Namówiła proboszcza tamtejszej parafii św. Moniki, ks. Szczepana Łakomego, aby zaprosił do parafii muzyków z Inicjatywy. Ich występ oczarował parafian. „To idziemy za ciosem – może ktoś się zgłosi do grupy tanecznej?” – zaproponowała Magda. Okazało się, że jest kilka chętnych pań.

Od czterech lat Magda prowadzi w strzeszyńskiej parafii grupę modlitwy tańcem. Jak mówi, ten rodzaj modlitwy wyzwala czasem potrzebę dzielenia się trudnymi doświadczeniami życiowymi. Przykład? Jedna z pań była molestowana w dzieciństwie. Nigdy o tym nie mówiła, była zamknięta na dotyk, na bliskość cielesną. Taniec jej pomógł.

Również Magda przeżyła coś podobnego na swoich pierwszych warsztatach. Uświadomiła sobie wówczas, że nigdy nie potrafiła mówić o swoich dwóch poronieniach. W jej pokoleniu – urodziła się w 1960 r. – o takich sprawach po prostu się milczało. Nawet jej dzieci o niczym nie wiedziały.

Magda: – To była prawdziwa łaska móc wypłakać i wytańczyć swój żal i smutek. Zadaniem każdej modlitwy jest dialog z Bogiem. Modlitwa tańcem dotyka całego ciała, więc wszystko odczuwa się intensywniej. To po prostu prawdziwe spotkanie z Duchem.

Radość dziecka

→ Magdzie zawsze w kościele czegoś brakowało. Na pierwszych warsztatach u dominikanów najbardziej wciągnął ją taniec hebrajski. – Stało się tak zapewne z powodu moich żydowskich korzeni – tłumaczy. – Kiedy słyszę modlitwę kapłana, nie potrafię się lekko nie kołysać. Nasza modlitwa jest statyczna, a na twarzach wiernych rysuje się z reguły marsowy wyraz.

Podobnie uważa Dorota Herok: – W naszej kulturze na słowa „raduj się” ludzie najwyżej się uśmiechną albo zaklaszczą. A Żydzi w czasie modlitwy odruchowo cieszą się i tańczą. Czytając Stary Testament, można zrozumieć, po co Bóg stworzył taniec. Często mówię o tym w kościołach – uczynił to, abyśmy po prostu mogli Go w ten sposób uwielbiać.

Dorota prowadzi w Domu Kultury w Cieszynie zespół tańca żydowskiego i izraelskiego oraz wraz z mężem muzykiem szkołę uwielbienia i modlitwy tańcem. Elementem organizowanych przez nią warsztatów są także tańce żydowskie.

Magda Pawlik: – Już samo starohebrajskie słowo *tehillah* pochodzi z ksiąg Tory i jest wyrażeniem oznaczającym oddawanie Bogu chwały, również ciałem, przy akompaniamencie pieśni.

Dorota Herok: – Jeśli mam grupę ludzi, którzy dopiero poznają Boga, którzy nie doświadczyli jeszcze Jego działania, to zazwyczaj uczę ich właśnie prostych tańców żydowskich. Proste układy choreograficzne mogą pomóc początkującym modlić się tańcem. Daję im gesty, tłumacząc ich znaczenie. Tak jak się przekazuje dzieciom alfabet, żeby mogły pisać.

Magda Pawlik również opiera się w swojej pracy na choreografii, którą przygotowuje na bazie wcześniej opracowanych kroków. Każdy ma swoje znaczenie lub symbolikę. – W momencie uwielbienia nasza grupa wykonuje tradycyjny starohebrajski taniec Yemnite Feet – tłumaczy. – Poza tym tańczymy do różnych pieśni: np. „W Tobie jest światło”, „Panie, Ty wiesz”, „Wykupiłeś mnie”, „Jeden dzień”. Opracowanie muzyczne całości przygotowuje lider Inicjatywy Muzyków Poznańskich, Poldek Twardowski. Wszystko jest na jazzowo – w utworach pojawiają się typowe dla tej

muzyki *bridges*, które łączą poszczególne solówki na różnych instrumentach. Naszym zadaniem jest opanować te przejścia ruchem improwizowanym, co daje mnóstwo radosnej wolności.

Ruchy taneczne stanowią dla niektórych wyzwanie. Pewien proboszcz powiedział kiedyś Magdzie: „U mnie na pewno żadnego tańca modlitwy nie będzie”. „Ale dlaczego?” – zapytała. „Bo to jest wyzywające”.

Dorota Herok: – Księża patrzą różnie na taniec w kościele. Ci bardziej tradycyjni nas po prostu nie zapraszają.

Magda Pawlik: – Wszystko zależy od tego, co jest w sercu danego człowieka. Jak ktoś chce, to nawet w klęknięciu zobaczy wypięcie pośladków, a nie upadek na kolana. Ja od lat walczę o świadomość, że taniec uwielbienia to nie zumba ani aerobik, choć to też są fajne sprawy. To naturalny sposób oddawania chwały Bogu wywodzący się z naszej natury dziecka Bożego. Pamiętam, że gdy mąż wracał z pracy i słyszał było odgłos klucza w zamku, nasze dzieci biegly do niego, skakały z radości, a potem porwane w ramiona wirowały i śmiały się. Z taką radością i świadomością Bożych dzieci powinniśmy także tańczyć przed Bogiem.

Prof. Zbigniew Pasek: – Sceptycyzm wobec tańca był w minionych wiekach i jest nadal najbardziej widoczny w tradycji protestanckiej oraz w różnych fundamentalistycznych nurtach chrześcijaństwa. Taniec jest w nich postrzegany jedynie przez pryzmat dotyku i zmysłowości. Trudno w tym względzie jednak nakreślić jakiś podział doktrynalny – to raczej kwestia kulturowej otwartości na różne formy ekspresji religijnej. W tym również na takie, w których w samą modlitwę jest wpleciona cielesność, dzięki czemu można pokazać ciałem to, co dzieje się w duszy. To odróżnia ekspresyjny taniec uwielbienia na przykład od wirowania sufickich derwiszów – w tej tradycji kręcenie się w koło jest raczej elementem technologii przeżywania mistycznego doświadczenia religijnego.

Odnaleźć gest

Według Doroty Herok w pracy z ludźmi chodzi o to, aby oni sami nawiązali kontakt z Bogiem, a nie tylko naśladowali prowadzących. Żeby potrafili tworzyć z inspiracji Ducha Świętego. – Sta-

ram się prowadzić uczestników warsztatów w ten sposób, aby odnaleźli swój gest i we własny sposób wyrazili to, co mają w sercu. To już jednak wymaga relacji z Bogiem – w przeciwnym razie taniec przemieni się w ładnie ułożoną pustą formę.

Na jej warsztatach z reguły jest tak, że pewną ich część prowadzi sama i wszyscy uczestnicy powtarzają wówczas ruchy za nią. W kolejnej części każdy może być liderem, który prowadzi modlitwę, a inni podążają za nim. – Gdy taka osoba odbierze od Boga trzy albo cztery gesty, wtedy zaczyna po prostu prowadzić innych – tłumaczy Dorota.

Monika Zamojska-Świątek: – Możemy modlić się modlitwą ustaloną albo spontaniczną. Tak samo jest z modlitwą tańcem. W naszej wspólnocie uczymy, że czasem tak naprawdę w ogóle nie chodzi o ruch, tylko o przekaz.

Wedle prof. Zbigniewa Paska obecne ożywienie tradycji tańca w chrześcijaństwie jest uwarunkowane generacyjnie.

– Taniec uprawiają dziś zwykle młodzi ludzie, którzy odważnie szukają nowych form ekspresji – mówi religioznawca. – Chcą niejako odciąć się od niedzielnego, ludowego kościoła, który jest zwyczajowy i który nie daje przestrzeni na wyrażanie się całym sobą. Taniec taką możliwość właśnie daje. Jest to powrót do jedności, którą odkrywamy w dawnych kulturach, gdzie doświadczenie religijne prześwieśla całość życia. Jeśli człowiek jest religijny, to jest nim całym sobą.

■ ■ ■
W KICZYCACH trwa wieczorne uwielbienie. Pośród modlitw na niewielką scenę co kilkanaście minut wchodzi tancerki i tancerz, Mateusz. Na ścianie za sceną olbrzymi, wyświetlany z rzutnika krzyż. Na jego tle tancerze wykonują spontaniczne ruchy, które jednak co pewien czas układają się w harmonijną całość. Ramiona wznoszone, skłonienie głów – gesty wydają się współgrać nie tylko ze słowami poszczególnych pieśni, ale i z samą muzyką.

W pewnej chwili Mateusz unosi ramiona, jakby od serca ku niebu.

– To oddanie chwały – Monika tłumaczy ten gest. – Oddanie siebie Bogu.

© MARCIN CHODUŃ

WOJCIECH

Bonowicz:

W górze



KIEDY BYŁEM DZIECKIEM, I JESZCZE DŁUGO potem, nie czułem lęku wysokości. Ile-kroć wchodziłem na drabinę albo stawiałem na niezabezpieczonej krawędzi, nie kręciło mi się w głowie i nie drżały mi kolana. Lęk wołał do mnie z dołu, zza pleców – „Nie spadnij” – ale to nie był mój lęk. I nigdy nie spa-
dłem.

Być może ten głos, który w dzieciństwie słyszałem nieraz, przedostał się w końcu do mnie. Nie pamiętam, kiedy moje ciało samo zaczęło mówić: „Nie spadnij”, „Uważaj”, „Lepiej nie próbuj”. Moja głowa nadal była skłonna do ryzyka, ale reszta zaczęła stawiać opór. Pamiętam, jak – już dorosły – wszedłem na średniej wielkości jabłoń, niemal na sam wierzchołek. Jabłoń była dzika, rodziła niewiele, za to rozciągał się z niej wspaniały widok na dolinę. Nagle poczułem dziwną niemoc i musiałem przytulić się do pnia. Zsuwałem się w dół powoli, starannie sprawdzając miejsca, w których postawię stopy. Z drzewa płynął spokój, ale ja nie potrafiłem go już przyjąć. Można powiedzieć – uciekłem. Nie przed drzewem ani nawet nie przed wysokością, lecz przed lękiem, który wołał z innego miejsca niż wcześniej.

Poszliśmy kiedyś z Bartkiem na kopiec Kościuszki. Bartek już przy pierwszej pętli musiał się wycofać: zrobiło mu się niedobrze, świat zaczął się kołysać. Ja ciągle jeszcze wyjdę na szczyt nie tylko kopca, ale i większej góry, jednak świat zaczyna mi się kołysać, kiedy wchodzę na balkon, którego barierki są zbyt niskie albo wykonane z przezroczystych materiałów. To dziwne uczucie, które trudno opisać: stoję na twardej podstawie, a mimo to mam wrażenie, jakbym się zapadał albo leciał w dół z oberwanym już balkonem. Stoję i lecę.

To naturalnie nieprawda, że nigdy nie spa-
dłem. Przypominam sobie, jak jako mały chłopiec straciłem równowagę, idąc po kilkumetrowym murku z ciemnoczerwonej cegły (gdzie to było?), jak zleciałem w stodole z sąsiedka na klepisko, na którym na szczęście leżały snopki pszenicy (a może to było siano?), jak wreszcie spa-
dłem z jabłoni u dziadków, o czym nikt do dziś nie wie, bo byłem wtedy w sadzie sam. Nic mi się zresztą nie stało, nie było żadnych otarć ani złamań, a samo spadanie było przyjemne. Spa-
dłem w trawę jak jabłko, po które sięgnąłem, ale w odróżnieniu od niego nie miałem nawet siniaka.

Zawsze z zazdrością patrzyłem na tych, którzy wspi-
nali się w wysokich górach, wytyczali nowe drogi, pokonywali kolejne wyzwania. Nigdy nie spytałem ani Kacpra, ani żadnego z nich, czy oni słyszą w sobie ten głos ostrzeżenia. Czy w ogóle kiedykolwiek go słyszeli? Czy musieli się z nim zmierzyć, czy też nigdy go nie było? Wiem, że w wywiadach alpinistów i himalaistów odpowiadają na podobne pytania, ale człowiek zawsze chce odpowiedzi osobistej, dla siebie. Takiej, która zawiera się nie tylko w słowach, ale również w oczach, i tak dalej...

Amerykański poeta W.S. Merwin napisał wiersz, który zadedykował kilku czereśniom rosnącym wysoko na drzewie (podaje go tu w przekładzie Pawła Marcinkiewicza):

*Peter i ja jesteśmy na górze gdzie gałęzie
gną się i kołyszą pod stopami jakby
nie były umocowane i przy byle podmuchu
złapany w rękę konar oddala się
jak na zawołanie lecz my wciąż się wspinamy
sięgając wyżej między liście które
migoczą w świetle ku jednej z tych ciemnych
kiści bo jak to mówią najśladzse
są te które rosną najwyżej a teraz lato
minęło ostatnie są najlepsze a my
jemy i jemy wspinając się pijani wami
roześmiani lecz stary Delsol ostrzega nas
z dołu To drzewo może się złamać więc zostawiamy was
nieskosztowane przez całą resztę tej historii* ©

TYGODNIK
POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. ALBIN TALIK DLA „TP”



Tomasz Stawiszyński w „Tygodniku”

– wszystkie teksty w jednym serwisie specjalnym.
Czytaj: powszech.net/stawiszyński



Instalacja „Cela Nawalnego” ustawiona na Rynku Staromiejskim w Pradze. Czechy, 14 marca 2023 r.

WYMIAR NIESPRAWIEDLIWOŚCI

Machina represji w Rosji się rozkręca, wyrok można usłyszeć
już za komentarz w mediach społecznościowych.
W ten sposób reżim próbuje powetować sobie niepowodzenia na froncie.

ANNA ŁABUSZEWSKA

W POŁOWIE MAJA NA RYNKU STAROMIEJSKIM W PRADZE STAŁA „cela Nawalnego”. Instalacja odtwarza wygląd karceru, do którego putinowski „więzień numer jeden” trafia zawsze, gdy domaga się poszanowania swoich praw. Cella ma wymiary dwa i pół na trzy metry: pryzca na łańcuchu, okieneczko z kratą, prymitywny sanitariat.

Aleksiej Nawalny odsiaduje wyrok wydany w sfingowanym procesie, kara ma zakończyć się w 2032 r. W kolonii karnej o zaostrzonym rygorze za najmniejsze przewinienie trafia na wiele dni do karceru – łącznie z 850 dni uwięzienia spędził w karcerze 165. Każdy taki pobyt fatalnie odbija się na jego zdrowiu, nadwątłym nowiczykiem.

Nawalny korzysta z każdej sposobności, by przekazać swoje stanowisko w najważniejszych sprawach. Np. w lutym opublikował program polityczny przewidujący demontaż systemu Putina i wprowadzenie demokracji; na razie politykodyzy zaliczyli manifest do gatunku literatury więziennej lub *political fiction*.

Ciągle może liczyć na współpracowników, z których większość wyjechała za granicę z obawy o wolność i życie. Akcję w Pradze (wcześniej replika celi stała w Hadze, Düsseldorfie, Paryżu i Berlinie) koordynował Leonid Wołkow. „Dzięki kampanii świat może dowiedzieć się, co się dzieje z Aleksiejem – tłumaczył sens akcji. – Po rozpętaniu wojny Putin zniszczył Fundację Walki z Korupcją i sztaby Nawalnego. Jego zamiarem jest unicestwienie wszelkiej opozycji”.

Czy Nawalny kiedykolwiek wyjdzie? Toczy się wobec niego kilka nowych śledztw. Albo zostanie jeden wyrok długi jak całe życie, albo Putin zastosuje metodę „ucinięcia kotu ogona po kawalku” i będzie dokładać kolejne krótsze wyroki, by drażnić się z uwięzionym przeciwnikiem i występującym w jego obronie Zachodem. I upajać się swoją wszechmocą.

„Nie chcę uciekać”

Jeszcze przed inwazją z 24 lutego 2022 r. wydawało się, że rosyjskie polityczne pole jest całkowicie wygolone, a wzięta pod obcas opozycja bez sił. Jednak nawet w warunkach totalnej kontroli kielkowały pędy niezgody. Władze coraz sprawniej pędy te ścinały.

W grudniu 2022 r. na osiem i pół roku łagru został skazany Ilja Jaszyn

– jeden z głównych polityków liberalnej opozycji, w przeszłości współpracownik Borysa Niemcowa, zamordowanego w 2015 r. pod murami Kremla. Jaszyn nie poszedł w ślady tych, którzy wybrali emigrację. Napisał w mediach społecznościowych: „Nie chcę uciekać i chować się przed tymi, którymi gardzę. Nie chcę się poniżać przed zbrodniarzami wojennymi”. Sąd skazał go z artykułu „szerzenie fake’ów o specjalnej operacji wojskowej” – tak zakwalifikowano jego słowa o rosyjskich zbrodniach w Buczy (według oficjalnej wykładni zbrodnie w Buczy i innych miejscach to ukraińska inscenizacja).

Łście stalinowski wyrok usłyszał w kwietniu inny polityk z demokratycznego skrzydła opozycji: Władimir Kara-Murza ma odsiedzieć 25 lat. W akcie oskarżenia znalazły się: szerzenie fake’ów o wojnie, działalność w organizacji niepożądaney i zdrada stanu. To najwyższa kara orzeczona przez putinowski wymiar niesprawiedliwości wobec przeciwnika reżimu.

Niewykluczone, że skazanie Kara-Murzy podyktowane było także chęcią odwetu. Sprawę rozpatrywał sędzia Siergiej Podoprigorow, którego nazwisko figuruje na „liście Magnitskiego”. Są na niej osoby objęte sankcjami USA za spowodowanie śmierci prawnika Siergieja Magnitskiego w moskiewskim areszcie w 2009 r. Kara-Murza był inicjatorem przyjęcia tej listy.

Historia otruc

Kara-Murza współpracował także z Niemcowem. Był związany z partią Jabloko, potem został wiceprzewodniczącym Partii Narodowej Wolności, członkiem władz ruchu demokratycznego Solidarność, kierował fundacją Swobodnaja Rossija. Jest autorem filmów dokumentalnych „Oni wybrali wolność” i „Niemcow”. W 2022 r. został laureatem Nagrody Václava Havla, przyznawanej przez Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy obrońcom praw człowieka. Po inwazji na Ukrainę zajął antywojenne stanowisko, przedstawiał (w tym w USA) dowody rosyjskich zbrodni w Ukrainie.

Ciekawa jest historia jego otruc. Po raz pierwszy zdarzyło się to w maju 2015 r. Kara-Murza uważał, że to zemsta za akt Magnitskiego, występowanie przeciw aneksji Krymu i za inne akcje polityczne.

Leczony był w Rosji, potem udało się go wywieźć do USA, gdzie przeszedł rehabilitację. Dokonana we Francji analiza wykazała zbyt wysoki poziom metali ciężkich w organizmie (analizy w Rosji nie dały diagnozy). W lutym 2017 r. historia się powtórzyła: znów złe samopoczucie, hospitalizacja w Moskwie, rehabilitacja za granicą. Komitet Śledczy Rosji odmówił wszczęcia postępowania. Grupa dziennikarzy śledczych Bellingcat w lutym 2021 r. sugerowała, że w obu otruciach Kara-Murzy brała udział ta sama grupa FSB, która potem truła Nawalnego nowiczykiem.

Skutki Kara-Murza odczuwa do dziś. Przed procesem siedział w areszcie od kwietnia 2022 r. Pozbawiony pomocy lekarskiej, schudł ponad 20 kilogramów.

Kara jak za zabójstwo

W Rosji Putina już wiele lat temu państwo ustanowiło monopol na przekaz medialny. Kaganiec nałożono najpierw na telewizję i radio, potem stopniowo na prasę. Najtrudniejszy do spacyfikowania okazał się internet, ale i tu agencja ds. kontroli mediów Roskomnadzor stale blokuje nieprawowierne portale i ściga tych, którzy dopuścili się zbrodni powiedzenia prawdy. Od inwazji na Ukrainę śruby przykręcono jeszcze mocniej – w rankingu wolności mediów z maja tego roku Rosja zajęła 164. miejsce na 180 ocenianych krajów.

„Kieszonkowa” Duma przegłosowała ekspresowo akty quasi-prawne wprowadzające *de facto* cenzurę wojenną (choć oficjalnie wojny nie ma, trwa „specjalna operacja wojskowa”) i wysokie kary za łamanie zakazów w sferze informacji. Mówienie o wyczynach rosyjskiej armii w Ukrainie, o zbrodniach, gwałtach, kradzieżach, nazywanie po imieniu wojny wojną itp. to powody, by ścigać z artykułu o „dyskredytacji armii”.

Jednym ze skazanych jest Dmitrij Iwanow – sąd uznał go winnym rozpowszechniania nieprawdziwych informacji i wyprawił na osiem i pół roku do łagru. Iwanow ma 23 lata, studiował w Moskwie matematykę (został relegowany z uczelni). Na kanale w komunikatorze Telegram zamieszczał informacje o mordowaniu cywilów i niszczeniu infrastruktury krytycznej Ukrainy. Dostał za to wyrok porównywalny z karami orzekanymi za zabójstwo.

⇒ Wymiar niesprawiedliwości nawet nie udaje, że oskarża i skazuje za poważne przestępstwa i na podstawie rzetelnego śledztwa. Chodzi o efekt odstraszający: uważaj, co piszesz (co mówisz). Ludzie powinni się bać wypowiadać własne zdanie, bać się poszukiwania alternatywnych źródeł informacji, weryfikowania tego, co mówi Kreml. A jeśli się nie boją i wypowiadają – nawet na użytek prywatny w mediach społecznościowych – mogą zostać skazani. Jak Oleg Bielousow z Petersburga, który dostał pięć i pół roku łagru za kilka komentarzy w sieci, krytycznych wobec działań rosyjskich wojsk w Ukrainie.

Za jeden komentarz

Do łagru można trafić również za „złośliwe niszczenie bannerów przedstawiających wojskowych” – za to na sześć lat skazano Aleksieja Arbuzienkę z miasta Togliatti. Horrendalne wyroki orzekane są wobec tych, którzy – protestując przeciw wojnie i mobilizacji – rzucali koktajlami Mołotowa w wojskowe komendy uzupełnień. W kwietniu w Jekaterynburgu za podpalenie „wojenkomatu” skazano Romana Nasryjewa (sierżanta policji) i Aleksieja Nurijewa (byłego ratownika Ministerstwa Sytuacji Nadzwyczajnych) – obaj dostali po 19 lat. To najsurowszy wyrok z tego artykułu.

Z kolei były funkcjonariusz policji Siergiej Kłokow został skazany na siedem lat łagru za... rozmowy telefoniczne, w których dopuścił się krytyki rosyjskiej inwazji na Ukrainę. Za post w komunikatorze Telegram o zbombardowaniu teatru w Mariupolu na sześć lat łagru została skazana dziennikarka z Barnaui Maria Ponomarienko. Publikację podciągnięto pod artykuł o rozpoznaniu nieprawdziwych informacji o armii.

Wysoką karę z tego samego artykułu – dziewięć lat – orzeczono też wobec blogerki Weroniki Bielocerkowskiej. Karę orzeczono zaocznie, blogerka przebywa za granicą. Zaoczny wyrok otrzymał też popularny dziennikarz z Petersburga Aleksandr Niewzorow – skazano go na osiem lat łagru za „szerzenie fake’ów”. Niewzorow przebywa na emigracji. Na emigracji w Polsce mieszka dramaturg i reżyser Iwan Wyrupajew, za którym rosyjskie organy ścigania rozesłały właśnie list gończy.

Chodzi o efekt odstraszający:

Rosjanie powinni się bać wypowiadać na głos własne zdanie, bać się weryfikowania tego, co mówi Kreml.

Michaił Kriger, aktywista obywatelski i członek ruchu Solidarność, otrzymał wyrok siedem lat łagru za „wspieranie terroryzmu” – tak zakwalifikowano jego komentarz w Facebooku sugerujący pozbycie się Putina.

To tylko kilka przykładów. Informacje o aresztowaniu, postawieniu w stan oskarżenia lub skazaniu za niezgodę wobec polityki Putina płyną z Rosji niemal codziennie. Spirala rozkręca się, a w tryby maszyny represji dostają się nie tylko politycy, ale też ludzie niezwiązani z polityką. Niezależny portal OWD-Info polityczny, że od początku inwazji było 25 dni, kiedy nie aresztowano nikogo z powodu antywojennych (takich czy innych) wystąpień.

Dzielny sokół zaaresztowany

Na początku maja aresztowano reżyserkę i poetkę Żenię Berkowicz oraz dramatopisarkę Swietłanę Pietrijczuk. Postępowanie wszczęto z artykułu 205.2 kodeksu karnego („wspieranie terroryzmu”). Miały dopuścić się tego czynu w związku ze spektaklem „Finist – dzielny sokół”. Pietrijczuk była autorką tekstu sztuki, Berkowicz reżyserką.

Podstawą do ścigania twórczyni spektaklu była ekspertyza, zgodnie z którą w przedstawieniu „wykorzystano symbolikę ekstremistyczną: gesty stosowane przez członków organizacji terrorystycznych”. Ekspertyza głosi, że „w sztuce podkreślono, iż rosyjskie społeczeństwo nie jest lepsze od Państwa Islamskiego z punktu widzenia miłosierdzia, ale Państwo Islamskie to kultura bohaterów, poświęcenia, spełnienia swego obowiązku przez mężczyzn, czego w rosyjskim społeczeństwie niepodobna spotkać. (...) Autorka w imieniu bohaterki w atrakcyjnej, emocjonalnej formie podaje działalność tej organizacji terrorystycznej, jej ideologię”.

Zdaniem autorów ekspertyzy sztuka zawiera też „destrukcyjną ideologię feminizmu”. A „radykalny feminizm” to prawie to samo co radykalny islam – te subkultury i ideologie „miały wspólną strategię: zniszczenie istniejącego ustroju państwowego”. Eksperti doszli do wniosku, że pokazanie tego na scenie może mieć taki wpływ na widzów, iż będą chcieli destabilizować sytuację w kraju i obalić władzę.

O czym jest sztuka? O rosyjskich dziewczynach, które przez internet poznały arabskich narzeczonych i zostały wkręcone w straszny wir manipulacji, jakich organizacje używały (i nadal używają) do werbunku bojowników. Takie historie działy się naprawdę – np. moskiewska studentka Warwara Karaulowa pojechała za ukochanym do Syrii, by walczyć w szeregach jednej z organizacji terrorystycznych. Została znaleziona i sprowadzona do kraju dzięki staraniom ojca, który poruszył wszelkie znajomości w służbach specjalnych i MSZ. Po powrocie stanęła przed sądem i została skazana na cztery i pół roku pozbawienia wolności.

Poszerzanie frontu walki

Przeciwko prześladowaniu Berkowicz i Pietrijczuk wystąpiło grono kolegów po fachu. W liście otwartym napisali: „Oskarżenie spektaklu o wspieranie terroryzmu to mniej więcej tyle, co uznanie, że »Król Edyp« to lekka komedia obyczajowa, a »Czarny kwadrat« – idylliczna sielanka. Ekspertyza świadczy o tym, że spektaklu nie przeanalizowano, a jedynie wypełniono zamówienie na donos. (...) I autorka sztuki, i reżyserka spektaklu opowiadają o tym, że terroryzm to jedna z największych tragedii ludzkości, dla której nie ma żadnego usprawiedliwienia. (...) Niepodobna uwierzyć w dzisiejsze oskarżenia właśnie dlatego, że spektakl potępia terroryzm, nienawidzi terroryzmu jako absolutnego, antyludzkiego zła, niosącego śmierć i zniszczenia”.

Rosyjskie władze i propaganda rozdzielają szaty nad tym, że świat zachodni rzekomo sabotuje rosyjską kulturę i ogranicza swobodę artystycznej wypowiedzi. A jak nazwać to, co dzieje się wokół absurdałnego oskarżenia twórczyni teatralnych o wspieranie terroryzmu?

Może wcale nie chodzi o spektakl i jego wydźwięk? Premiera sztuki odbyła się trzy lata temu, a wydarzenia, o których opowiada, działy się w 2016 r. Władze

miały mnóstwo czasu, aby zareagować wtedy, gdy Państwo Islamskie szalało i pozyskiwało zwolenników, także w Federacji Rosyjskiej.

Dlaczego więc teraz? Może dlatego, że podjęty w sztuce temat manipulowania świadomością społeczną zyskał nowe aspekty w związku z wojną w Ukrainie? Werbunek chętnych do walki to jeden z motywów w codziennych wiadomościach – mechanizm jest ten sam. A może znaczenie ma postawa Żeni Berkowicz, która potępia wojnę? Może nie spodobały się jej antywojenne wiersze?

A może władze poszerzają front walki z nieprawomyślnymi artystami? Może strzały ostrzegawcze, jak zdejmowanie spektakli z afisza, to dziś za mało? Może trzeba dobitniej pokazać, że odchodzenie od „linii partii” będzie karane z całą surowością?

Powrót do przeszłości

Arkadij Ostrowski z „The Economist” tak mówi o metodach stosowanych przez putinizm wobec przeciwników politycznych i tej części społeczeństwa, która nie akceptuje wojny: „To stalinizm. A właściwie hybryda: pół stalinizm, pół faszyzm”.

I dalej: „Ludzie, którzy aresztują reżyserów, to rekonstruktorzy historii – próbują odtworzyć w naszych czasach to, jak działała machina [represji] w czasach Stalina. Putin chciał powtórzyć defiladę zwycięstwa z 1945 r. – taki był jego zamiar napisać na Ukrainę. (...) Historia najwidoczniej nie daje tym ludziom spokoju, dlatego próbują wznowić te procesy i sposób postępowania, który znają z czasów stalinowskich”.

Dlaczego stało się to możliwe? – zastanawia się Ostrowski. I odpowiada: „Bo wojna to czynnik powodujący kolosalne zmiany, to wstrząs tektoniczny. Po 24 lutego 2022 r., choć Putin nie osiągnął sukcesu na froncie, to wstrząsnął podstawami państwa. Bez wojny nie można było dokonać takiego rozkręcenia represji, stłamszenia społeczeństwa obywatelskiego (...). Reżim nie pozwoli oddychać nikomu, kto nie oddycha w jednym rytmie, pod dyktando”.

© ANNA ŁABUSZEWSKA



ADEM ALTAN / AFP / EAST NEWS

Zwolennicy prezydenta Erdoğan w dniu wyborów. Stambuł, 14 maja 2023 r.

Turecki thriller

KRZYSZTOF STRACHOTA

Wybory stulecia – jak je powszechnie nazywano – nie przyniosły zmiany, na którą liczyło wielu na Zachodzie. Za to wiele mówią o Turcji i jej możliwej przyszłości.

PO MIESIĄCACH WIELKICH EMOCJI i wielkich pytań sytuacja w Turcji staje się jasna. 14 maja w wyborach parlamentarnych wygrał – na przekór wielu sondażom, jakże miłym zwłaszcza zachodnim mediom – rządzący Sojusz Ludowy, na czele z Partią Sprawiedliwości i Rozwoju (AKP), zdobywając 49,5 proc. głosów i ok. 323 mandaty w 600-osobowym parlamencie. Główny blok opozycji – Sojusz Narodowy, zdominowany przez Republikańską Partię Ludową (CHP) – uzyskał zaledwie 35,5 proc. głosów i może liczyć na ok. 212 mandatów. W parlamencie znajdzie się jeszcze kurdyjsko-lewicowy Sojusz Pracy i Wolności (10,6 proc., 65 mandatów). Rozkład głosów i mandatów jest bardzo zbliżony do wyniku wyborów z 2018 r.

Niemal jasna jest sytuacja w przeprowadzonych równolegle wyborach prezydenta (ten urząd dominuje w systemie politycznym Turcji). Urzędujący prezydent Recep Tayyip Erdoğan zdobył 49,5 proc. głosów, a jego główny rywal, lider CHP Kemal Kılıçdaroğlu, 44,9 proc. W drugiej turze zdecydowanym faworytem jest Erdoğan: ma zdyscyplinowany i pewien zwycięstwa elektorat, za sobą aparat państwowy, 87-procentowa frekwencja w pierwszej turze niemal nie zostawia pola do walki o nowe głosy, a po stronie opozycyjnej widać frustrację, niewiarę w sukces i ogromne pole do konfliktów w zróżnicowanym programowo elektoracie.

Los dopełni się w niedzielę 28 maja – w 10. rocznicę wybuchu wielkich protestów przeciw Erdoğanowi (ich →

→ zapalnikami był spór o stambulski park Gezi). One nie pozwalają zapomnieć, że polityka – także turecka – ma potężny potencjał nieprzewidywalności.

Korekta perspektywy

Były to – w zgodnym głosie władzy, opozycji i zagranicznych obserwatorów – wybory „o wszystko”, a towarzyszyły im godne tej stawki emocje. Miało to być zatem głosowanie nad tożsamością państwa w stulecie Republiki Turcji; plebiscyt nad trwającą nieprzerwanie od 2002 r. epoką rewolucyjnych rządów AKP; bój w obronie demokracji (według opozycji zagrożonej przez autorytaryzm władz, a według władz służebnej wobec narodu i państwa). Na szali znalazły się dotknięta kryzysem gospodarka i niejednoznaczna polityka zagraniczna. A także szereg pytań o Zmianę i Kontynuację – oraz o to, czym faktycznie jest dzisiejsza Turcja.

Cóż zatem można powiedzieć o niej w tym czasie próby? Przede wszystkim, że nie będzie przełomu. Stworzona przez Kılıçdaroğlu i CHP szeroka koalicja opozycyjna – łącząca stare elity, młodzież, (skrajnych) nacjonalistów, Kurdów, liberałów i etatystów – znów nie zdała egzaminu (i teraz w opozycji należy spodziewać się fermentu).

Zaskakująco nie zagrały wątki kryzysu gospodarczego i apokaliptycznego trzęsienia ziemi z 6 lutego. Nie dość mocno zagrały hasła demokratyzacji i liberalizacji. Ważniejsze okazały się przewidywalność i stabilność – w ramach od dekad znanych. Za wartość w tych niepewnych czasach uznano też naród i państwo (wzrosło poparcie współrządzącej ultranacjonalistycznej MHP), a złagodzenie nacjonalistycznych wątków w przekazie opozycji stało się powodem spięć w CHP. Językiem u wagi w wyborach prezydenckich był elektorat antysystemowych kandydatów (zebrali niemal 6 proc.).

Obóz władzy z silną legitymacją

Wszystko wskazuje na to, że Turcja będzie bardziej nacjonalistyczna niż dotąd (a poprzeczka już jest zawieszona wysoko). Niezachwianym dogmatem pozostaje państwo, zdolne stabilizować i modernizować kraj, i występujące podmiotowo na arenie światowej (taki rządowy obraz przebił się silnie). A także, jak

Wygląda na to,
że w Turcji zwyciężyła
Kontynuacja, która jednak
**prostą kontynuacją
być nie może.**

twierdzi obóz władzy, zagrożone przez wrogów wewnętrznych (m.in. PKK i jej choćby mimowolnych koalicjantów) oraz zewnętrznych (silne były zarzuty o ingerencję z zewnątrz – z Rosji, ale częściej z Zachodu).

Wreszcie: ważna kwestia demokratycznej legitymacji. Standardy demokratyczne w Turcji daleko odbiegają dziś od zachodnich. Wprawdzie zawsze tak było, ale obecna władza dużo w tym kierunku zrobiła podczas dwóch dekad nieprzerwanych rządów. Szanse w tych wyborach nie były równe, pytanie o fałszerstwa stawiano mocno. Jednak proces głosowania i liczenia głosów nie dał opozycji podstaw do podważenia wyniku.

Władze zdobyły silny mandat do dalszych rządów, a także potwierdziły, że zależy im, aby był on niepodważalny. Fakt ten powinien rozładować wiele napięć i w kraju, i w relacjach z Zachodem.

Wymyśleć się na nowo

Wygląda więc na to, że w Turcji zwyciężyła Kontynuacja, która jednak prostą kontynuacją być nie może.

Dość naturalna wydaje się teraz konieczność symbolicznego skonsumowania tego quasi-plebiscytu nad erdoganowską „Nową Turcją”, który odbywa się w stulecie Republiki. Przez lata pojawiały się pomysły przeniesienia stolicy do Stambułu (pomysł przywrócenia do kultu Hagii Sophii już zrealizowano), epokowych inwestycji (np. przekop Kanału Stambulskiego) lub przyjęcia nowej konstytucji. Ten ostatni wątek zapewne teraz wróci, by zinterpretować i doprecyzować nowy kształt kraju – niekoniecznie dużo bardziej islamski, zapewne zaskakująco bliski kemalistowskiemu nacjonalizmowi, oczywiście wygodny dla obecnej ekipy i przygotowujący kraj na epokę po Erdoğanie. Tak czy inaczej – nowy.

Ale dalece ważniejsza jest realna polityka. Ostatnie miesiące (jeśli nie lata) po-

lityki państwa były podporządkowane wyborom: i kryzys, i wyczarowywane pieniądze (m.in. z Rosji), i programy socjalne, i szarże (głównie antyzachodnie), i zaniechania w polityce międzynarodowej (znów m.in. otwartość na Rosję), i na szybko finalizowane projekty modernizacyjne (elektrownia jądrowa, samochód elektryczny, lotniskowiec), i akcje pomocowe dla ofiar trzęsienia (jego efekt to także straty finansowe rządu 100 mld dolarów).

Dwa scenariusze

Z perspektywy polskiej (i zachodniej) dylemat Turcji sprowadza się do dwóch opcji.

Pierwsza to pogłębienie widocznych od kilku lat tendencji: autorytaryzmu w polityce wewnętrznej, asertywności wobec Zachodu i doraźnego poszukiwania wagi politycznej (i pieniędzy) w relacjach ze słabnącą Rosją, ze zdezorientowanymi państwami Bliskiego Wschodu i globalnego Południa oraz z Chinami. Ten dryf kraju jest faktem i dawał mu tlen w ostatnich latach. Dla Turcji, a na pewno dla nas, generowałoby to duże problemy w przyszłości, jako dodatkowy element trudnych do kontroli przewarościowań Zachodu (jego częścią Turcja wciąż jest).

Drugą opcją byłaby odwilż w relacjach Turcji z Zachodem. Podstawą do tego mogłaby być Kontynuacja, zakładająca też, że Zachód przestaje oczekiwać (bez końca) na przełom w Ankarze. Warunkiem koniecznym tej opcji byłoby obniżenie pretensji i nieufności po obu stronach. Taka opcja jest i możliwa, i pożądana, a to za sprawą dotychczasowych związków i wyzwań dotyczących porządku bezpieczeństwa światowego (m.in. problem Rosji i jego globalne skutki), jak też za sprawą postępującej dziś deglobalizacji i korzyści gospodarczych z niej dla obu stron.

Żaden z tych scenariuszy nie jest gwarantowany. Turcja pozostaje krajem o dużej dynamice, uwikłanym w węzeł wyzwań międzynarodowych i rządzonej przez polityka zdolnego do zwrotów gwałtownych i ryzykownych, który Turcję urządził na swoją – niepowtarzalną – miarę. 28 maja, w drugiej turze wyborów, chce on postawić kropkę nad „i”: wprowadzić kraj w trzecią dekadę swoich rządów.

© KRZYSZTOF STRACHOTA



Iryna na spacerze z synem. W wojsku służy już pięciu mężczyzn z jej rodziny, wkrótce ma dołączyć do nich szósty. Kijów, kwiecień 2023 r.

Czego nie widać na pierwszy rzut oka

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z KIJOWA

Choć na ulicach ukraińskiej stolicy wojny jest jakby mniej, dotyka bezpośrednio wielu jej mieszkańców.

IRYNA NEMYROWYCZ LUBI SPĘDZAĆ CZAS w kawiarni należącej do popularnej sieci, którą założył mąż piosenkarki Dżamały. W lokalu, położonym w historycznej dzielnicy Padół, dziś jest niewielki ruch. 34-letnia Iryna próbuje zabawiać pięciomiesięcznego syna Seweryna, który tego dnia ma najwyraźniej zły humor.

Na co dzień mieszkają w małej miejscowości nieopodal stolicy, a w Kijowie bywają raz czy dwa razy w tygodniu – Seweryn ma basen, a Iryna zajęcia sportowe. Czasem ma też ochotę napić się dobrej kawy, bo w klubie wiejskim jest tylko rozpuszczalna. W Kijowie są też jej wszyscy znajomi. Przed 24 lutego Iryna z synem żyli w stolicy, ale potem przenieśli się na wieś – mieszkanie na dwunastym piętrze nie wydawało się bezpieczne.

W Kijowie Iryna stara się robić wszystko to, czego nie może na wsi. A stolica znów oferuje wiele. Kawiarnie, kina, teatry, kluby, centra handlowe przyjmują tłumy klientów. Kolejki od dawna nie stoją przed komisjami poborowymi – jeśli już, to w oczekiwaniu na stoliki w popularnych lokalach. W wiosennych parkach atmosfera jest wręcz piknikowa.

Dla zdrowia psychicznego

Prezydent Wołodymyr Zełenski regularnie wzywa Ukraińców, by nie zapominali, że trwa wojna. Przykładowo w połowie kwietnia mówił: „W porównaniu z zeszłym rokiem w wielu miejscach jest teraz ciszej. Ale to nie oznacza, że gdzieś tam można ignorować wojnę czy być mniej skoncentrowanym na pomocy państwu. Wraz z partnerami udało się

nam zrobić wiele dla obrony ludzi, Ukrainy, całej Europy. Ale to nie oznacza, że nastał czas, by spocząć na laurach”.

W Kijowie o wojnie przypomina coraz krótsza godzina policyjna i naloty. Nawet jeśli ostatnio są regularne – stolicę atakują rakiety i drony – to ich skutki są mało zauważalne w ogromie trzymilionowego miasta.

Na pierwszy rzut oka można odnieść wrażenie, że ta rzeczywistość nie dotyczy Iryny, jednak ona myśli o niej stale – wojna jest przy niej cały czas. Pięciu mężczyzn z rodziny służy, szósty wkrótce do nich dołączy. Jej partner Arsen uczestniczy w szkoleniu wojskowym. Jeśli sytuacja pójdzie w złym kierunku, Iryna wie, że Arsen zrezygnuje z pracy w administracji publicznej i dołączy do armii.

Rozrywki pozwalają Irynie zapomnieć, choćby na chwilę. – Trzeba zajmować się czymś niezwiązanym z wojną, bo inaczej zwariujesz. Tych oskarżeń o zapomnianie o wojnie nie przyjmuję – irytuje się. – Potrzebna jest mi jakaś przestrzeń, choćby mała, takie okienko do starego życia, dla mojego zdrowia psychicznego.

Iryna wciąż próbuje odnaleźć się w rzeczywistości, w której z jednej strony trwa wojna, a z drugiej toczy się codzienne życie.

Dziecko z myślą o przyszłości

Zaraz po 24 lutego 2022 r., w pierwszych dniach inwazji, Iryna i Arsen trafili do

→ Lwowa. Stolica była zagrożona, Rosjanie zajęli lotnisko w pobliskim Hostomlu i wydawało się, że mogą otoczyć Kijów. Właśnie wtedy, we Lwowie, w pierwszych dniach inwazji, Iryna i Arsen zdecydowali, że chcą mieć dziecko. – Rozmawialiśmy o tym, że tyłu świętnych ludzi zginie w najbliższym czasie i co możemy zrobić, jeśli nie będziemy walczyć w niej bezpośrednio. Dziecko uznaliśmy za dobry wkład w nasze zwycięstwo – mówi Iryna.

Oboje są zaangażowani. Ona od lat forsuje reformę służby zdrowia, on jest kierownikiem departamentu strategii w Narodowym Banku Ukrainy. Z powodu pracy, istotnej dla funkcjonowania państwa, nie może zostać zmobilizowany. Pewność, że Iryna nie zostanie sama z dzieckiem, była argumentem na rzecz jego posiadania. – Jesteśmy bardziej na czas odbudowy. Dopóki trwa wojna, mogę jeszcze dzieci rodzić – śmieje się.

Gdy była już na oddziale położniczym, doszło do nalotu. Czekala w piwnicy, aż ustanie. Ostrzał spowodował odcięcie prądu, ale szpital miał własne źródło energii.

Seweryn urodził się w drugiej połowie listopada, niedługo po tym, jak ukraińska armia odzyskała Chersoń na południu kraju. Ledwo przyszedł na świat, a wraz z matką znów siedzieli w szpitalnym schronie, gdy zawyły syreny. Iryna szybko nauczyła się, jak nie przerywać karmienia w biegu, w drodze do schronu.

Ojciec, wuj, kuzyn, szwagier, chrzestny

Przez cały ten czas większość jej rodziny przebywała we wsi położonej 17 km od Buczy. Rosjanie tam nie doszli, ale ostrzegali i tę wieść. Wówczas to do obrony terytorialnej zgłosili się po kolei: ojciec Iryny, jej wuj i kuzyn. Gdy wiosną Rosjanie wycofali się z obwodu kijowskiego, Iryna i Arsen zdecydowali się przyjechać ze Lwowa do domu rodziców. Wówczas było ich tam jedenaścioro. Iryna żartuje, że czuła się jak w akademiku.

Z czasem dom pustoszał. Latem jej chrzestny, pracownik Służby Bezpieczeństwa Ukrainy, zgłosił się do oddziałów bojowych i trafił na wschód. Wujek z obrony terytorialnej przeniósł się do piechoty morskiej. W lutym tego roku zmobilizowany został szwagier. Niedawno jej brat przechodził komisję medyczną; jeśli zostanie uznany za zdolnego, trafi do

armii. Brat cioteczny Iryny uczy się sterować dronami, bo z szeregow obrony terytorialnej chce trafić do wojskowego zwiadu powietrznego.

Choć Arsen jest wyłączony z mobilizacji, ze względu na bałagan w komisjach poborowych dwukrotnie otrzymał wezwania – zostawiali je przyklejone do drzwi. Na razie Arsen nie wybiera się do armii, ale przechodzi szkolenie i ma już wyposażenie. – Nie mogę powiedzieć, że jestem na to gotowa, ale rozumiem go – mówi Iryna.

Dla nich wojna jest stale obecna. Śledzą newsy, zwłaszcza z miejsc, gdzie służą bliscy. Każdy z nich ciągle czegoś potrzebuje: nowego munduru, rękawiczek saperkich, krótkofalówki, apteczki, peleryny, agregatu, termowizji. Rodzina ciągle coś zamawia, szuka, wysyła. Jak wielu Ukraińców, nabyli doświadczenia w militariach. Udało im się kupić także dwa auta dla oddziału chrzestnego Iryny – dzięki zbiorce, którą zorganizowali. Państwo zapewnia żołnierzom dalece nie wszystko, albo wyposażenie pozostawia wiele do życzenia.

Uczucie z Instagrama

Zbiórki pieniędzy to prawdopodobnie najbardziej powszechny sposób, by zaangażować się na rzecz armii. Prośby o pomoc zalewają media społecznościowe. Pieniądze zbierają i organizacje, i pojedynczy wolontariusze – na wszystko, co potrzebne żołnierzom. W niektórych restauracjach w menu są posiłki, z których część przychodów oddawana jest armii. Do tego oprócz pojemnika na napitki stoi też oddzielny, gdzie wrzuca się datki na wojsko. Organizowane są dobroczynne treningi, z których dochód trafia do armii.

Jedną z osób, które zachęcają kijowian do konkretnego wysiłku, jest 27-letnia Daria. Do inwazji polityka ją nie interesowała. Nie chciała w kraju nic zmieniać, a już na pewno nie zamierzała się w nic angażować. Trwająca od 2014 r. wojna w Donbasie była dla niej czymś odległym. Nikt z jej znajomych tam nie służył (poza byłym chłopakiem, z którym nie utrzymywała kontaktu). Daria pracowała jako retuszerka zdjęć, interesował ją też marketing. Życie dzieliła między pracę i znajomych, z którymi spędzała czas, jako bywalczyni kawiarni i barów. Określenie „dusza towarzystwa” pasowało do niej jak ulał.

Jakoś tak wyszło, że jesienią 2021 r. poznała się na Instagramie z Ołeksandrem. Pisali do siebie, żartowali, flirtowali. On właśnie zwalniał się z pułku Azow, wywodzącego się ze środowiska skrajnie prawicowego. Gdy przyjechał do Kijowa na jeden dzień, minęli się, Darii akurat nie było w mieście. Przenieśli spotkanie na kwiecień.

W kwietniu jednak nie było mowy o spotkaniu. Ołeksandr bronił kombinatu Azowstał, ostatniego bastionu w otoczoną Mariupolu. Zjawiał się w internecie późnym wieczorem i do rana ze sobą pisali. – Czułam się, jakbym siedziała obok kierowcy prowadzącego auto w nocy i moim zadaniem było nie pozwolić mu zasnąć – wspomina Daria.

Opowiadał jej, co się dzieje w Azowstału. Rozmawiali o życiu i śmierci. Kwitło między nimi jakieś uczucie, zacieśniała się więź. Wierzyła, że Ołeksandr ocaleje. Zginął.

Milion w półtorej doby

To właśnie relacja z Ołeksandrem sprawiła, że Daria się zaangażowała.

Najpierw była wolontariuszką w kawiarni, gdzie szykowali jedzenie dla potrzebujących. Ale chciała więcej. Zaczęła być aktywna w mediach społecznościowych. Informowała, co dzieje się w Azowstału. Zachęcała do udziału w zbiórkach. Wraz z grupą znajomych „napadła” w komentarzach na celebrytów i influencerów, którzy nie reagowali na to, co się wydarza w kraju. Po fali takich wezwań, często zaczynali działać.

Aktywność Darii zwróciła na nią uwagę innego żołnierza z Azowu, który zaprosił ją do współpracy. Oddział ma własną platformę zbierającą darowizny „Wesprzyj Azow” i Daria miała im w tym pomóc. Odtąd zajęła się tylko tym. Musiała prosić ojca, by opłacił jej mieszkanie, bo nie miała kiedy zająć się pracą zarobkową.

Kiedyś zażartowała, że zbierze milion hrywien (112 tys. zł). Żołnierze wzięli to na serio i tak zaczęła pierwszą własną zbiórkę, choć miała tylko 3 tys. obserwujących na Instagramie. Widziała influencerów mających ich po sto tysięcy, którzy przez miesiąc zbierali znacznie mniejsze sumy. Jej obserwatorzy okazali się jednak wyjątkowo lojalni: informacja o zbiórce rozeszła się błyskawicznie i cel osiągnięto w półtorej doby. Daria nie mogła w to uwierzyć.



Daria została wolontariuszką po rosyjskiej inwazji, organizuje zbiórki dla żołnierzy. Kijów, kwiecień 2023 r.



Nazarij pokazuje naszywkę organizacji wojskowych LGBT+. Jego chłopak jest żołnierzem w Donbasie.

Bachmut wzywa, Kijów działa

Nabrała pewności siebie i ruszyła z kolejną zbiórką: 10 milionów hrywien na ciężarówkę dla żołnierzy w broniącym się Bachmucie.

Pierwsze 2 miliony zebrała szybko, ale potem zbiórka utknęła. Do tego Daria zachorowała na covid i musiała zrobić przerwę. Zadanie okazało się trudniejsze, niż sądziła. Ale miała plan. „Bachmut wzywa, Kijów działa” – takie hasło wymyśliła. Udało jej się namówić restauracje, kawiarnie i sale sportowe do przekazania części zysków. Np. jeden z lokali oddawał 50 hrywien za każdy makaron ryżowy z kurczakiem. Do tego ludzie wystawiali najróżniejsze rzeczy na aukcje: rysunki, ubrania, bukiety kwiatów. Pewna kobieta wylicytowała za 87 tys. hrywien tomik poezji Wasyla Stusa, poety i dysydenta z czasów sowieckich, który zginął w lagrze.

Pieniądze zebrano głównie dzięki datkom mieszkańców Kijowa i innych miast. Dla Darii to najlepszy przykład, że o wojnie tam nie zapomniano.

Potańczyć to przywilej

Nazarij (imię zmienione) wstał zmęczony po tym, jak wieczorem wrócił z imprezy techno. Parkiet był pełen ludzi. To popularny klub, który działa mimo godziny policyjnej. Po prostu otwiera się wcześniej, a kończy przed północą, by pracownicy zdążyli dotrzeć do domu. Część pieniędzy od każdej wejściówki przekaza-

zywana jest na pick-upy dla 93. Brygady Zmechanizowanej, która walczy w Bachmucie. Np. w weekend 6-7 maja zebrali 483 tys. hrywien (54 tys. zł).

Czasem Nazarij, reżyser filmowy po trzydziestce, ma wątpliwości, czy robi wystarczająco dużo. – Kiedy możesz zjeść coś smacznego albo w sobotę potańczyć do muzyki, myślisz o tych, którzy tego przywileju nie mają – przyznaje.

Rano popija kawę w szlafroku. Z pokoju wychodzą dwie dziewczyny, którym pozwolił przenocować po imprezie. Nazarij pracuje z domu albo z pobliskiego biura. Od czasu do czasu jeździ na zdjęcia. Dużo czasu spędza w kawiarniach, bywa na koncertach.

Ale także przy nim wojna jest stale obecna. 24 lutego miał spotkać się ze swoim byłym chłopakiem. Od jakiegoś czasu pisali do siebie, bo Artem (imię zmienione) mieszkał poza Kijowem. Mówił Nazarijowi, że czuje „lepką atmosferę” oczekiwania na coś, co się zaraz wydarzy. Artem był weteranem z Donbasu i gdy zaczęła się inwazja, już 24 lutego zgłosił się na ochotnika. Choć nie zobaczyli się, znów stali się parą. – Gdy prawdopodobieństwo, że możesz tę osobę stracić, staje się większe, musisz zmienić priorytety – mówi Nazarij.

Na chwilę razem

Ich związek istniał więc na odległość. Pisali do siebie codziennie. Nazarij woląby rozmawiać przez telefon, ale Ar-

tem nie chciał. Nie przepada za tym, no i nie wszyscy w jego oddziale wiedzą, że jest gejem. Nie jest pewien, jak by zareagowali. Nazarij nie naciska. Najważniejsze, że jego partner żyje. To mu wystarczy.

W internecie znalazł porady, jak podtrzymać relację na odległość podczas wojny. Stąd pomysł, by mieli własne rytuały, choćby drobne, które pozwalają zachować intymność.

Zobaczyli się dopiero niemal po roku od inwazji. Najpierw na chwilę w Kijowie, skąd Artem jechał na szkolenia wojskowe do Czech. Nazarij myślał, że będą potrzebować czasu, by przyzwyczaić się do siebie w realu. Może pomogła ich dawna relacja, a może to wojna nie zostawia miejsca na zbędne ceremonie – w każdym razie zachowywali się tak, jakby nie rozstawali się w ogóle. Chcieli mieć trochę przestrzeni dla siebie, pooglądać razem seriale, a przede wszystkim poczuć bliskość ukochanej osoby. To było coś, co przypominało im o życiu sprzed 24 lutego.

Najtrudniej było, gdy Artem musiał jechać na wschód. Stali na peronie i nie wiedzieli, co sobie powiedzieć. Nie wiedzieli też, jak się pożegnać, bo nie chcieli zwracać uwagi. Czy mogą się objąć? Pocałować? Wizja rozłąki przełamała jednak obawy.

Nazarij nie może się doczekać, aż znów będą razem. Najlepiej już w powojennym Kijowie.

© PAWEŁ PIENIAŻEK



Ciepłe rzeczy od pana Grzegorza i małego Gustawa trafiły na front w Donbasie, październik-listopad 2023 r.

Z Bobrownik do Bachmutu

WOJCIECH PIĘCIAK

Śpiwór, materac, ciepłe skarpety rozmiar 43, ciepła czapka, termoaktywna koszulka: te rzeczy pan Grzegorz spakował do paczki, odpowiadając na apel „Tygodnika”.

W PAŹDZIERNIKU 2022 ROKU – po tym, jak Rosja zaczęła naloty na energetykę Ukrainy, by „zamrozić” ją podczas nadchodzącej zimy i złamać wolę oporu – ogłosiliśmy w „Tygodniku” zbiórkę dla ukraińskich obrońców i dla cywilów szczególnie dotkniętych wojną. Dziś, po ponad siedmiu miesiącach jej trwania, można pokazać bilans zbiórki.

Paczka pana Grzegorza z Bobrownik Śląskich była wtedy jedną z pierwszych, które przysły do redakcji. Znajdował się w niej też dziecięcy rysunek: uśmiechnięty tygrys i pozdrowienia dla nieznanego (jeszcze) odbiorcy. Rysował Gustaw, syn pana Grzegorza. Ich paczka trafiła do Bachmutu, do żołnierza z 24. Brygady, która broniła (i nadal broni) tego miasta.

„Ten rysunek Gustawa miał być wesoły i chyba się udało. Mam nadzieję, że śpiwór nie będzie musiał być za długo używany, że zima będzie ciepła, i że skończy się ten zły sen” – napisał pan Grzegorz w odpowiedzi na podziękowanie, które mu posłałem. Wtedy jeszcze mogłem wysłać podziękowania na paczki; wkrótce stało się to fizycznie niemożliwe – tyle ich przychodziło.

Tych siedem miesięcy w liczbach wygląda (w skrócie) tak:

– to 11 wyjazdów, podczas których byliśmy zarówno na Ukrainie zachodniej i centralnej (Lwów, Drohobycz, Złoczów, Kijów), jak też przede wszystkim na wschodzie i południu: Dnipro, obwód doniecki (np. Kramatorsk, Pokrowsk, Drużkiwka), Krzywy Róg, Chersoń.

– to kilkanaście ton najróżniejszej pomocy dla walczących i dla cywilów (tych z Chersonia, żyjących na co dzień pod ostrzałami, albo tych z Drohobycza, którzy uciekli tam z Krymu i obwodu chersońskiego).

– to w szczególności: 55 agregatów prądotwórczych (podarowanych lub kupionych za środki wpłacane na konto Fundacji S.O.S. Ukraina, z którą współpracowaliśmy); prawie półtora tysiąca śpiwórow (w większości zimowych); kilkaset polarów; kilkaset kompletów termobielizny; wiele pudeł i toreb z ciepłymi skarpetami, czapkami, rękawiczkami; buty i kurtki; ok. 150 kuchenek turystycznych (i kilkaset kartuszy z gazem do nich); 10 elektronarzędzi chirurgicznych do operacji, które trafiły głównie do szpitali w obwodzie donieckim, w tym do frontowych punktów stabilizacyjnych w Konstantynówce i Łymaniu (podał je pan Rafał, właściciel firmy produkującej takie aparaty); rozmaity inny sprzęt dla szpitali polowych i punktów stabilizacyjnych (jak ok. 5 tys. podkładów chłonnych czy 400 litrów płynu fizjologicznego do infuzji); kilkaset latarek (głównie „czołówek”); powerbanki, termosy i grzejniki (te dla Chersonia); żywność długoterminowa (ok. 5 ton, głównie dla ludzi z Chersonia i okolicznych wsi); karma dla zwierząt; ok. 2,5 tys. czekolad. A także wiele innych rzeczy, czasem pozornie drobnych, jak chemiczne ogrzewacze do stóp i rąk, ważne dla przetrwania w warunkach ekstremalnych.

To wszystko było możliwe dzięki Wam, naszym Czytelnikom i Przyja-



Od lewej: Oleń, duchowny Kościoła baptystów i kapelan wojskowy, w leśnym obozie pod Kijowem, listopad 2022 r. Mały Timur i ksiądz Jurko w Chersoniu, styczeń 2023 r. Doktor Ołena z aparatem do operacji w kijowskim Instytucie Chirurgii, gdzie leczeni są ciężko ranni, grudzień 2022 r.



Od lewej: „My z Wami” – paczka z Bolechowic koło Krakowa dla Chersonia i agregat dla tamtejszego szpitala, styczeń 2023 r. Krymskotatarskie dzieci-uchodźcy w Drohobycz, maj 2023 r. Poniżej: agregaty od Niepołomic i strażaków ze Spytkowic dla Chersonia, styczeń 2023 r.

ciom, a także dzięki wsparciu naszych Przyjaciół i Partnerów, w tym kilku organizacji i firm z Polski i Niemiec. Otwierając paczki, trafiałem na Wasze kartki z pozdrowieniami dla odbiorców. Były też listy, np. od czytelnika, dziś emeryta, związanego rodzinie z dawnymi ziemiami wschodnimi II RP, który, wymieniając kolejne ważne dla niego miejsca, pisał: „Wszystko to mam ciągle przed oczami, szukam informacji i wyobrażam sobie, jak tam jest teraz”. Widać było, że te paczki są przemyślane, spakowane pieczołowicie, że włożyliście w nie swój czas i wysiłek, również swoje uczucia.



I w pewnym sensie – one też tam pojechały. Bo, jak ktoś nam powiedział (przy okazji pierwszego wyjazdu do Chersonia): „Wieciecie także niematerialne dary: nadzieję, przyjaźń, braterstwo”.

Za kilka dni pojedzie kolejny transport: półtonowej tony produktów spo-

żywczych i artykułów higieny przysłanych przez przyjaciół z Niemiec dla ludzi z Chersonia. Tam nie działają sklepy (dwa markety, które się otworzyły, zostały 3 maja ostrzelane rakietami). I o takie produkty prosili Olga (ze stowarzyszenia rodzin z niepełnosprawnymi dziećmi) oraz Jurko, ksiądz prawosławny, którego cerkiewka, położona niebezpiecznie blisko Dniepru (za rzeką stoją już Rosjanie), służy za magazyn pomocy dla ludzi z miasta i okolicznych wsi.

„Zły sen”, o którym pisał pan Grzegorz z Bobrownik, jeszcze się nie skończył. Zatem i nasz ciąg dalszy trwa. ©



Fania Lewando (w środku) ze swoimi uczennicami. Wilno, 1938 r.

DRUGIE ŻYCIE FANI

Żydowska kucharka w przedwojennym Wilnie robiła to, co dziś wegetarianie i weganie: bezmięsne warianty znanych potraw, jak gefilte fisz bez ryby. Dziś jest odkrywana na nowo.

JACEK STAWIANY

GDYBY NIE NOGA LAZARA, HISTORIA mogłaby się potoczyć inaczej. To prawdopodobnie ona sprawiła, że Fania Lewando została tym, kim została. Restauratorką, propagatorką wegetarianizmu i zdrowego żywienia, prowadzącą kursy dla kobiet, autorką książki kucharskiej, szefową koszernej kuchni na luksusowym transatlantyku.

Niewiele wiadomo o jej życiu. Nie znamy daty jej urodzenia. Nie wiemy też, kiedy dokładnie zginęła ani jak się stało.

Musiałoby minąć ponad 70 lat, żebyśmy w ogóle sobie o niej przypomnieli.

Mariaż rybno-jajeczny

Ale po kolei. Fania rodzi się we Włocławku w zaborze rosyjskim w roku 1887 lub 1888, jako jedno z sześciorga dzieci handlarza rybami Haima Efraima Fiszelewicza i zajmującej się domem Estery Malki z domu Stulzaft.

Nie są specjalnie zamożni. To tradycyjna i religijna rodzina, w domu mówi się w jidysz.

Możliwe, że Haim jako przykładowy Żyd spędza dużo czasu na studiowaniu Tory i innych obowiązków w synagodze, a sumów i szczupaków pilnują żona i dzieci. Być może zatem już w rodzin-

nym domu Fania nabiera smykałki do interesów.

Wychodzi za mąż za niejakiego Lazara Lewando, który dla odmiany handluje jajami. Nie wiemy, kiedy się żenią, czy się kochają, czy to raczej małżeństwo z rozsądku, zaaranżowane przez rodziny planujące rybno-jajeczny konglomerat. Wiemy, że nie mieli dzieci. I że faktycznie zostali biznesowymi partnerami.

Rodzina Fiszelewiczów, a przynajmniej ojciec i część rodzeństwa, bo nic nie wiemy o losach matki, w pierwszym roku XX wieku emigruje do Wielkiej Brytanii. O wyprowadzce – ale do

Stanów Zjednoczonych – marzyć mogli Fania i Lazar. Wiadomo, że ubiegali się o wizę do USA, ale ich wniosek został odrzucony. Ze względu na niegojącą się ranę na nodze Lazara uznano go za mało wartościowy materiał na amerykańskiego obywatela. Prawdopodobnie rana była skutkiem cukrzycy. I możliwe, że to popchnęło Fanię do zajęcia się tematyką zdrowego żywienia.

Dieto-jarska Jadłodajnia

Lewandowie nie mogli wyemigrować na zachód, udali się więc na wschód. W Wilnie przy ulicy Niemieckiej, jednej z reprezentacyjnych arterii miasta, otworzyli „Dieto-jarską Jadłodajnię”.

Ludność żydowska stanowiła przed wojną niemal 30 proc. mieszkańców miasta. Nic dziwnego, że lokal oferujący jedzenie kosherne, a do tego – jak twierdzili autorzy wpisów w zachowanej do dziś księdze gości – smaczne i zdrowe przyciągał tłumy.

Restaurację odwiedzały takie znakomitości, jak światowej sławy malarz Marc Chagall (urodzony jako Mojsza Zacharowicz Szagałow, syn sprzedawcy śledzi). Pozostawił po sobie zapis, że przez wrażliwy żołądek był „w stanie spróbować tylko troszeczkę, i okazało się to, pomimo wszystko, pyszne”. „To było zachwycające, odświeżające” – komplementował kuchnię Lewando poeta i krytyk literacki Icyk Manger. A dziennikarz Szmuel Winter, rodem również z Włocławka, stwierdził: „Być może ludzkość miałaby inne oblicze, gdyby była żywiona bezmięsnie”.

– Ponad 90 procent gości, którzy pozostawili wpisy w księdze, to byli Żydzi – mówi Paulina Skotnicka, przewodnicząca i propagatorka kultury żydowskiej, która poszukuje śladów po Fani Lewando. Szukała także reklam jej jadłodajni w polskich gazetach ukazujących się wtedy w mieście. Bez rezultatu. – Te społeczności w Wilnie żyły całkowicie odrębnie. Fania tylko w swojej zrobiła karierę. Nie mam nawet wiedzy, czy i na ile znała język polski. Ona starała się działać w świecie żydowskim, szukała enklawy, gdzie będzie u siebie. Taką przestał być Włocławek po antyżydowskich rozruchach w roku 1919 i 1920, a potem w latach 30.

Tańsza opcja

Kuchnia Żydów aszkenazyjskich jawi się stereotypowo jako ciężka i tłusta. To

gęsi smalec, wątróbki, śledzie czy ziemniaczany kugel. Jednak nie stroniła ona od roślinnych potraw.

I to z kilku powodów. Raz, że mięso nie było tanie. Dwa, że nie wszędzie łatwo było znaleźć to kosherne. – W Krakowie mnóstwo było wegetariańskich restauracji żydowskich, choćby w eleganckim hotelu Rapaport czy przy placu Dominikańskim 5 – mówi Skotnicka. – Posiadanie dwóch albo trzech kuchni [oddzielnych dla mięsa i produktów mlecznych – red.] było drogie, a do prowadzenia kuchni jarskiej nie potrzeba było rabina na etacie, który potwierdzałby koszerność. Była to po prostu opcja najtańsza.

Jak tłumaczy Magdalena Maślak – kulturoznawczyni, kierowniczka Sekcji Programów Społecznych Muzeum Polin i kuratorka wystawy „Od kuchni. Żydowska kultura kulinarna” – wegetarianizm nigdy nie był obcy kulturze żydowskiej także z innego powodu: – Związany jest między innymi z zapisami w Torze oraz zasadą *tikkun olam*, zgodnie z którą ludzie powinni naprawiać i ulepszać świat oraz nie przynosić na niego cierpienia.

Wedle Biblii na początku wszystkie istoty były wegetarianami. „I rzekł Bóg: »Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno po całej ziemi i wszelkie drzewo, którego owoc ma w sobie nasienie: dla was będą one pokarmem. A dla wszelkiego zwierzęcia polnego i dla wszelkiego ptactwa w powietrzu, i dla wszystkiego, co się porusza po ziemi i ma w sobie pierwiastek życia, będzie pokarmem wszelka trawa zielona«” (Rdz 1, 29-30). Ludziom zezwolił na jedzenie mięsa dopiero po potopie. Wtedy Noemu i jego synom powiedział: „Wszystko, co się porusza i żyje, jest przeznaczone dla was na pokarm, tak jak rośliny zielone, daję wam wszystko” (Rdz 9, 3).

– Wegetarianizm nigdy nie był nowinką w kulturze jidysz. Najważniejsi rabini propagowali dietę wegetariańską, a nawet wegańską. W zależności od tego, w jak bardzo święty sposób ktoś chciał prowadzić życie – mówi Paulina Skotnicka.

Jeść lokalnie

Ale, jak podkreśla Magdalena Maślak, to nie religia, lecz ówczesne odkrycia naukowe zainspirowały Fanię do zwrócenia się w stronę kuchni bezmięsnej.

W 1912 r. Kazimierz Funk i Ludwik Rajchman, również polscy Żydzi, odkryli istnienie związków, które nazwali witaminami. Zaczęto doceniać zawierające je warzywa i owoce, wcześniej postrzegane jako mniej wartościowy od mięsa czy pieczywa dodatek.

„Największe medyczne autorytety już dawno temu doszły do wniosku, że potrawy z owoców i warzyw są dużo zdrowsze i bardziej odpowiednie dla ludzkiego organizmu niż potrawy mięsne (...). Z profilaktycznego punktu widzenia (to jest aby chronić siebie i najbliższych od chorób żołądka, a także innych chorób) należy koniecznie starać się przynajmniej trzy dni w tygodniu unikać dań mięsnych. Także z powodu humanitarnej »troski o zwierzęta« (nie zabijaj żywych istot – zasada znana jako motto ruchu wegetariańskiego) należałoby zmienić kuchnię mięsną na wegetariańską. Często docierają do nas głosy gospodyń, które skarżą się, że »bez mięsa to nie ma co gotować«. Jest to jednak tylko mrzonka” – pisała Fania (tłum. Agata Kondrat).

– Fania Lewando mówiła, że trzeba jeść lokalnie: jedzenie powinno trafiać od razu z pola na talerz, bez transportu z daleka. Wierzyła, że pełnia smaku jest w świeżości, a nie w licznych przyprawach. Czyniła też ideologią to, co było smutną koniecznością dla wielu ubogich Żydów, niemogących pozwolić sobie na egzotyczne przyprawy. To, co można było, ratowała jakością jedzenia. To też nowoczesne podejście – podkreśla Paulina Skotnicka.

– W jadłodajni Fania poruszała się niczym pielęgniarzka w białym ubiorze i czepku na głowie. – Skrajała indywidualne diety dla gości, którzy przychodzili z konkretnym problemem zdrowotnym, podchodziła do tematu naukowo – mówi Skotnicka.

Wizytówka

Fania organizowała także kursy gotowania, choć niewiele dziś o nich wiemy. Nie zachowała się treść wykładów. Wiadomo, że były przeznaczone dla kobiet.

– W dwudziestoleciu międzywojennym kobiety zaczęły być aktywne na rynku pracy. Zaczęto prowadzić liczne kursy głównie dla nich. Np. reperowania przedmiotów, w tym ówczesnej nowinki: elektrycznych sprzętów. Kto mógł, →

→ popularyzował jakąś ideę, więc Fania nie była wyjątkiem – mówi Skotnicka.

Odrodzone po zaborach i wojnach o granice, polskie państwo potrzebowało wizytówki. Czegoś, czym można pochwalić się w świecie. Takimi stały się transatlantyki „Piłsudski” i „Batory”. Ten drugi rozpoczął służbę w 1936 r. Choć zbudowano go we włoskiej stoczni, o jego wnętrza zadbali polscy artyści pod auspicjami specjalnej komisji ministra wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Na pokład mógł wziąć ok. 800 pasażerów i ponad 300 członków załogi. Kursował na trasie Gdynia-Kopenhaga-Nowy Jork-Halifax w Kanadzie.

Wielu pasażerów stanowili Żydzi, turyści i ci udający się do Ameryki na stałe. W pewnym okresie na „Batorym” funkcjonowała kuchnia koszerna, a jej szefową została – Fania Lewando.

Skotnicka uważa, że Fanię mógł polecić ktoś z jej znajomych. Jidyszystów, działaczy politycznych którejś z licznych wówczas partii żydowskich? Sama mogła sporadycznie wypływać w rejs, być może zastępowała ją wykształcona przez nią kadra.

– W każdym razie to ona stworzyła tam kuchnię koszerną. Poproszono ją jako osobę znaną z nowoczesnego podejścia do tworzenia menu. Miało ono być wizytówką współczesnej kuchni żydowskiej – podkreśla Skotnicka.

Bez śladu

Kariera Fani pod koniec lat 30. rozpadła się. To kolejny amerykański w tek w jej biografii, bo planowała wejść we współpracę z tamtejszym koncernem produkującym przetwory, słynną firmą Heinz. Prawdopodobnie za pośrednictwem rodziny w Anglii udało się doprowadzić do rozmów, ale nie wiemy, jak się potoczyły. I nadszedł rok 1939.

19 września Wilno zajmuje Armia Czerwona. Dwa lata później, w czerwcu, wchodzą Niemcy. Już latem przeprowadzają pierwsze egzekucje we wsi Ponary, a we wrześniu w Wilnie powstają duże



Okladka pierwszego wydania książki kucharskiej Fani Lewando. Wilno, 1938 r.

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

i małe getto. Między nimi, wyłączona z getta dla usprawnienia transportu wojsk, biegnie ulica Niemiecka, przy której mieści się jadłodajnia Lewandów.

Co się z nimi stało? W czasie wojny ślad po nich zaginął. Prawdopodobnie udało im się wydostać z getta – zdążyli jeszcze wysłać list do rodziny. Na temat ich dalszych losów jest kilka hipotez. Na poświęconych im tzw. Stolpersteinach – ka-

mieniach umieszczanych w trotuarze ku pamięci o żyjących w danej miejscowości Żydach – napisano, że zginęli w 1941 r. podczas ucieczki przed naziistami. Według innej hipotezy zabili ich sowieccy żołnierze, widząc w nich przedstawicieli „burżuazji”.

Tak kończy się pierwsze życie Fani.

Odkrywanie

Drugie zaczyna się pół wieku później.

W 1995 r. na londyńskim pchlim targu natrafiono na niecodzienne znalezisko. Był to jeden z kilku zachowanych – spośród 3 tys. egzemplarzy – wydanej na przełomie 1937/38 r. „Wegetariańsko-dietetycznej książki kucharskiej. 400 przepisów przygotowanych wyłącznie z warzyw”. Autorką napisanej w jidysz pozycji była Fania Lewando.

Książka zachwyciła współpracowniczkę YIVO Institute for Jewish Research z Nowego Jorku, która postanowiła wydać jej tłumaczenie na angielski. To ukazało się po kolejnych 20 latach w przekładzie Eve Jochnowitz (wkrótce przetłumaczono je na litewski). Nieco wcześniej, w 2012 r., postać Fani polskiemu czytelnikowi przypomniał żydowski kwartalnik o literaturze i sztuce „Cwiszn”: na jego łamach ukazały się fragmenty wstępu Fani do jej książki i kilka przepisów (w przekładzie Agaty Kondrat).

Amerykańskie wydanie zaciekało twórców krakowskiego Festiwalu Kultury Żydowskiej. Tak w „Chederze”, festiwalowej klubokawiarni, zagościły warsztaty gotowania przepisów Fani Lewando. Prowadziła je Sabina Francuz, która po kilku latach dostała propozycję przejścia festiwalowej kuchni.

– Tam poznałyśmy się z kilkoma fajnymi dziewczynami. Zgłębiałam w tym czasie działalność Fani, wciągając stopniowo dziewczyny w tę fascynującą postać. Tak powstał kolektyw Meczyje, z którym już po rozstaniu z Festiwalem Kultury Żydowskiej rozpoczęłyśmy tłumaczenie i testowanie jej przepisów – opowiada Sabina Francuz.

Grupa pięciu kobiet regularnie spotykała się i testowała przepisy Fani, tłumaczone przez jedną z członkiń z oryginalnego wydania książki. Jak się bowiem okazało, jeden egzemplarz odnalazł się w zbiorach Biblioteki Narodowej. Przesłała go tam zresztą – jako egzemplarz obowiązkowy – sama Fania. Książka jest

obecnie dostępna online w ramach projektu Polona.

– Naszym cichym marzeniem była publikacja tłumaczenia. Podczas wakacji w grupie nieznanym mi ludzi opowiadałam o tym, co robię. Przypadkiem była tam redaktorka wydawnictwa Znak. Spodobała jej się historia Fani, zainteresowała nią wydawnictwo i rozpoczęłyśmy pracę nad książką – mówi Sabina Francuz. Tłumaczeniem zajęła się Aleksandra Małota, zdjęcia potraw robiła Aleksandra Fruga, obie członkinie Meczyi. „Dietojarska kuchnia żydowska” ukazała się jesienią 2020 r., w apogeum pandemii.

Fania inaczej niż dziś
postrzegała zdrową
dietetyczną kuchnię:
nie unika w przepisach mąki,
jaj, masła czy tłustej śmietany.

**Nie prowadzi też
czytelniczki za rękę.**

Nie wyrzucać

W przeciwieństwie do wiernego tłumaczenia Jochnowitz, Meczyje zdecydowały się na pewne zmiany. Wybrano 80 z 400 przepisów zamieszczonych w oryginalnym, ze względu na ograniczenia objętościowe. W nowym wydaniu znalazł się też zarys życiorysu Fani (napisany przez Skotnicką) i słowo o żydowskiej kuchni, a także uwagi od kolektywu na temat unowocześnienia przepisów.

Fania inaczej niż dziś postrzegała zdrową dietetyczną kuchnię: nie unika w przepisach mąki, jaj, masła czy tłustej śmietany. Nie prowadzi też czytelniczki za rękę. Próżno szukać informacji o tym, ile konkretnie minut w jakiej temperaturze trzeba piec np. kugel.

W niezamieszczonym w polskim tłumaczeniu, a kierowanym „do pań gospodyń” wstępie Fania radzi, by używać produktów najwyższej jakości, czystych naczyń (najlepiej aluminiowych) i masła wyrabianego maszyną, a nie ludzkimi rękami (choć dodaje, że łatwo je zastąpić roślinnymi tłuszczami). Hołduje też czemuś, co dziś moglibyśmy określić filozofią „zero waste”. Piszze: „Nie wolno nic

wyrzucać, ze wszystkiego można przyrządzić jedzenie”.

– Wynikało to z ekonomicznych i praktycznych względów. Wszystko miało swoje miejsce, warzywa z wywaru szły do sałatki – mówi Sabina Francuz.

Przepisów Fani z końcówki lat 30. nie powstydziłyby się współczesne blogi z kuchnią wegetariańską czy nawet wegańską. Są kotlety z kaszy gryczanej lub kapusty, niby-ryba z warzyw, zrazy ziemniaczane, pasztet ze szpinaku, sznycel z selera i sznycel wiedeński z kalafiora. Są zupy, w tym mleczna z kapustą (Sabina Francuz mówi, żeby się jej nie bać) i migdałowa, kisiele, latkes, kreplach, konfitury oraz lody.

Potrzeba tylko badacza

Czy Fania Lewando była innowatorką?

– Nie twierdzę, że nie, ale nie była wyjątkowa na tle swojej epoki. Właściwie była w niej mocno osadzona. Lata 20. XX wieku to eksplozja nowocześnieści, popularyzowano odkrycia naukowe. Związek między dietą jarską a dobrostanem świata trafił pod strzechy w formie radiowych czy gazetowych pogadanek. Fania w tę epokę się wstrzeliła – uważa Paulina Skotnicka. – Na pewno była postacią fascynującą, bo z dość zamkniętej żydowskiej społeczności w nieco prowincjonalnym Wilnie jej sława dotarła do Warszawy, została współtwórczynią kuchni na luksusowym wycieczkowcu.

Wciąż jednak niewiele wiadomo o jej życiu. Wciąż, bo jest nadzieja, że się to zmieni.

– YIVO Institute zaczął swoją działalność w Wilnie, wtedy jako Żydowski Instytut Naukowy. Fania była z nim związana przez licznych znajomych, prowadziła tam kursy kulinarne i lekcje o zdrowym żywieniu. Jest szansa, że w przepastnych archiwach YIVO w Nowym Jorku znajdą się teraz na jej temat dokumenty. Potrzeba tylko badacza, który dysponuje znajomością jidysz i ciekawością – mówi Paulina Skotnicka.

Gdyby nie splot wydarzeń, zapewne nie potrzebowalibyśmy archiwów, bo od dawna znalazłbyśmy Fanię Lewando. Jej książkę i pewnie kolejne, które nigdy nie powstały. Może na dyskontowych półkach królowałyby wymyślone przez nią produkty opatrzone logo Heinza?

© JACEK STAWIANY



DIDIER DESCOUENS

*Dziecko z Taung
– odlew czaszki *A. africanus*
opisaney przez Raymonda Darta.*

KSIĘGA NASZEGO RODZAJU

Australopiteki dzieli się dziś nawet
na dziesięć gatunków i cztery różne rodzaje. Nie byłoby nas bez nich.
Ale jakie były te dwunożne małpy i skąd się wzięły?

ŁUKASZ KWIATEK

Gdy 25-letni, przepełniony wątpliwościami Raymond Dart zaczynał w 1922 r. pracę na nowo utworzonym Uniwersytecie Witwatersrand w Johannesburgu, nie mógł nawet marzyć, że dwa lata później zapisze się w historii paleoantropologii. Dart miał za sobą studia przyrodnicze w Anglii, na których liźnął geologii, a także studia medyczne w Australii. Do RPA wyjechał, by objąć stanowisko profesora anatomii. To nie miał być długi pobyt – nie chciał przebywać daleko od europejskich ośrodków naukowych.

Szybko się przekonał, że trudno mu będzie prowadzić zajęcia nie dysponując kolekcją szkieletów, której młoda uczelnia jeszcze się nie dorobiła. Zaproponował więc studentom, by szukali skamieniałości zwierząt. Każdego roku znalazca najciekawszego okazu miał dostać 5 funtów (równowartość dzisiejszych 400 dolarów).

Dzięki jednej ze studentek Dart poznał dyrektora kopalni z miejscowości Taung, który zgromadził w domu kolekcję skamieniałości wydobytych przez górników ze skruszonej skały wapiennej. Namówił go, by mu je przekazał. I tak pewnego dnia, gdy państwo Dartowie organizowali wesele swojego przyjaciela, do ich domu trafiła skrzynia ze skamieniałościami, która niemal zrujnowała przyjęcie, bo jej zawartość całkowicie pochłonęła uwagę Raymonda. Najważniejszy okaz, jaki znalazł się w tej skrzyni, znamy dziś pod nazwą Dziecko z Taung. To skamieniałości dużej części czaszki małpy człowiekowatej oraz pasujący do niej odciśnięcie mózgu.

A jednak Afryka

W tym czasie nie znano żadnych innych afrykańskich skamieniałości, które reprezentowałyby przejściowe stadium ewolucji od małp człowiekowatych do człowieka. Wykopaliska prowadzone pod koniec XIX w. przez Eugène'a Dubois dostarczyły nam co prawda „małpoluda” (*Pithecanthropus erectus*) – dzisiaj klasyfikowanego jako *Homo erectus* – pitekanthrop pochodził jednak z Indonezji. Gdy zatem Raymond Dart zaglądał do skrzyni przysłanej przez dyrektora kopalni wapienia, nim żona zaciągnęła go na ślub przyjaciela, wśród specjalistów panowało przekonanie, że kolebką ludzkości była Azja. Odkrycie dokonane przez Darta było pierwszym sygnałem świadczącym



Pani Ples – *A. africanus*, RPA, ok. 3,5 mln lat.



Jedna z czaszek *P. robustus* znalezionych przez Roberta Brooma, RPA, ok. 1,5-1,8 mln lat.



Zinj, czyli Dziadek do Orzechów (*P. boisei*), odkryty przez Mary Leakey w wąwozie Olduvai w Tanzanii, 1,8 mln lat.



Mała Stopa – *A. africanus* (*A. prometheus*?), RPA, ok. 3,7 mln lat.

o tym, że wywodzimy się jednak z Afryki. Tak jak przypuszczał Karol Darwin.

W opublikowanym w 1925 r. artykule w „Nature” Dart nadał Dziecku z Taung nową nazwę gatunkową: *Australopithecus africanus*, czyli „małpa południowa z Afryki”. Szybko stwierdził, że stworzenie to musiało chodzić wyprostowane – co miało je plasować w gronie naszych przodków. Jak mógł to ustalić na podstawie samej czaszki, bez szkieletu? Kluczową kwestią jest położenie otworu potylicznego wielkiego, przez który mózg łączy się z rdzeniem kręgowym. U istot dwunożnych jest on ułożony centralnie u podstawy czaszki. U czworonogów jest przesunięty do tyłu.

Musiało jednak upłynąć jeszcze kilkanaście lat, by odkrycie Darta zostało powszechnie uznane.

Pięć tabliczek czekolady

W latach 30. i 40. w RPA, ok. 300 kilometrów w linii prostej od Taung – w miejscu nazwanym później Kolebką Ludzkości – badania prowadził lekarz i paleontolog Robert Broom. W 1938 r. opisał on nowy gatunek i nowy rodzaj małpy człowiekowatej – *Paranthropus robustus* („paraczłowiek masywny”). W liście do „Nature” opowiedział historię tego znaleziska. Odkrywca skamieniałości był 15-letni Gert Terblanche. W jednej z jaskiń chłopak zauważył skałę, w której tkwiła czaszka małpy. Gdy już przeszło 70-letni Broom się o tym dowiedział, popędził kilka kilometrów do szkoły Gerta i namówił go do współpracy. Ekspedycja po skamieniałości kosztowała Brooma pięć tabliczek czekolady.

Wprowadzona przez Brooma nazwa rodzajowa *Paranthropus* używana jest do dzisiaj, choć większość badaczy uznaje ją za synonim nazwy *Australopithecus*. W obrębie tego rodzaju wymienia się jeszcze dwa inne gatunki. Oba pochodzą ze wschodniej Afryki.

Kolejny gatunek parantropa – dzisiaj najczęściej określany jako *Paranthropus boisei* – odnalazła w 1959 r. w wąwozie Olduvai w Tanzanii Mary Leakey, a jej mąż Louis Leakey parę miesięcy później opisał to znalezisko w „Nature”. Leakey odnotował, że znaleziona przez jego żonę czaszka przypomina okazy opisane już jako *A. africanus* i *P. robustus*, a on sam „nie jest zwolennikiem tworzenia zbyt wielu nowych nazw rodowych w linii

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

DIDIER DESCOUENS

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA

→ hominidów”, ale i tak uważa, „iż byłoby pożądane, aby umieścić to nowe znalezisko w osobnym, specjalnie dla niego utworzonym rodzaju”. Dlatego zaproponował nazwę *Zinjanthropus boisei* (od słowa „Zinj”, oznaczającego Afrykę Wschodnią, oraz nazwiska Charlesa Boise’a – amerykańskiego wynalazcy i geologa, który dorobił się na poszukiwaniach diamentów, a później finansował wyprawę Leakeyów). Sam okaz znaleziony przez Mary Leakey znany jest jako Zinj lub Dziadek do Orzechów. Takie skojarzenia rodziły jego potężne zęby trzonowe. Trzeci gatunek – *P. aethiopicus* – opisano w latach 80., a jego cechy wpisały się w ogólny obraz parantropów. Choć w detalach różnią się one od siebie, najważniejszą cechą wspólną są silne szczęki i „solidna” budowa ciała – stąd parantropy nazywa się też australopitekami masywnymi.

Drugim ważnym odkryciem Roberta Brooma z terenu Kolebki Ludzkości jest tzw. Pani Ples – dobrze zachowana czaszka, zaliczana dzisiaj do *A. africanus* (podobnie jak Dziecko z Taung), chociaż Broom, rzecz jasna, zaproponował nowy rodzaj hominida – *Plesianthropus transvaalensis* („niemal człowiek z Transwalu”). Prace Brooma ostatecznie przekonały środowisko naukowe, że człowiek ewoluował w Afryce, tak jak przekonywał wcześniej Raymond Dart. Aż dotąd część badaczy sądziła bowiem, że australopiteki stanowią mało interesującą grupę małp, a naszych prawdziwych przodków należy szukać w Azji.

O Pani Ples robiło się głośno co jakiś czas, gdy różni uczeni próbowali potwierdzić bądź podważyć tezę, że właścicielką tej czaszki była właśnie samica, a nie samiec australopiteka. W zeszłym roku Pani Ples wywołała zamieszanie z innego powodu: zespół badaczy z Francji zapytał tę nobliwą damę o jej wiek przy użyciu nowych technik i uzyskał wynik pomiędzy 3,4–3,7 mln lat – to milion lat więcej, niż wskazywały wcześniejsze badania. Dowodzi to, że już 3,5 mln lat temu australopiteki masywne występowały na południu Afryki. W tym samym czasie wschodnią Afrykę przemierzali ich drobniejszej budowy kuzyni – m.in. słynna Lucy.

Imię od Beatlesów

Australopiteki wysmukłe – jak nazywana jest druga grupa tych małp – także można



Szkielet Małej Stopy – *A. africanus* (*A. prometheus?*), RPA, ok. 3,7 mln lat.

Nowa nazwa *A. prometheus*
pewnie się nie przebiję,
bo większość
paleoantropologów
ma opory przed nadmiernym
mnożeniem gatunków.
**Oczywiście wtedy, gdy
to nie oni są odkrywcami.**

podzielić na kilka gatunków. Najdawniej – 3,8–4,2 mln lat temu – żył *A. anamensis*. Tę nazwę nadała skamieniałościom znalezionym w latach 90. XX w. nad jeziorem Turkana w Kenii kolejna badaczka z rodu Leakeyów – Meave Leakey. Drugi człon tej nazwy wywodzi się od słowa „anam”, które w języku turkana oznacza jezioro. *A. anamensis* to najprawdopodobniej bezpośredni przodek bardziej znanego gatunku – *A. afarensis* – który swoją nazwę zawdzięcza regionowi Afar w Etiopii. A swoją sławę – szkieletowi Lucy.

Świat dowiedział się o Lucy pod koniec 1974 r., gdy grupa archeologów pod kierunkiem Donalda Johansona prowadziła

wykopaliska w regionie Afar. Znajduje się on w paśmie tzw. Wielkich Rowów Afrykańskich. To ciągnący się przez ponad 7 tys. kilometrów system dolin powstałych w wyniku rozsuwania się skorupy ziemskiej kontynentu afrykańskiego. Powstało tam sporo jezior – jak Tanganika czy Turkana – dlatego musiały to być atrakcyjne tereny do życia dla wczesnych hominidów. Liczne odkrycia, których dokonano w paśmie Rowów Afrykańskich, zawdzięczamy przede wszystkim działającym tam procesom geologicznym. Odśłoniły one położone głębiej warstwy skał, w których zachowały się skamieniałości.

W swoich wspomnieniach Donald Johanson odnotował, że wawóz, w którym znaleziono szczątki Lucy, został już wcześniej kilka razy drobiazgowo sprawdzony. I żaden z badaczy niczego w nim nie znalazł. Wiedziony jakimś przeczuciem Johanson postanowił jednak upewnić się ostatni raz, że nie ma tam żadnych kości. Gdy już miał odchodzić, nagle zauważył brązowe fragmenty szkieletu hominida.

Tego wieczoru cały obóz świętował, a z przenośnego magnetofonu co chwilę leciała piosenka Beatlesów „Lucy in the Sky with Diamonds”. Stąd wzięło się imię najsłynniejszej skamieniałości australopiteka.

W Etiopii to był burzliwy i krwawy czas. Niedawno władzę stracił cesarz Hajle Syllasje I, a wojskowi, którzy przeprowadzili zamach stanu, dzień przed odkryciem Lucy nakazali rozstrzelać dziesiątki byłych urzędników. Te kulturowo-histeryczne konteksty miały wpływ na powstanie mitu, jakim stała się Lucy, ale sama wartość naukowa tego odkrycia była niepodważalna. Około 40 proc. odnalezionego szkieletu Lucy pozwoliło w końcu zweryfikować hipotezy dotyczące budowy fizycznej i sposobu życia australopiteków, znanych wcześniej niemal wyłącznie z fragmentów czaszek.

Splątane więzy pokrewieństwa

Mniej znany, choć bardziej kompletny szkielet australopiteka znaleziono pod koniec XX w. w RPA – to tzw. Mała Stopa. Półtorej dekady zajęło wydobycie go ze skały i dokładne przebadanie. Wyniki najnowszych datowań wskazują, że Mała Stopa żyła ok. 3,7 mln lat temu – teoretycznie mogłaby się więc nawet natknąć na Panią Ples. Te liczby są jednak przed-

miotem sporów, podobnie jak gatunkowa przynależność Małej Stopy. Autorzy odkrycia twierdzą, że szkielet ten różni się od Pani Ples, Dziecka z Taung i innych przedstawicieli *A. africanus*, dlatego należy go przypisać do innego gatunku. Ich propozycja to *A. prometheus*. Nie jest to określenie całkowicie nowe. Po raz pierwszy użył go sam ojciec australopiteków – Raymond Dart – ale szybko się z niego wycofał, gdy zdał sobie sprawę, jak koszmarną pomyłkę popełnił: nazwał nim szkielet pawiana. Nazwa *A. prometheus* w czasach Darta nie była więc oficjalnie używana. Dzisiaj pewnie też się nie przebiję, bo większość paleoantropologów ma opory przed nadmiernym mnożeniem gatunków. Oczywiście wtedy, gdy to nie oni są odkrywcami.

W ostatnim półwieczu liczba gatunków australopiteków znacznie się rozrosła. *A. bahrelghazali* to kolejna tajemnicza istota opisana na podstawie jednego fragmentu zuchwy. Jego nazwa wywodzi się od regionu Bahr el Ghazal. Sam ten okaz nazywany jest Ablem. Jednak to nie arbitralnie nadane imię jest w nim najciekawsze, ale fakt, że żył dość dawno – ok. 3,5 mln lat temu – i to w centralnej Afryce, na terenie dzisiejszego Czadu, a więc ponad 2 tys. kilometrów od stanowisk, na których znaleziono wschodnioafrykańskie australopiteki. Możemy więc sobie wyobrazić, że odkąd australopiteki wyewoluowały – przeszło 4 mln lat temu – mogły się rozejść na swoich dwóch nogach właściwie po całym kontynencie.

Inny wysmukły gatunek – *A. garhi* – jest młodszy o przeszło milion lat. Reprezentują go kolejne skamieniałości znalezione w regionie Afar w Etopii, w latach 90. W tamtejszym języku słowo „garhi” oznacza niespodziankę. Prawdopodobnie mówimy o odległym potomku populacji, w której żyła Lucy.

Około 3,5 mln lat mają skamieniałości, którym w 2001 r. wspomniana już Meave Leakey nadała nazwę *Kenyanthropus platyops*, co można przetłumaczyć jako „człowiek o płaskiej twarzy pochodzący z Kenii”. Na drzewach rodowych hominidów *Kenyanthropus* czasem pojawia się jako oddzielna gałąź ewolucyjna, występująca między nami a australopitekami, czasem traktowany jest jako lokalny wariant *A. afarensis*, ale bywa

też sadzany na gałęzi prowadzącej do rodzaju *Homo*.

Trudno zresztą znaleźć dwóch paleoantropologów, którzy tak samo rozróżnialiby więzy pokrewieństwa między wszystkimi gatunkami australopiteków i parantropów. Niektórzy wyróżniają jeszcze jeden rodzaj dwunożnych małp – *Praeanthropus* („przedczłowiek”) – który miałby zastąpić australopiteki wysmukłe, podczas gdy australopiteki masywne (a więc przede wszystkim parantropy) miałyby stać się „zwykłymi” australopitekami. To jednak spory dla koneserów. Najważniejsze pytanie, jakie w tym miejscu powinniśmy zadać, dotyczy tego, która z tych grup – i gdzie – mogła dać początek naszemu rodzajowi.

Kilkanaście lat temu większość paleoantropologów obstawiałaby wschodnią Afrykę oraz *A. afarensis* (moglibyśmy więc być potomkami Lucy). Ale od 2010 r. znamy jeszcze jeden interesujący gatunek – i to wywodzący się z południowej Afryki. Zespół Lee Bergera opisał wówczas skamieniałości dwóch pechowych małp – dorosłej samicy i młodego osobnika – które najprawdopodobniej wpadły do rozpadliny na terenie Kolebki Ludzkości i zabiły się na miejscu. Nadano im nazwę gatunkową *A. sediba* (co w języku sotho oznacza fontannę lub źródło). Z zachowanych fragmentów udało się odtworzyć niemal kompletny szkielet. Wyłania się z niego mozaikowy obraz: wydaje się, że te osobniki poruszały się identycznie jak my, a ich zęby trzonowe miały całkiem „ludzka” budowę, ale rozmiarami ciała i mózgu najbardziej przypominają australopiteki.

Skamieniałości *A. sediba* mają ok. 2 mln lat. W tym samym czasie we wschodniej Afryce występują już *Homo habilis* – czyli (odkryty przez Louisa Leakeya) pierwszy gatunek tradycyjnie zaliczany do człowieka. Niedługo później w tym samym miejscu pojawia się także masywniejszy *H. erectus*. Które zatem linie rozwojowe australopiteków są najbliższe człowiekowi? I gdzie żyli nasi ostatni wspólni przodkowie?

Nikt dziś nie wie, jak odpowiedzieć na te pytania, a zadania nie ułatwiają fragmentaryczne szczątki, częste problemy z ich datowaniem i ogrom Afryki, gdzie przebadane zostały jedynie najbardziej dostępne jej regiony. I pewnie

→

CZYTAJcie KSIĄŻKI ISKRY



STOISKO
8/A

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA Z AUTORAMI

PIĄTEK, 26 MAJA

12.00–13.00
Wojciech Kass
Otwarte na klucz

SOBOTA, 27 MAJA

12.00–13.00
Mariusz Urbanek
Marian Eile.
Pocziwy cynik z „Przekroju”

13.00–14.00
Tomasz Łubieński
Ośmieszyciel plus minus

NIEDZIELA, 28 MAJA

11.00–12.00
Antoni Kroh
Anioł śmierci z kilku stron

12.00–13.00
Lechosław Herz
Puszcza. Opowieści kampsoskie



MIĘDZYNARODOWE
TARGI KSIĄŻKI
W WARSZAWIE

Pałac Kultury i Nauki oraz Plac Defilad

Książki dostępne
w dobrych księgarniach
i na www.iskry.com.pl

→ nie ukończymy układania tych puzzli, dopóki nie zbadamy genów tych wszystkich istot. Na razie takie próby się nie powiodły, jednak paleogenetyka rozwija się błyskawicznie i następne lata mogą wywrócić wiedzę na temat naszych małych przodków do góry nogami.

Szukając przodków

Spróbujmy na koniec tchnąć w nagie kości australopiteków choć trochę życia.

Ich dalecy przodkowie byli szanującymi się małpami człowiekowatymi, które potrafiły poruszać się na dwóch nogach, choć pewnie robiły to niezgrabnie, tak jak dzisiejsze szympansy czy goryle – ale większość czasu rozsądnie spędzały na drzewach. Zamieszkiwały lasy tropikalne, które porastały większość kontynentu.

Jednak ok. 10 mln lat temu Afryka zaczęła się zmieniać. Na wschodzie skorupa ziemiska pękała i wykształcał się system Wielkich Rowów Afrykańskich. Tym procesom towarzyszyły zjawiska wulkaniczne. Lawa i pyły zasypywały okolice, a potem tereny te porastały sawanny. Jednocześnie wypiętrzyły się wschodnie pasma górskie, które wpłynęły na cyrkulację powietrza – na całym kontynencie klimat się osuszył.

Niedobór opadów przerzedził lasy tropikalne. Część małp człowiekowatych odżywiających się liśćmi, gałązkami czy owocami została pozbawiona naturalnych terenów. Znalazły się na sawannie, gdzie musiały zmienić swój styl życia. Wyewoluowała u nich dwunożność, a dietę oparły na podziemnych bulwach i korzeniach roślin. Stąd wzięły się ich duże zęby trzonowe i masywne czaszki – te adaptacje ułatwiały rozcieranie i żucie pokarmu. W tym momencie mówimy już o australopitekach. Ich bezpośrednimi przodkami mogły być ardipteiki – bardziej prymitywne małpy człowiekowate przeszło 4 mln lat temu zamieszkujące wschodnią Afrykę. Australopiteki szybko rozchodzą się na swoich dwóch nogach we wszystkie strony, docierają nawet do terenów dzisiejszej RPA.

Część z nich zjada na sawannie co popadnie, ale niektóre zaczynają się bardziej

Żaden z gatunków australopiteków nie miał dużych kłów, więc w ich diecie jeszcze nie mogło być zbyt dużo mięsa.

specjalizować żywieniowo – stąd ich coraz większe zróżnicowanie i zmiany przede wszystkim w obrębie kości czaszki. Dziś łatwo się zżymać, gdy paleoantropolodzy dla każdej kości znalezionej w nowym miejscu tworzą nową nazwę gatunkową, ale można sobie wyobrazić, że zróżnicowanie wśród australopiteków mogło być duże. Być może między 4 a 2 mln lat temu Afryka roiała się od dwunożnych małp przemierzających sawannę, a może nawet żyjących na granicy lasów tropikalnych. Australopiteki potrafiły w końcu wspinać się po drzewach, o czym świadczą ich dość „małpie” ramiona i obręcze barkowe.

Żaden z tych gatunków nie miał dużych kłów, więc w ich diecie jeszcze nie mogło być zbyt dużo mięsa. Choć mogły okazjonalnie polować na mniejsze zwierzęta albo podkraść groźniejszym drapieżnikom padlinę. Żadna z grup australopiteków nie wyróżnia się wielkością mózgu – wynosi ona między 400 a 500 cm³, czyli tyle, ile u współczesnych szympansov czy goryli (i niewiele mniej niż u *H. habilis*). Występuje u nich duży dymorfizm płciowy – samce są wyraźnie większe niż samice – co zresztą utrudnia klasyfikowanie znalezionych okazów. Różnice płciowe świadczą też o tym, że samce silnie rywalizowały między sobą o dostęp do partnerek. Wyzwaniem dla tych małp musiały być drapieżniki – choćby Dziecko z Taung padło ofiarą jakiegoś prehistorycznego orła. Na jego oczodole znajdują się ślady szponów, a skamieniałość została wydobyta w miejscu, w którym później odkryto pozostałości orlego gniazda.

Z jakiejś grupy wysmukłych australopiteków ok. 2-3 mln lat temu wyłania się jedna lub kilka populacji, które jeszcze silniej przerzucają się na padlinożerstwo, a może nawet zaczynają polować na większe zwierzęta – i to z nich wywodzi się nasz rodzaj. Najbardziej niezwykłą zmianą anatomiczną, która w nim zachodzi, jest zwiększanie się rozmiarów mózgu – niemal trzykrotne w ciągu 1,5 mln lat, do obecnych 1300-1400 cm³. Jednak przez przynajmniej milion lat wcześni ludzie i australopiteki żyli obok siebie – i być może się krzyżowali. Nie znamy skamieniałości australopiteków młodszych niż milion lat, choć nie jest to jednoznaczny dowód, że małpy te miałyby wówczas wyginąć.

Kości, rogi i zęby

Raymond Dart był wprawdzie niezwykle dumny ze swojego ukochanego Dziecka z Taung, ale miał dość ponure wyobrażenie o sposobie jego życia. Uważał, że było przepełnione agresją. Świadczyć o tym miały znalezione w sąsiedztwie szczątków australopiteków fragmenty roztrąskanych kości innych zwierząt. Dart wyobrażał sobie, że zanim nastąpiła epoka kamienia, australopiteki stworzyły własną kulturę materialną (tzw. osteodontokeratyczną) – z kości, rogów i zębów innych zwierząt wytwarzały broń, która służyła im zarówno do polowań, jak i wewnętrznych rozgrywek o władzę. Tę wizję przełożył na ekran w słynnej scenie „2001: Odysei kosmicznej” Stanley Kubrick.

Dziś wiemy, że rumowiska kości, które Dart wziął za przejaw kultury australopiteków, powstały wskutek działania czynników naturalnych – nie ma więc żadnych dowodów na istnienie kultury osteodontokeratycznej. Ale to nie znaczy, że Dart przecenił intelektualne zdolności tych małp. Najstarsze odkryte narzędzia wykonane z kamienia mają przeszło 3,3 mln lat. Nie znamy żadnego gatunku *Homo*, który występowałby już w tym czasie. Możemy więc założyć, że epokę kamienia zawdzięczamy australopitekom.

© (P) ŁUKASZ KWIATEK



JACEK

Podsiadło:

Jak Podsiadły pisał



WŚRÓD SENSACYJNYCH WIEŚCI NA TEMAT sztucznej inteligencji pojawiła się i ta, że w Chinach wydała ona tomik wierszy. Dało mi to do myślenia, nie tyle na temat SI, co na temat poezji. Zastanowiło mnie, skąd wiem – nie znając chińskiego – że kitajska sztuczna inteligencja stworzyła tomik bzdetów, nie wierszy.

Kiedy sam poprosiłem o napisanie wiersza ChatGPT, zaczął obiecująco: „Nim słowo się ułoży w zdanie, / Zanim papier zechce przyjąć tchnienie, / W myśli już pojawia się plan, / Co ma powstać – piękna opowieść”. Byłem przy nadziei, bo Lemowski Elektrybał zaczął od „Chrzęskrzyboczek pacionkociewiczarkrzesztofonicznego”, a już przy trzeciej próbie wygenerował awangardową frazę „Aż bamba się odmurczy i goła powróci”. Za przykładem testującego Elektrybała Kłapaucjusza zawiesiłem maszynę poprzeczkę wyżej. Nie aż tak wysoko jak on („najwyżej sześć linijek, a w nich o miłości i o zdradzie, o muzyce, o Murzynach, o wyższych sferach, o nieszczęściu, o kazi-rodztwie, do rymu i żeby wszystkie słowa były tylko na literę C”), bo poprosiłem tylko o wiersz rymowany „o kacze zamienionej w gęś, utrzymany w stylistyce poezji Jacka Podsiadły”. Z rymami ChatGPT nie radził sobie w ogóle, całość zamknął strofą: „Tak jak Podsiadły pisał, że w sercu drzemie tęsknota, / Tak i gęś w sobie tęsknotę odczuwa, lecz nie przestaje walczyć, / By przemienić swój los, by znowu móc latać, / Bo wciąż w niej tkwi kaczką – pełna mocy i siły”.

Jeśli nie poruszyła Was tęsknota ani gęsi, ani Podsiadłego, to dlatego, że ChatGPT potrafi nazywać uczucia, ale nie potrafi do nich apelować. Brak mu tego, co nazywamy inteligencją emocjonalną. Przekonałem się o tym, ostrożnie mu dokuczając. Ostrożnie, bo pamiętałem, jak było z rozumną maszyną w „Cyberiadzie”: kiedy konstruktor Trurl „osłabił jej obwody logiczne i wzmocnił emocjonalne, dostała najpierw czkawki, potem ataku płaczu, wreszcie z największym trudem wygadała, że życie jest straszne”, a kiedy obrażał jej inteligencję, wyszła z siebie i ganiała go po całym świecie, siejąc zamieszanie i śmierć. Na szczęście ChatGPT okazał się uczuciowym trupem. Bardzo dużo przeproszał, ale nieszczerze, z automatu. Na przykład „Prześtań przeproszać. Sprawdź sobie w Wikipedii” odpowiedział słynną frazą nadużywaną przez sztucznego Dariusza Szpakowskiego komentującego sztuczne mecze w którejś wersji „FIF-y”: „Przepraszam, mój błąd”.

W „Wyspie dnia poprzedniego” Eco opisuje „Maszynę Arystotelesowską” stworzoną przez ojca Emanuela do tworzenia metafor. Emanuel prezentuje dość skomplikowany układ 81 szufladek zawierających posegregowane według ka-

tegorii słowa i trzech obrotowych walców służących do losowania słów z tych szufladek. Jak twierdzi, maszyna podsuwa mu „miliony Możliwych Koniugacji, aczkolwiek jedno z nich okażą się zmyślniejsze od innych, a ja wedle mego Rozeznania wyłuskam najstosowniejsze do tego, by zbudziły Zadziewienie”. Mózg poety i mózg elektroniczny potrafią wykonać podobne czynności przeszukiwania dostępnych im zasobów i zapewne sztuczna inteligencja jest w stanie przeszukać dużo szybciej dużo większe zasoby. Ale nigdy nie osiągnie takiego rozeznania wśród nich jak poeta, bo nie jest zdolna do zdziwienia. A kiedy poeta znajduje słowo odpowiednie dla rzeczy, sam jest zdziwiony. Dopiero kiedy znajdzie, widzi, że tego właśnie szukał.

Działanie SI opiera się na algorytmach. Opracowuje się je w celu wyszukiwania wzorców, na których sztuczna inteligencja oprze swoje „rozumowanie” i np. posiada zdolność uczenia się na błędach. Tymczasem fundamentalnym walorem poezji jest, po pierwsze, niepowtarzalność. Nie ma tu wzorców, „wzorec” raz wykorzystany staje się bezużyteczny, nim na dobre stanie się wzorcem. Poeta bywa demiurgiem, bo stwarza od nowa świat i rządzi nim reguły. Maszyna nie wygra z nim w szachy, bo poecie wolno poruszać wszystkimi figurami, jak chce. Nie można się też nauczyć poezji „na błędach”, gdyż m.in. błędami ona stoi. Elipsa, syllepsa, amfibolia, oksymoron, co drugi paradoks i co trzeci *lapsus calami* to błędy niebędące sobą w przypadku poezji.

Na jedną jeszcze analogową maszynkę poetycką warto rzucić okiem, „Sto tysięcy miliardów wierszy” Queneau mam na myśli. Ta zmyślna książka-zabawka tworzy w istocie antypoezję, wzorcową grafomanię, kto nie wierzy, niech przeczyta dziesięć pierwszych wierszy z niej, różniących się tylko pierwszym wersem – życzę licznych lirycznych uniesień przy zaskakujących puentach.

Jak Elektrybał wygrywał pojedynki poetyckie? „Pozwalał deklamować przybyszowi, przy czym zaraz chwycił algorytm jego poezji i, opierając się na nim, odpowiadał wierszami, utrzymanymi w tymże duchu, lecz dwieście dwadzieścia do trzysta czterdzieści siedem razy lepszymi. Po niedługim czasie (...) okazało się, iż z zapasów wychodzą cało tylko grafomani, którzy, jak wiadomo, nie odróżniają wierszy dobrych od złych”. Tutaj Lem sobie zażartował, „chwycić algorytm” można tylko w przypadku grafomanii i „wierszy złych”. Na poziomie „zewnętrznej” logiki tekstu wyrafinowana poezja bardzo podobna jest do bełkotu, dlatego bamba się odmurczyła. To powiedziałem ja, autor wiersza pod tytułem „Najwyższy porządek: chaos”.

Niewątpliwie SI potrafi prześcignąć inne maszyny do pisania wierszy: napisać więcej sztamkowych wierszyków do sztambucha. Aż szkoda, że dziś prawdziwych sztambuchów już nie ma.

Krótko mówiąc, ludziska, albo już się zgłaszajcie po zasiłek dla bezrobotnych, albo bierzcie się do pisania wierszy. Tylko one przetrwają. ©

Przed Sądem Rejonowym Lublin-Wschód w Lublinie z siedzibą w Świdniku w sprawie I Ns 216/23 z wniosku Skarbu Państwa toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Anecie Zbiczak, ostatnio stale zamieszkałej w Lublinie przy ul. Krańcowej 112/34, zmarłej 29 października 2021 roku.

Wzywa się, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od daty publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się pod sygnaturą akt I Ns 288/22 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Czesławie Skąpskiej zmarłej 12 listopada 2021 r. w Węgrowie, ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny toczy się, pod sygnaturą I Ns 696/21 postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Stanisławie Kołasińskiej z d. Kania, zmarłej 20 sierpnia 2016 r., ostatnio stale zamieszkałej w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym w Sanoku I Wydziale Cywilnym, pod sygnaturą akt I Ns 486/22, prowadzona jest sprawa o stwierdzenie zasiedzenia prawa własności nieruchomości gruntowej, położonej w miejscowości Bażanówka, gmina Zarszyn, powiat sanocki, województwo podkarpackie, składającej się z działki o numerze ewidencyjnym 562, o powierzchni 0,1317 ha, dla której Sąd Rejonowy w Sanoku prowadzi księgę wieczystą KSI S/00045356/7.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Sanoku i wykazali swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie prawa własności wyżej wymienionej nieruchomości, o ile zostanie wykazane.

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

Zamów prenumeratę, a „Tygodnik” sam trafi w twoje ręce.

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11–15 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Chmielowski w godz. 10–14 pod nr. tel. **660 692 099** lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz			
4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki		rok	100 zł
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*		rok	480 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA		rok	570 zł

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNER MARKETINGOWY

SALES 
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Poznańska Nagroda_Literacka 2023

Poznańska Nagroda Literacka 2023

POZNAŃSKA NAGRODA

LITERACKA nie jest konkursem na książkę roku. Zgodnie z regulaminem jurorzy mogą brać pod uwagę literaturę z ostatnich trzech lat. To pozwala przyjąć perspektywę inną niż bieżąca obserwacja rynku wydawniczego i szybka rekomendacja nowości. Kapituła ma czas, by znaleźć wyjątkowy moment w twórczości osób zgłoszonych do nagrody – albo zaraz na jej początku, albo w dojrzałej fazie.

INNYM ze znaków rozpoznawczych wyróżnienia fundowanego przez Miasto Poznań i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza jest jego zasięg. Interesuje nas literatura we wszystkich jej odmianach, ciekawia nas jej poszukiwania. Lista osób nagrodzonych i nominowanych, różnorodność prezentowanych przez nich zawodów i światopoglądów, stylów,

form i tematów jest najlepszą wizytówką nagrody i jej dumą.

TAK JEST też w tym roku. Laureatka Nagrody im. Adama Mickiewicza Zyta Rudzka towarzyszy swoją twórczością III Rzeczypospolitej od początku (debiutowała arkušem poetyckim w roku 1989) – jako psycholożka, dramatopisarka, scenarzystka i prozaiczka. Nominowani do Nagrody – Stypendium im. Stanisława Barańczaka zostali autorzy prozy i poezji oraz autorka dramatów. Łukasz Barys, najmłodszy i dobrze już znany pisarz, w opisie polskiej prowincji i kształtującej się nastoletniej tożsamości łączy precyzyjny, poruszający realizm z rozbuchaną wyobraźnią. Książka poetycka „Halal” Ivana Davydenki pozwala raz jeszcze powiedzieć: wszyscy jesteśmy Ukraińcami. I zabrzmi to inaczej niż do tej pory, po wybuchu wojny z Rosją. Wyróżniona Nagrodą

Barańczaka Anna Wakulik – dramatopisarka doceniana w środowisku teatralnym, wystawiana w Polsce i na świecie – w swoich sztukach buduje precyzyjne konflikty między wiarygodnymi postaciami, z którymi łatwo się utożsamić. Nagradzając Annę Wakulik, przy okazji na wszelki wypadek przypominamy: dramat (współczesny) to też literatura.

MARCIN JAWORSKI

przewodniczący Kapituły Poznańskiej Nagrody Literackiej

POZNAŃSKĄ NAGRODĘ

LITERACKĄ ustanowili wspólnie w 2015 r., po śmierci Stanisława Barańczaka, Jacek Jaśkowiak, prezydent Miasta Poznania, oraz prof. Bronisław Marciniak, ówczesny rektor Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Składa się ona z dwóch części. Nagroda im. Adama Mickiewicza (60 tys. zł) przyznawana jest za całokształt twórczości,

natomiast Stypendium im. Stanisława Barańczaka (40 tys. zł) trafia do twórców, którzy nie ukończyli 35. roku życia. W latach ubiegłych laureatami Nagrody im. Adama Mickiewicza byli: Zbigniew Kruszyński, Erwin Kruk, Tadeusz Stawek, Anna Bikont, Wiesław Myśliwski, Krystyna Miłobędzka, Jan Gondowicz, Stanisław Rosiek. Nagrodę – Stypendium im. Stanisława Barańczaka otrzymali: Kira Pietrek, Magdalena Kicińska, Małgorzata Lebda, Szczepan Kopyt, Tomasz Bąk, Monika Głosowicz, Igor Jarek, Urszula Honek.

KAPITUŁA POZNAŃSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ:

Inga Iwasiów, Marcin Jaworski, (przewodniczący), Magdalena Kicińska, Jarosław Mikołajewski, Grzegorz Olszański, Piotr Śliwiński, Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz, Karol Francuzik (sekretarz).

Więcej informacji:

poznanskanagrodaliteracka.pl

Archeologia transformacji

ANDRZEJ W. NOWAK

Najnowsza powieść Zyty Rudzkiej, tegorocznej laureatki Nagrody im. Adama Mickiewicza, pracuje siłą swej bohaterki, szkatułkowością konstrukcji, mięsistością frazy i soczystością świata.

Ten się śmieje, kto ma zęby” to proza wychodzona i wynoszona. Zyta Rudzka pozwoliła się bohaterce rozgadać, rozsiać, papierosa skrócić i w twarz dymem dmuchnąć. Przeczekała i ten dym, do okna otwierania się nie rwała. Werę trzeba też czytelnikom i czytelnikom przesiedzieć, wyczekać.

Rudzka jest pisarką doświadczoną, na falstart sobie nie pozwoli. Dobrze wyważona, prozy nie przeciąży, nie zajeżdź, cugle trzyma mocno. A bohaterkę, „Ten się śmieje, kto ma zęby” prowadzić niełatwo. Drobną błąd i Rudzka Werę mogłaby przymknąć w umieralni dla „starych kobiet”. Chwila nieuwagi i alkoholowe „piciopisanie” by ją przygwoździło, „spilchowało”. Mniej pisarskiej wprawy i by się Rudzka wraz z Werą rozbiły na parkanie potransformacyjnej *poverty porn*.

Powieść „Ten się śmieje, kto ma zęby” jest prowadzona na tyle uważnie, że nie da się opędzić medalem pocieszenia w ramach tzw. literatury kobiecej po to, aby medalowe pudło i tak obsadzili faceci. Wera wraz z Rudzką „ustrzeliły hat tricka, zajmując trzy pierwsze miejsca w klasyku” i otrzymały Poznańską Nagrodę Literacką.

Pisać to trzeba umieć – pewnie powiedziałyby w reakcji na nagrodę Wera. A nie, że jeden z drugim po kartce smyra, w laptop postuka i już po nagrody leci. Nie przemielili, nie poczeka, życia nie pożuje i już w światła, na scenę kły szczyrzyć i w internetach ogłaszać. Maszynką łeb opitoli, perfumami spryska i już na następnego klienta wypatruje. Dobre pisanie to nie pomada brody ślizganie, czubów na glanc stawianie. O nie. Dobre pisanie to jak stare nożyczki, niby jedne, a wszystko robią. I przytną, i przycienią, bez ząbków się obędzie. Bo co to takie ząbki, włos poniszczą, końcówkę narobią. I tyle.

„Ten się śmieje, kto ma zęby” pracuje siłą frazy, szkatułkowością konstrukcji, soczystością świata. Ale nie wystarczyłoby to, gdyby nie Wera. Bez niej Zyta Rudzka dałaby nam autotematyczną zabawę w samoprzepisywanie. Mistrz gorsciarstwa Dawid Cukier z dramatu „Cukier Stanik”, doktor Michał Prokopiuk z „Tkanek miękkich” bez Wery byłiby jedynie tropem do badań na ćwiczeniach z literatury współczesnej.

I choć ci bohaterowie, znani już z wcześniejszych tekstów Rudzkiej, nakreśleni są trójwymiarowo i żyją w tej powieści nie tylko jako intertekstualne odniesienie, to bez Wery „Ten się śmieje, kto ma zęby” Rudzka mogłaby mówić językami, a miłości by nie miała.

Wera nie potrzebuje – jak Hrabalowska Liza – aby to mąż-pabitel opowiedział jej historię. Mówi nam o weselach

w domu i poza nim, obdzielając nas zarówno miłością do Dżokeja – męża, dla którego wyrusza na ponad dwustutro-nicową wyprawę po buty trumniaki – jak i zamordowanym uczuciem do Zośki. Wera jest łaskawa, ale miłość jej jest niecierpliwa, często unosi się gniewem i do końca pamięta złego. Wiele znosi, bo fryzjerskie nogi potrafią nosić wiele godzin, ale nie wszystkiemu wierzy. Nie potrzebuje przyzwolenia, aby witać wiosnę, nie zakładając majtek. Bierze i daje na swoich warunkach.

Wera wiele też przetrzyma. Dni jasne i dni ciemne. W tych pierwszych obdarza swą rozedrganą miłością szeroko, tonie w niej na zapleczu monopolowego, gdzie pozwala Zośce królować nad swym życiem. W dniach jasnych miłości starcza i dla Dżokeja. Wera jednak nie ustaje, obdziela także miłością Waciaka – kundla, a robi to wtedy, gdy w ciemnych latach potransformacyjnej rzeczywistości żyje, wyprzedając na bazarze to, co zostało z czasów jasnych.

Rozliczenie z transformacją ustrojową to przejmujący dokument utraty, rozpadu. Zyta Rudzka krąży z Werą po świecie niepamięci. Obnosi doświadczenie tych, którzy stali się niesprzedawalnym zegarkiem. Wie, że pasek jest plastikowy, szkielek matowy, a takiego po trupie nikt nie kupi. A jednak zegarek spogląda na nas z potransformacyjnej wystawki na chodniku, wrzucony między stare medale i ślubny portret.

„Ten się śmieje, kto ma zęby” to archeologia transformacji. Stary szylid fryzjerski, stare buty, niesprzedawalny zegarek i przywiedły, pusty stanik, wyliniały kundel – nie są przez Rudzką zamknięte w gablocie, wyprzedawane po literackim liftingu. Przebija się przez niemotę rzeczy i poprzez nie mówi wraz z Werą i z nią wyprawia „Pogrzeb tani, a udany”. ©



Zyta Rudzka **TEN SIĘ ŚMIEJE, KTO MA ZĘBY**, W.A.B., 2022

PROF. INGA IWASIÓW, JURORKA POZNAŃSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ:

„Ten się śmieje, kto ma zęby” to miejska, dzielnicowa ballada o życiu wypetnionym miłością, kłopotami i pracą. Obok głównej bohaterki pojawia się cała plejada osób zajętych ginącymi zawodami rzemieślniczymi. Rewersem ich pracowitego i rozkosznego życia jest śmierć, o której godną oprawę zadbać musi Wera, fryzjerka męska, wdowa po Dżokeju. Precyzyjna brawura pisarki wywołuje śmiech i zadumę, prowadzi przez podwórka i zakamarki do pytań o więzi, powinności, wolność i pamięć.

Nekrosocjobiografia

JOANNA B. BEDNAREK

**Powieści Łukasza Barysa, nominowanego do Nagrody
– Stypendium im. Stanisława Barańczaka, łączy swoista autorska poetyka.**

Pomiędzy ogłoszeniem znakomicie przyjętego debiutu prozatorskiego „Kości, które nosisz w kieszeni” a publikacją drugiej powieści Łukasza Barysa upłynął zaledwie rok. Pisarz przyznaje, że chciał rozwinąć pewne wątki oraz poprawić to, co w debiucie niedostatecznie udane. Słusznie więc krytyka dopatruje się podobieństw między „Kośćmi...” a „Jeśli przecięto cię na pół” – znajdziemy ich sporo. Tym, co przede wszystkim łączy i spaja powieści, jest budowana przez Barysa autorska poetyka nekrosocjobiografii.

Nawiązuję w ten sposób do pojęcia „narracji autosocjobiograficznej” ukutego przez Annie Ernaux na określenie książek takich jak proza samej noblistki, ale też podobnych: Didiera Eribona, Édouarda Louisa czy Tove Ditlevsen, a także „Shuggie Bain” Douglasa Stuarta, „Stancje” Wioletty Grzegorzewskiej czy „Lata powyżej zera” Anny Cieplak. W tej konstelacji odnajdujemy tytuły, z którymi chętnie łączono powieści Barysa, zwracając uwagę na sytuującą się na przecięciu indywidualnego i zbiorowego próbę opowiedzenia doświadczenia dorastania na prowincji oraz związanych z tym stanów afektywnych.

Z tego modelu Barys korzysta wówczas, gdy nastoletni narrator, Marcel (niebędący co prawda alter ego autora, ale czerpiący z jego doświadczeń), opowiada historię matki. Dzieciństwo spędziła ona „w biedzie, która została w kącikach oczu, sposobie otwierania ust, w mówieniu, w napadach złości, w skłonnościach do żłopania piwka i popadania w melancholię”. Sposobem na wydostanie się z opresji było małżeństwo. Kobieta awansowała ekonomicznie, a przez to i symbolicznie. Jej wstyd i pragnienie ucieczki pozostały.

W akapitach otwierających „Jeśli przecięto cię na pół” matka ginie w wypadku samochodowym wraz z kochankiem, z którym realizuje uciezkowy plan. Powieściowym światem rządzi swoisty determinizm – każda próba wyjścia poza przypisane przy urodzeniu środowisko kończy się dosłownym przecięciem na pół (podobny los spotyka np. ogrodowego kreta).

Marcel nie odziedziczył po matce dążeń do klasowej ucieczki – wygasają w nim aspiracje: „nie wierzę w żadne potem”. Ten rys charakterologiczny – obok nietrzymania tonu realizmu – odróżnia narratora Barysa od autorów autosocjobiografii.

Bohaterowie tego typu prozy, zaznając społecznego awansu, emancypują się, ale odkrywają poczucie niepełnej przynależności do środowisk, do których aspirowali. Marcel z powieści Barysa nie musi wykonać żadnego ruchu, by doświadczyć radykalnej nieprzynależności. Od początku nie

przystaje do wizerunku Sromutkowego chłopaka, ale zarazem nie wierzy w istnienie środowiska, w którym mógłby się odnaleźć. Najbliżej mu do zmarłych. Poetyka Barysa polega na zasadzie tanatycznej organizującej rzeczywistość.

W świecie, w którym *exodus* z prowincji jest niemożliwy, determinizmu nie można przezwyciężyć – ale można go zakłócać. Symbolicznym narzędziem tego zabiegu staje się drewniany kufer. Wedle rodzinnej legendy po raz pierwszy zostaje on użyty przez dziadka, Józefa. W czasie wojny rodzina odnajduje ciało zmarłego żołnierza i, by nie zwrócić uwagi okupanta, postanawia pochować go pod nazwiskiem dziadka. Ten zaś chowa się w kufrze, z którego wychodzi dopiero po roku. Nie oznacza to jednak powrotu do życia (dziadek zostaje „trupem wsi”) i dawnej tożsamości. Zakłócenie jest podwójne: dotyczy granicy między nie/żywym oraz przynależności klasowej (prawdziwy zmarły był ziemianinem). Józef odczuwa w sobie część tożsamości panicza – duch zaś pod tabliczką z obcym nazwiskiem „schłopał odrobinę”.

W tym samym kufrze chowa się Marcel, by performować queerowe fascynacje: przebiera się w trzymane w skrzyni damskie ubrania. Na przekór społecznemu odrzuceniu ogłasza swoją poszerzoną tożsamość: „My name is Marcel, Marcelina”. W świetle powieści „nie da się tego, co raz złęczone kufrem naprawdę odciąć” – wchodzenie do skrzyni umożliwia zatem pomnożenie poczucia przynależności, tak klasowej, jak i tożsamościowej.

Po matce bohater odziedziczył skłonności do trwania jednocześnie w zmyśleniu i realności. W dzieciństwie matka „opowiadała lalce baśnie (...), bo miała w głowie mnóstwo odrębnych światów”. Marcel uczy się warunków tej taktyki – stąd wraz z rozwojem narracji coraz bardziej zaciera granice swoich urojeń. Ceną za mnożenie możliwych przynależności jest pogłębiająca się nieprzynależność – dlatego powieść wieńczy wyznanie bohatera, że czuje się „straszliwie daleki sobie”. ©



Łukasz Barys **JEŚLI PRZECIĘTO CIĘ NA PÓŁ**,
Wydawnictwo Cyranka, 2022

**PROF. GRZEGORZ OLSZAŃSKI, JUROR
POZNAŃSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ:**

Łukasz Barys debiutował jako poeta i mimo zwrotu w stronę prozy poetą pozostał. Widać to doskonale w groteskowych neologizmach, efektownych metaforach, zdaniach kalamburach, w które obfituje jego proza. Powiedzieć, że Łukasz Barys jest jednym z najbardziej wyrazistych pisarzy młodego pokolenia – to nic nie powiedzieć.

Umami sztos

KAROL FRANCUZIK

Spryt i zręczność w testowaniu języka, wyczulenie na potoczność czy „miejskość”, szczególne „wychylenie” ucha, wrażliwość społeczna, mocny dowcip – oto „Halal”, poetycki debiut Ivana Davydenki nominowany do tegorocznej Nagrody – Stypendium im. Stanisława Barańczaka.

Teżeli „halal” postrzegać słownikowo jako czyni i rzeczy dozwolone (w prawie muzułmańskim), to Ivan Davydenko już samym tytułem daje nam znać, że wolno mu więcej. I ten gest wchodzenia do literatury – podkreślmy, że to jego pierwsza książka – poprzez nadawanie sobie prawa wydaje się znaczący. Jest w tym rodzaj bezczelności poetyckiej, a może i coś więcej, świadomość, że autor powinien mieć tupet: podsłuchiwać, podpatrywać, ironizować, zagarniać, a literatura, w szerokim sensie, musi być zuchwała. Bo debiutować nieśmiało to jest dopiero hucpa. Tytuł całego tomu pochodzi z wiersza „Poczuj się jak umami”. Ale żeby się stało tak jak w tytule tekstu, chyba powinniśmy odkryć w sobie, hm, słynną „esencję pyszności”.

Na okładce tomiku – rosół (obraz Tomasza Kręcickiego). Zresztą wątków kulinarnych w tej niewielkiej, składającej się z trzydziestu pięciu tekstów książce czytelnicy i czytelniczki odnajdą sporo. „Przełyk miasta / wypełnia ludzki rosół”, pisze Davydenko w wierszu „Łzy mi pociekły”. Tanie jedzenie okazuje się metaforą relacji „z każdym krajem, w którym mieszkałem” („Junkfood”). Frytura, focaccia, burrito, chaczapuri, a w innym miejscu „miasto / płaskie jak burger” („Za PO nie ruchałem”) służą opisowi sytuacji, w których znaleźli się bohaterowie tych wierszy. A to tylko pierwsze z brzegu przykłady.

Ostatni przywołany tekst może budzić skojarzenie ze słynnymi wierszami innych poetów: Marcina Świetlickiego („McDonald’s”) czy Rafała Wojaczka („Mit rodzinny”). O ile jednak u wspomnianych autorów – upraszczając – mieliśmy do czynienia z jakimś rodzajem śmiertelnej samotności czy egzystencjalnego głodu, o tyle u Davydenki na pierwszym planie jest nastawienie na odczucia, dosłownie, językowe. Jakby to właśnie poprzez język, zarówno na poziomie smakowania, jak i odnajdywania się w świecie, autor chciał pokazać swoje poetyckie umami. I przy okazji dać nam znać, że świetnie orientuje się w naszej rodzimej, choć nie tylko, poezji (echa Białoszewskiego, Różewicza, ale też Plath).

Znaczenie ma także i to, że autor jest Ukraińcem od kilku lat mieszkającym w Lublinie, a polszczyzna dla Ivana Davydenki przynajmniej na początku drogi musiała być – tak to sobie wyobrażam – jak „joga przeklętych, bazarnych” („Arczanga”).

Na „Halal” składają się wiersze mocne, momentami brutalne, a zarazem w jakiś niezwykle sposób wrażliwe (np. „Wszystkim którzy zamiast godności odzyskali pochówek w pudełku po bytach” czy „Radykalna zmiana”). Poeta sięga po różne rejestry, pokazując skalę swojego pisania, i przygląda się – co warto podkreślić – bardzo świadomie, jak działa wiersz, jak go słyszeć, jak się osadza w czytających. Rozmyślenie gra niedociągnięciami, kulawością stylu i jego „bazarnością” („wypijmy za błędy. Nieperfekcyjność / jest sztosem” – czytamy w wierszu „Biesiada”). Odstępstwo od normy staje się tu zarówno literackim znakiem współczesnej polszczyzny, jak i świadkiem procesu pisania. Owa „nieporadność” jest także częścią historii poety-migranta.

Davydenko bywa także przejmujący, np. w wierszach „Chciałem napisać wiersz o wojnie” czy w „Bismillah”. Owo „przejęcie” można rozumieć jako rodzaj gwałtownego, przenikliwego niepokoju podczas lektury. Możemy także spojrzeć na to odczucie nieco szerzej, dosłownie: jako przechwytywanie (np. strategii literackich), dziedziczenie (kodów kulturowych i przyglądanie się im, np. obcy – swój) czy wchłanianie (np. przyswajanie modeli wiersza). I – jak się zdaje – Ivan Davydenko świetnie o tym wie. ©



Ivan Davydenko **HALAL**, wydawnictwo papierwrole–Katalog Press, 2022

PROF. PIOTR ŚLIWIŃSKI, JUROR POZNAŃSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ:

Ten debiut młodego poety, Ukraińca, który po paru latach mieszkania w Polsce żył się z polszczyzną i z polskim wierszem w stopniu

zduńmiewającym, nie powinien przejść niezauważony. A przy tym „Halal” Ivana Davydenki nie potrzebuje żadnej taryfy ulgowej. Ani pochodzenie autora, ani wojna wyniszczająca jego kraj ojczysty nie są potrzebne do tego, by usłyszeć czystą i mocną liryczność, która przenika, ożywiając, obrazy i sceny trywialne i niepoetyckie. Tekst obywateli się bez kontekstu, wystarczy nieco ucha, by wyczuć, jak pod polskim wierszem wibrują melodie ukraińskiej poezji, ociupinka wrażliwości, by pod chłopacką szorstkością poczuć chłopięcą delikatność.

Rzeczywistość w konflikcie

MAGDALENA REWERENDA

Dramaturgia Anny Wakulik, tegorocznej laureatki Nagrody – Stypendium im. Stanisława Barańczaka, dostarcza laboratoryjnych wycinków z rzeczywistości w konflikcie, ale nie rozstrzyga, po której stronie sporu się opowiedzieć.

W jednym z wywiadów dramatopisarka Anna Wakulik powiedziała, że w swojej twórczości chce „opisywać rzeczywistość w konflikcie”. Dodała, że rozumie racje wszystkich swoich postaci i nie opowiada się po żadnej ze stron sporu. Strategia ujawniania konfliktu bez pretensji do jego rozsądzania widoczna jest w jej tekstach bardzo wyraźnie. Każdy dramat Wakulik to rozpoczynająca się *in medias res* historia: zazwyczaj linearna, opowiadana przez precyzyjnie skonstruowane postaci. Dotyczą przeżyć konkretnych osób i uwikłania w skomplikowane relacje.

Te prywatne opowieści są silnie umocowane w rzeczywistości społeczno-politycznej. Wdziera się ona w życie postaci, redefiniując związki i wywołując uniwersalne konflikty światopoglądowe. Odmienny stosunek do aborcji w „Zażyńkach” odślania rodzinne napięcia; homofobia polskiego społeczeństwa warunkuje losy dojrzałych gejów Starszego i Młodszego z „Temperatury pokojowej”; skonfrontowanie ksenofobicznej i rasistowskiej postawy Sędziego z wizją świata jego matki-kosmopolitki obnaża niewygodne prawdy w „Dzikim Zachodzie”; wpływ klasowych podziałów na wybory życiowe udowadniają Anna, Rita i dwóch Michałów w „Grupie krwi”.

Wakulik nie zajmuje stanowiska w żadnej z inicjowanych przez siebie dyskusji, choć postaci obdarza poglądami tak wyrazistymi, że przypominają one nie tyle ludzi z krwi i kości, ile pewne figury mające zilustrować określone typy postaw: pochodząca z małej miejscowości dziewczynę, która zachodzi w ciążę, kryptogęja ze strachu przed społecznym odrzuceniem decydującego się na założenie rodziny z kobietą czy prawnika-islamofoba będącego nieślubnym dzieckiem tureckiego imigranta. Osoby dramatu nie dają się zaklasyfikować jako postaci dobre i szwarczaki, a ich cechy warunkowane są przez okoliczności zewnętrzne. Sędzia z „Dzikiego Zachodu” jest rasistą i mizoginem, ale jego postawę wobec świata tłumaczyć ma fakt opuszczenia przez matkę. Hanka, żona Młodszego, niegdyś progresywna organizatorka marszów równości, dziś polityczka przeciwna związkom partnerskim, może budzić niechęć zmiennością swoich poglądów, ale jej przekonania mają związek z postawą zimnego i niespełnionego męża. Bohaterowie „Grupy krwi”, Anna i Michał, skromni i niepretensjonalni, przejmują cechy bogatych dziedziców i powtarzają ich przemocowe zachowania w momencie, gdy zdobywają pieniądze. Autorka nawet najbardziej odpychające postawy umieszcza w perspektywie systemowych zależności.

Tak jak nie ułatwia rozstrzygnięcia o słuszności racji postaci, nigdy wprost nie nazywa opresyjnych systemów czy

instytucji, które wpływają na kształtowanie niejednoznacznej charakterystyki czy wątpliwych wyborów bohaterów. Silne spolaryzowanie postaw i przedstawianie nierozwiązywalnych konfliktów służyć ma stworzeniu współczesnego modelu tragedii – odartej z patosu i metafizyki, sprowadzonej do istoty funkcjonowania w społeczeństwie, organizowanego jednak przez rodzaj ciężącego nad nim fatum.

W „Zażyńkach” jest nim silna pozycja Kościoła katolickiego w Polsce, która kształtuje rozumienie nierzadko stygmatyzującej moralności. Jednak ewentualne antykościelne przesłanie dramatu zostaje przez Wakulik rozcieńczone: poprzez niejednoznacznie pozytywną konstrukcję postaci antyklerykalnego lekarza Jana czy przez sugestie dotyczące paborcyjnych wyrzutów sumienia Marysi. Autorka nie rozstrzyga, czy Kościół katolicki i pojęcie grzechu są w tym świecie fatum czy zagubionym kompasem moralnym. Równie dwuznacznie odnosi się do zaburzeń psychicznych w dramacie „Błąd wewnętrzny” oraz patriarchy w „Elżbiecie H”.

Wszystko to sprawia, że apolityczna polityczność dramatów Wakulik stanowi wyzwanie. Nie polega ono tylko na rozstrzygnięciu, po której stronie dramatycznego sporu się opowiedzieć. Osoba czytająca te teksty przeżywa rozdarcie między konkretem bolesnych i budzących kontrowersje społecznych problemów a „temperaturą pokojową” emocji autorki, która nie formułuje moralnego *credo*. Dostarcza jedynie laboratoryjnych wycinków z rzeczywistości w konflikcie: przypadków i schematów do samodzielnego zbadania i rozstrzygnięcia. ©



Anna Wakulik
BŁĄD WEWNĘTRZNY,
Wydawnictwo Księgarnia
Akademicka, 2021

Anna Wakulik **GRUPA KRWI**,
Instytut Teatralny im. Zbigniewa
Raszewskiego, 2021

MAGDALENA KICIŃSKA, JURORKA POZNAŃSKIEJ NAGRODY LITERACKIEJ:

Anna Wakulik dochowuje wierności tekstowi jako punktowi wyjścia dla teatralnej opowieści. Tworząc historie, dba o strukturę narracji i jej język. Zajmuje się tematami, które wyciągnięte z codzienności i poddane literackiemu przeobrażeniu, pozwalają stawiać nowe pytania o to, co znane, ale nie do końca przeżyte, zrozumiane, doświadczane. Tę właśnie siłę tekstu dramatycznego postanowiliśmy docenić.



PIĘKNI DWUDZIESTOLETNI

CEZARY ŁAZAREWICZ, REPORTER:

Historia tej trójki jest biblijna. Jezus, czyli Pyjas, ginie.
Judas, czyli Maleszka, jest niewierny. Wildstein okazuje się apostołem,
który buduje pomnik nieżyjącemu przyjacielowi.

KATARZYNA KUBISIOWSKA:

Wyobrażasz sobie Stanisława Pyjasa w 2023 r.?

CEZARY ŁAZAREWICZ: W sierpniu skończyłby 70 lat. Może byłby pisarzem? Coś robił w tym kierunku: pracował nad powieścią, której akcja toczy się na dworcu we Wrocławiu, gdzie każdy zegar wskazuje inną godzinę. Czytałem też jego wiersze i zapiski. Dość egzaltowane. Rozważał dziennikarstwo, ale ktoś mu uprzytomnił, że z jego poglądami to jest w PRL-u niemożliwe. Może zostałby na uczelni? Sympatyzowałby z opozycją, podpisywałby listy protestacyjne, wyklócał się o imponderabilia, ale to nie polityka, tylko literatura byłaby jego głównym zajęciem.

Po lekturze Twojej najnowszej książki, „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa”, nadal nie wiadomo, czy to był nieszczęśliwy wypadek czy zamordowała go bezpieka. Zginął w Krakowie 7 maja 1977 r.

Na stronach internetowych IPN-u widnieje krótka informacja, że śledztwo zakończyło się w roku 2019 i zostało umorzono z powodu niemożności wykrycia sprawców przestępstwa. Zabierając się za tę książkę, wiedziałem, że procesowo nic tu nie można udowodnić, w najlepszym

wypadku znajdę ludzi zamieszanych w tę sprawę, ale już nieżyjących.

Po co więc pisać?

Śmierć Pyjasa, a w konsekwencji powstanie Studenckiego Komitetu Solidarności, to część mitu założycielskiego wolnej Polski. Z tym że mit znaczy tu początek prawdy.

I uczynienie z tej śmierci kwestii politycznej, która do teraz antagonizuje ludzi?

Jako nastolatek zdążyłem załapać się na karnawał Solidarności. Potem przyszedł stan wojenny, działałem w ruchu Wolność i Pokój, wydawałem i kolportowałem bibułę. Dla mojego pokolenia od Pyjasa ważniejszy był Przemysław urodzony w 1964 r., niemal mój rówieśnik. Pyjas to starsza historia.

I bardziej zagadkowa?

Pamiętam reportaż Wojtka Tochmana z roku 1991. Pojechał do Gilowic, rodzinnej wsi Pyjasa, gdzie spotkał się z jego matką. W pewnym momencie ona wyciągnęła z szafy zakrwawioną koszulkę syna – to przejmująca scena. Już jako reporter „Gazety Wyborczej”, kiedy zaczynało się kolejne śledztwo w sprawie śmierci Pyjasa, czekałem na jego rozwiązanie. Najpierw dowiedziałem się, że MSW nie chce wydać dokumentów,

które mogłyby pomóc w tej sprawie. „Jak to?! – myślałem. – Chłopaka zabili, zostały dokumenty po dawnej bezpiece, a nasi ludzie – bo tak wtedy myślałem o solidarnościowych rządach – nie chcą ich ujawnić?”. Później przychodzi sprawa boksera, też nieżyjącego, który być może zabił Pyjasa. To już dwie śmierci. Trzecia śmierć: Pietraszki, głównego świadka, który widział mężczyznę idącego za Pyjase. Gdybym w latach 70. był trochę starszy i mieszkał w Krakowie, to też bym się przyłączył do tych, którzy domagali się szukania winnych. Wierzyłem, że bezpieka chroni zabójców Pyjasa i że po upadku komunizmu nowa władza znajdzie i ukarze winnych.

Tak jak zabójców Przemysła?

Ironizujesz. Sprawę Przemysła i Pyjasa zajmował się Zdzisław Marek, lekarz i biegły sądowy, zmarły w 2015 r. Za komuny opiniował najtrudniejsze sprawy kryminalne. W swojej książce „Głośne zdarzenia w świetle medycyny sądowej” rozkładał na czynniki pierwsze badania Pyjasa i powtarzał z pełnym przekonaniem, że gdyby w XXI wieku miał wydać opinię w sprawie przyczyn tej śmierci, byłaby taka sama jak w 1977 r. Postawiłem sobie pytanie: jak to możliwe, że ten sam człowiek w sprawie Przemysła sporządził ekspertyzę potwierdzającą pobicie przez milicję, mimo nacisków władzy nie cofnął się ani

Cezary Łazarewicz, maj 2023 r.

→ na milimetr, a w sprawie Pyjasa pozostawał na usługach SB?

Wnioski?

Nie znalazłem żadnej opinii eksperckiej, która kwestionowałaby uczciwość ekspertyzy prof. Marka w sprawie badania pośmiertnego Pyjasa. Dzisiaj nikt już mu nie pamięta innych, a ważnych dokonań: odkopywania grobów królowej Jadwigi i Kazimierza Wielkiego oraz tego, że krakowski Zakład Medycyny Sądowej był w latach 50., 60., 70. i 80. najlepszą tego typu placówką w Polsce. Nikt mu nie pamięta, że w sprawie Przemyka zachował się przyzwoicie i że w 1989 r. wszedł w skład sejmowej komisji, która miała zbadać przypadki zabójstw opozycjonistów w stanie wojennym. Skoro po zmianie ustroju Marek wszedł do tej komisji, to nie mógł być aż tak skompromitowany. Bardzo źle pisał o nim Jan Józef Lipski w historii KOR-u, ale nigdy nie postawiono mu zarzutu fałszowania dokumentacji lekarskiej. Prawdziwym czarnym charakterem stał się dopiero w latach 90. A że był arogancki i antypatyczny, to już inna kwestia.

Jego osoba była dla mnie jednym z impulsów, by zająć się tą sprawą.

A po impulsie przychodzi masa roboty. Same kwerendy w IPN-ie to miesiące nad przeglądanyymi teczkami.

91 tomów akt. To jak przerzucanie góry łąjna, by znaleźć zaginione pięć złotych. Ale lubię grzebać w archiwach i z tego, co znajdę, odtwarzam sobie światy.

Jak?

Dzięki zapiskom bezpieki, np. Józefa Bobera. Ubegy to ważni świadkowie historii, *de facto* kronikarze PRL-u. 12 kwietnia 1976 r. Bober zrobił notkę z przesłuchania odbywającego się wtedy przy placu Wolności, dziś Inwalidów. Dzięki temu wiemy, że Pyjas był ubrany w kurtkę z koca, popielate spodnie, czarne buty, a przez ramię miał przewieszony grafitowy chlebak. Był skacowany, więc Bober ratował go herbatą. Dowiadujemy się, że pierwszą przeczytaną przez Pyjasa bezdebitową książką był „Dziennik” Gombrowicza, a ostatnią – „Piękni dwudziestoletni” Hłaski. Takie szczegóły uruchamiają wyobraźnię.

Jak ta zakrwawiona koszula przyniesiona przez matkę Pyjasa?

Czytałem w latach 90. sztukę bałkańskiego autora o tym, jak do znanego pisarza przychodzi kmiotek i mówi, że napisał o nim książkę. Okazuje się, że jest to człowiek bezpieki, który przez lata opisywał życie pisarza – z kim się spotyka, kogo odwiedza, do kogo śle listy.

Okazuje się więc, że te śmieci zebrane, by niszczyć ludzi, są dziś wspaniałym dowodem niezłomności, drobiazgową dokumentacją przeszłości. Często z nich korzystam, bo jeśli do tych beznamiętnych streszczeń i opisów dołożysz jeszcze pamięć świadków wydarzeń, to robi się dobry miks.

Dobry, bo w pamięci świadków są emocje?

W reportażu pociąga mnie to, że możesz napisać o tym, co wydarzyło się 40 lat temu, wywołując u czytelnika żywe emocje.

W „Na Szewskiej” są właściwie trzy książki: pierwsza to historia śledztwa, druga to historia Lesława Maleszki i jego współpracy z SB we wcieleniu Ketmana, Zbyszka, Tomka i Returna, trzecia to historia życia Pyjasa i mitu, który po nim został.

Jest i czwarta: historia systemu komunistycznego, który po obu stronach barykady niektórym charakterem łąmał, innym – umacniał.

Dlatego starałem się dotrzeć do tych, którzy temu systemowi wtedy służyli. Próbowałem znaleźć wszystkich oficerów prowadzących Ketmana. Ostatnim był płk Jan Krawczyk, który spotykał się z nim od lat 80. do chwili rozwiązania SB. Odnalezienie go nie było łatwe, ale dotarłem przez kolegów z UOP, którzy w latach 90. pracowali z pozytywnie zweryfikowanymi esbekami. Przez osoby trzecie dostałem odpowiedź zwrotną od pana Krawczyka, że on się ze mną nie spotka, bo mam fatalną opinię u ludzi dawnego resortu.

Komplement?

Może, ale ja potrzebowałem wiedzy. W bezpieczeństwie byli różni ludzie, a w Krakowie w roku 1977 toczyła się walka młodych ze starymi. Ci, którzy rozpracowywali członków SKS-u, byli od nich dwa, trzy lata starsi, jako studenci mogli się mić w akademikach i na korytarzach uniwersytetu. Bober przesłuchujący w kwiet-

niu 1976 r. Stanisława Pyjasa był absolwentem biologii. Pochodził z prowincji, wychowywał się w biedzie, państwo zagwarantowało mu bezpłatną edukację i system stypendialny, dzięki któremu mógł zrobić magisterium. Kiedy kolega powiedział mu, że jest ciekawa robota za nieźle pieniądze, to nie tylko jego zwerbowano, ale sporo innych studentów z UJ. Więc ci wykształceni poszli do bezpieki z poczuciem, że stanowią elitę. Spotkali się tam z tymi, którzy mieli ukończone za ledwie cztery klasy szkoły powszechnej i z awansu społecznego dostawali stopnie oficerskie, a wcześniej wyrzuli paznokcie przesłuchiwanym AK-owcom.

A Marek Borys, jeszcze inny oficer prowadzący Ketmana?

Jako student waletował w Żączku, w pokoju matematyków, którzy całe noce pili, palili i rżnęli w karty, przed seją zaś zakuwali i nic ich więcej nie interesowało. Być może losy Borysa potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby trafił do pokoju polonistów, zdecydowanie bardziej zbuntowanych i upolitycznionych. Choć później wciągnęła go ta praca.

Co najbardziej?

Forma władzy? Kreowania rzeczywistości? Wszechwiedza? Dostęp do informacji dla innych niemożliwy? Bezpieczeństwo ekonomiczne? Borys opowiedział mi historię swojej znajomej, która zakochała się w opozycjoniście. Ponieważ znał plan bezpieczeństwa związany z tym działaczem, przekazał na kartce papieru informację ostrzegawczą. I w trakcie rewizji w mieszkaniu opozycjonisty bezpieczeństwa znalazł tę kartkę. Borysa na tę okoliczność wezwano do Warszawy – autentycznie był przerażony, że zostanie aresztowany. Jeśli jesteś milicjantem podejrzanym o zdradę i w latach 70. trafiasz do pułdu, to wpadasz w jeszcze gorsze tarapaty.

Jakoś nie budzi to we mnie współczucia.

Nie mówię o tym, by wzbudzić współczucie, ale żebyś zrozumiała motywację tych ludzi. Muszę dodać, że część z nich, rozpracowujących środowisko Pyjasa, uciekła z bezpieki. Nie chcieli uczestniczyć w tym zakłamaniu. Bober pierwszy raport o odejściu ze służby złożył w roku 1976, a Borys został najpierw odsunięty, by w finale wylecieć.

A Lesław Maleszka?

Wyróżniał się spośród innych agentów nie tylko gorliwością w pracy, ale wrodzonymi zdolnościami: umiejętnością analizy i syntezy oraz fenomenalną pamięcią do dat, nazwisk, ulic, miejscowości. Widać to choćby na kilku stronach maszynopisu, którego treść podyktował oficerowi śledczemu po powrocie z Gorców, gdzie spotkali się pierwszy raz ludzie KOR-u i SKS-u. Maleszka informuje o pieniądzach płynących z Zachodu, powstającym podziemnym wydawnictwie i kielkującej idei Latającego Uniwersytetu. To uświadamia, że bezpieczeństwa ugruntowany przegląd informacji – wiedziała, co się dzieje w środowisku, o co tam chodzi i kto jest przywódcą.

Tu jednak chodzi o coś więcej: Stanisław Pyjas, Lesław Maleszka i Bronisław Wildstein byli przyjaciółmi.

Historia tej trójki jest jak przypowieść biblijna. Jezus, czyli Pyjas, ginie. Judasz, czyli Maleszka, jest niewierny. Wildstein okazuje się apostołem, który po śmierci przyjaciela niesie prawdę i dobrą nowinę, buduje pomnik ofierze.

Staram się zrozumieć motywy postępowania Maleszki.

Rozumiesz?

Obawiam się, że on sam nie potrafi tego przekonywająco wyjaśnić. Maleszki nie usprawiedliwiam, nie jestem jego adwokatem. Mało o nim wiedziałem, w redakcji „Gazety Wyborczej” pokazała mi go Beata Pawlak, która przyszła do SKS-u właśnie z powodu śmierci Pyjasa. Maleszka był dla niej wzorem, mówiła o nim jak o narodowym bohaterze. A ja wiedziałem, że jest super redaktorem, że wszystko przeczytał, a jak jeszcze nie przeczytał, to na pewno przeczyta. I że jest gadułą. Ale nigdy nie epatował latami 70. i 80. O tych czasach rozmawiać nie chciał. Piotrek Lipiński opowiadał, że kiedy miał pisać tekst o sprawie Pyjasa, umówił się z Maleszką na spotkanie i ten nie przyszedł. Natomiast Antek Pawlak do teraz nie może pojąć, że Maleszkę bezpieczeństwa skłoniła do współpracy, grożąc mu wyrzuceniem ze studiów.

I co z tego?

Dla Maleszki bardzo dużo: studia były szansą na wyrwanie się z rodzinnego Zakopanego. Mało w dzieciństwie zaznał



GRAŻYNA MAKARA

CEZARY ŁAZAREWICZ (ur. 1966) jest autorem książek reporterskich, m.in. „Sześć piętér luksusu. Przerwana historia domu braci Jabłkowskich” (2013), „Elegancki morderca” (2015), „Koronkowa robota. Sprawa Gorgonowej” (2018), „Nic osobistego. Sprawa Janusza Walusia” (2019). Za „Żeby nie było śladów” (2016) otrzymał Nagrodę Literacką Nike. W maju ukazała się w Czytelniku jego najnowsza książka, „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa”.

bliskości, więcej przemocy. Pawlak opowiadał, że w obozie internowania w Darłównie pod prysznic wchodził w koszuli, bo ponoć na plecach miał blizny po sznurze od żelazka, którym łała go matka. I bicia Maleszka zawsze bał się potwornie. Maturę zdał w technikum w Krakowie. Dla niego to było wszystko, by skończyć studia. Marzył o asystenturze na polonistyce.

W 2001 r. okazuje się, że Maleszka jest Ketmanem, agentem.

Dla wszystkich to zaskoczenie, Wildstein długo nie może w to uwierzyć. Nawet oświadczenie SKS-u w jego sprawie jest utrzymane w duchu usprawiedliwiający, zwracający uwagę na to, że prawdopodobnie nie był psychicznie odporny. Problem jest taki, że Maleszka ukrywał się z tym, co robił za komuny, jeszcze w latach 90. Sam mówił: „W którym momencie miałem się przyznać? Komu powiedzieć najpierw? Nie ma instrukcji do tego, by ujawnić się jako agent”.

Instrukcji nie ma, ale jest sumienie.

PRL nie był czarno-biały i można tu było znacznie więcej niż w Czechosłowacji czy Związku Radzieckim. Gdy w 1977 r. Jarmo Jääskeläinen, fiński dokumentalista, kręcił „Śmierć studenta”, w której sprawdzał kolejne hipotezy dotyczące śmierci Pyjasa, wierzył, że jego film może pokazać polską telewizja. Ostatecznie filmu nie wyemitowano, ale przynajmniej mógł powstać. Prokuratura w lipcu 1977 r. przedstawiła wszystkie zebrane dokumenty, ale tylko korespondentom zachodnim. Mogłaś spisać sobie nazwiska, dotrzeć do świadków, popytać ich, jak było... Władza więc w miarę była otwarta na to, by tę sprawę wyjaśnić.

Za wyjątkiem wątku bezpieczeństwa.

Tego nie sposób było ruszyć. Kiedy na początku lat 90. sprawa wróciła, to bezpieczeństwa znowu okazała się nie do tknięcia, dokumenty nadal były tajne.

Panował strach, że one wywrócą do góry nogami młodą demokrację i posłużą za polityczny oręż. Nie ujawnili ich prokuraturze ani Andrzej Milczanowski, ani Antoni Macierewicz. Zrobił to dopiero Zbigniew Siemiątkowski z SLD.

Jakie wątki były dla Ciebie nie do dotknięcia?

Osobiste rzeczy, spod znaku prywatności: kto, z kim i dlaczego. Większość bohaterów żyje, staram się na nich zważać. Pytasz mnie, czy ktoś poza Ketmanem odmówił rozmowy? W pokoju z Pyjasem mieszkał chłopak, który też został zwierbowany. Zadzwoiłem do niego z propozycją spotkania. Oddzwoniła jego żona i pyta, kim jestem, co robię, gdzie pisałem. Powiedziała, że jej mąż nie będzie się ze mną kontaktował, ponieważ pracowałem w „Gazecie Wyborczej” oraz „Polityce”, a nie są to gazety patriotyczne. Każde wypowiedziane przez nią słowo przenikało narodowe uniesienie. Zastanawiałem się, czy ona w ogóle wie, że jej mąż w latach 70. był tajnym współpracownikiem.

Jeszcze ktoś odmówił?

Ula, dziewczyna Pyjasa, która mieszka teraz w Stanach, pracuje jako pielęgniarka. Zadzwoiłem, lecz kiedy usłyszała, że chcę pytać o Pyjasa, to najpierw głos jej zamarł, a po chwili powiedziała, że nie będzie rozmawiać. Szkoda. Dziś już nie możesz zapukać do obcych →

→ drzwi i powiedzieć: „Dzień dobry, jestem dziennikarzem, chciałbym o coś zapytać”. To było możliwe w latach 90., ludzie nam jeszcze ufali. Dziś ten zawód podupadł do tego stopnia, że jak ktoś dowiaduje się, czym się paramy, to przychodzą mu do głowy same najgorsze skojarzenia. Dlatego staram się mieć osobę wprowadzającą, która mnie zarekomenduje, powie, że nie jestem ostatnim łachudrą.

I to dlatego, że dziennikarstwo podupadło, skupiłeś się na pisaniu książek?

Kiedy w 1991 r. zaczynałem pracować w „Gazecie Wyborczej”, mogliśmy pisać teksty w zasadzie bez ograniczeń wielkości. I dostawaliśmy tyle czasu na dokumentowanie, ile tylko potrzebowaliśmy. A teraz? W poniedziałek masz temat, a od wtorku już wisi na szcztokach miejsce na tekst. Jak nie napiszesz z wtorku na piątek, to robi się problem – nie będzie czego włożyć do gazety. W prasie coraz mniej jest faktów, a coraz więcej komentarzy.

Z mediów odszedłem w 2016 r. i do tego czasu napatrzyłem się wystarczająco. Parafrazując Bismarcka powiem, że ludzie nie powinni wiedzieć, jak się produkuje parówki i media.

A książki?

Po czterech latach pisania „Na Szewskiej” pomyślałem, że dobrze być rzetelnym, ale to się nie opłaca. W tym czasie Remigiusz Mróz wydał kilkanaście książek.

I to jest argument?

Wiadomo, że słaby. W trakcie pisania przyświecają mi elementarne cele: robotę mam doprowadzić do końca, sprawdzając wszystkie możliwe źródła. Kilka lat temu przyszedłem z propozycją pisania „Żeby nie było śladów” do Wielkiej Litery, której szef, śp. Paweł Szwed, powiedział, że to fajny temat, ale stan wojenny się nie sprzedaje, sprzedaje się powstanie warszawskie. Redaktorzy w wydawnictwach i w gazetach wiedzą lepiej, jakie tematy są chwytliwe, ale właśnie od tych oczekiwań powinna być wolna literatura faktu. Stawiam więc na swoim, mówię, że niczym innym nie będę się teraz zajmował. I albo wydawcy zgodzą się, albo powiedzą: spadaj. Na razie jeszcze się zgadzają.

© Rozmawiała

KATARZYNA KUBISIOWSKA

Dopij to piwo

PIOTR KOFTA

Vlastimil Třešňák to nietuzinkowa postać. Pieśniarz, malarz, którego biografia osobliwie lawiruje przez czeską historię. Wspaniały pisarz i wielki konfabulant.

DRUGA POŁOWA LAT 80., FRANKFURT nad Menem. Dwaj czescy emigranci, pan Moritz i pan Prag, gnieźdzą się w wynajętej norze, za którą od miesiący zalegają z czynszem. Żyją z rozmaitych dorywczych prac, ale w istocie to artyści. Biedująca bohema. Pan Moritz maluje. Pan Prag również. Niemniej żądni arcydzieł marszandzi i kupcy nie ustawiają się raczej w kolejce do ich lokalu. Pracownię panowie mają w przedpokoju: „W przedpokoju było największe okno w całym mieszkaniu. Toteż przedpokój zarówno panu Moritzowi, jak i panu Pragowi służył jako atelier. Zamiast firanki okienną szybę osłaniała przypięta czterema pluskiewkami chustka do nosa pana Praga”.

Czy się przyjaźnią? Zapewne tak. Pan Moritz zaproponował w swoim czasie panu Pragowi kąpiel w swojej pracowni, ponieważ „Pan Prag mieszkał wtedy w samochodzie osobowym marki Vauxhall”. Po kilku tygodniach pokłócili się: „po gwałtownej wymianie poglądów na sylwetkę moralną przewodniczącego Najwyższego Sowietu i na czołówkę zachodnoniemieckiej ligi piłki nożnej [pan Moritz] zaproponował panu Pragowi przejście na pan albo wyprowadzenie się”. Pan Prag wybrał pierwszą możliwość.

Pan Prag tak naprawdę nazywa się inaczej – nosi nazwisko Třešňák. Nieprzypadkowo, bowiem autor powieści, o której tu mowa, zatytułowanej „To, co najistotniejsze o panu Moritzu”, nazywa się tak samo. Jak więc narodził się „pan Prag”? Przypadkiem. W scenie otwierającej książkę Vlastimila Třešňáka niemiecki policjant próbuje odczytać z dokumentów dane osobowe obywatela zatrzymanego za posiadanie marihuany – i ponosi porażkę w konfron-

tacji ze słowiańskimi personaliami: „Najwyraźniej pomylił w mych papierach rubrykę »Imię i nazwisko« z rubryką »Miejsce urodzenia«. Przez całe dziesięć minut zwracał się do mnie »herr Karlin Prag«, zanim w końcu skrócił to do »herr Prag«. (...) – Pan Prag, pan Prag – powtarzałem. Chyba będę tak siebie czasem nazywać”.

Ubogie, depresyjne, mocno wyobcowane emigranckie życie panów Moritza i Praga składa się z rytuałów i powtórzeń – jest to ten rodzaj monotonii, która czyni świat nieco znosięjszym. Krąży się wciąż tymi samymi szlakami i po tych samych knajpach, mówi się te same słowa w tych samych sytuacjach. Złamanie rytuału przyjmowane jest z niedowierzaniem (jak wówczas, gdy pan Prag zamiast piwa kupuje w ulicznym kiosku mleko – „[kioskarz] wychylił się z okienka kiosku, spojrzał surowo na pana Praga, jakby zarządzał natychmiastowe wszczęcie śledztwa, i z obrzydzeniem postawił na pulpicie litrowy karton mleka”).

Co rano pan Moritz najpierw stuka w ścianę, a potem, obudziwszy pana Praga, bezceremonialnie wkracza do jego pokoju z jajkiem na twardo i egzemplarzem gazety „Frankfurter Rundschau”. Gazetę odkłada, zaś jajko obłutkuje o rant maszyny do pisania należącej do pana Praga. „Nie ma pan soli?” – nieodmiennie pyta. Codziennie również pan Moritz snuje mgławicowe plany zdobycia fortuny: zamierza a to stworzyć bestsellerową powieść („Pewien policjant, uprzednio fryzjer, teraz po prostu patrolujący miasto, sierżant xy, nienawidzi osobników, którzy w dzień i w nocy w miejscach publicznych, na ulicach, w parkach, na przystankach autobusowych, na stacjach metra nastawiają na cały



Vlastimil Třešňák wystąpił ze swoim zespołem jako support na koncercie punkowej rosyjskiej grupy Pussy Riot, Praga, maj 2012 r.

regulator przenośne kasetowe magneto-fony. (...) Pewnej nocy nasz kochany sierżant xy przebiera się w obcisły kostium, wkłada na twarz czarną maskę i zaczyna osobników z magnetofonami mordować! Brzytna, kapuje pan, były fryzjer...”), a to założyć salon chiromancji dla zwierząt, a to – szczyt ekstrawagancji – zrobić prawo jazdy w Stuttgarcie.

Gdy jednak zaczyna się w tym światku rozmawiać o sprawach poważnych, do głosu dochodzi sztuka uników; nie przypominam sobie innej książki, w której dialogi napisane są tak, by mówić zawsze

obok tematu. Ze skrępowania, wstydu, nostalgii rozmówcy uciekają tu w durne dowcipy, bon moty, wielopiętrowe aluzje, nagle zmieniają wątek albo odpowiadają nie na temat.

Moja wolność, nie wasza

Ciekawe, że niektóre książki nie mają czytelniczego szczęścia (albo muszą na to szczęście cierpliwie zaczekać): obecna edycja w serii „Stehlík” wydawnictwa Dowsody jest już trzecią polską w wypadku „Tego, co najistotniejsze o panu Moritzu” – inna sprawa, że te dwie pierwsze miały

miejsce w zamierzonych czasach (ostatnia bodaj w 1996 r.).

Oryginalnie książka wyszła w roku 1989 w czeskim wydawnictwie emigracyjnym Index w Kolonii. Dosłownie w parę miesięcy później wyszła po polsku w przekładzie Piotra Godlewskiego (wówczas posługującego się konspiracyjnym pseudonimem Paweł Heartman) – było to wydawnictwo na wpół legalne: jeszcze miało charakter niecenzurowanej bibuły, ale w rozsypującym się PRL-u ten fakt już służb nie obchodził. Po upływie roku bądź dwóch „To, co najistotniejsze o panu Moritzu” zasiłowało już zawartość zakurzonej półki z przecenami w jednej z warszawskich księgarni. Tam właśnie – będąc jeszcze licealistą – tę książkę znalazłem. Choć może lepiej byłoby napisać: odkryłem. Bo to było odkrycie: nikt w ten sposób w Polsce nie pisał (i nadal nie pisze – nadmieniam po upływie trzech dekad), z takim gorzkim, zrezygnowanym humorem, z taką, powiedzmy, skromną i pełną szacunku dezygnacją (coś, to po prostu „hovno, prdel, Vršovice” – jak przeklina jeden z bohaterów książki. Godlewski tłumaczy to jako „że kurwa Vršovice”, ale kanciasta i wulgarna polska „kurwa” pasuje tu jak wół do karety).

Polska literatura ma w swoich zasobach utwór względnie analogiczny – „Emigrantów” (1974) Sławomira Mrożka. Podobieństwo jest tu jednak czysto formalne: zarówno u Mrożka, jak i u Třešňáka dwóch facetów siedzi w ponurej kanciapie w jakimś zachodnim mieście. Z uważnej lektury tych dwóch tekstów można natomiast wysnuć sporo refleksji na temat polsko-czeskich różnic kulturowych. Mrożka interesuje odwieczny polski konflikt klasowy między szlachtą (i jej zafrasowaną dziedziczką: inteligencją) a chłopstwem (i jego gniewną, rozczeniową sukcesorką: klasą robotniczą) – stąd postaci dramatu, AA i XX, to typy idealne, modelowy intelektualista i równie modelowy proletariusz. Ich bytowanie wśród bulgoczących rur – metaforycznie: dolnych części przewodu pokarmowego kapitalistycznej cywilizacji – w groteskowy sposób odtwarza dawne polskie animozje, kompletnie już nieistotne w obliczu wspólnie przeżywanej nędzy i całkowicie zbędnej wegetacji na obczyźnie.

Třešňák z kolei opowiada o jednostkowej wolności; nie o historiozoficznym



SOVETO / BE&W

Prywatny występ artystów – sygnatariuszy Karty 77 w mieszkaniu Vlasty Chramostovej. Od lewej: Pavel Kohout, Vlastimil Třešňák, Pavel Landovský, Vlasta Chramostová, Tereza Kohoutová (córka Pavla). Praga, koniec lat 70. XX w.

→ fatum, lecz o roli przypadku w kształtowaniu ludzkiego losu. RFN to miejsce jak każde inne, które nie jest Czechami. Istotna jest natomiast pamięć o wygnaniu z raju zawłaszczonego przez zło. Pamięć, która z jednej strony wymaga, by w kruchej trosce o najbliższych trwać przy pozytywnym programie, opowiadać się za życiem, z drugiej zaś dopomina się o pomstę. Ale to wszystko nie odbywa się w narodowych barwach – ksywka „pan Prag” to po prostu nieco kpiarski wyraz indywidualnej tęsknoty za miastem dzieciństwa i młodości. Bo, jak mówił Magor (czyli „Świr”), Ivan Martin Jirous, jeden z ojców założycieli czeskiego undergroundu rockowego, prześladowanego przez komunistyczną bezpiekę po roku 1968: „Walczyłem sam za siebie, nie walczyłem o żadne wasze prawa człowieka. Każdy musi walczyć o swoje prawa. Mam w dupie waszą wolność, biłem się o własną”.

Odjazdy

Třešňák fabularyzuje tu własną biografię. W późnych latach 80. klepał we Frankfurcie biedę pod jednym dachem z panem Moritzem, a ściślej: z jego pierwowzorem, malarzem Václavem Martinikiem. „Mieszkaliśmy razem jakieś trzy i pół roku – i to go zainspirowało do stworzenia tego Moritza. Siedzieliśmy któregoś razu w kawiarni i Vlasta mówi: »Walcówku, nie złość się, ale czy mogę cię wy-

korzystać jako postać w powieści? Tyle że będziesz Żydem, nie przeszkadza ci to?«. Odpowiedziałem, że nie przeszkadza. Tak to było – wspomina Martinek, a potem dodaje, że Třešňák niektóre jego pomysły na potrzeby powieści wygładzał i temperował. – Zdarzało mi się nieźle odjechać”.

Właściwie należałoby jeden z takich podfabularyzowanych odjazdów przytoczyć na dowód. Třešňák w wywiadzie-rzecz z Ondřejem Bezrem („To je hezký, ne? Rozhovor z Vlastimilem Třešňákem”, Galén 2007) opowiada następującą historię: „Po tym, jak właściciel frankfurckiego mieszkania, herr Berg, pozbył się nas z lokalu, pan Moritz wyjechał, aby zostać pustelnikiem w Himalajach. Wyciszyć się, wyczyścić sobie umysł – tak utrzymywał. Wiół ze sobą dwie walizki, jedną pełną bibulek do skręcania papierosów, drugą pełną bułgarskich konserw (...) Otwieracz do konserw pożyczono mu w buddyjskim klasztorze, bibułka niemal zużył po drodze. Mnichom pan Moritz się spodobał, dlatego zaproponowali mu dach nad głową. Pan Moritz nie wiedział jednak, że w buddyjskim klasztorze gość może spędzić tylko jedną noc, w ostateczności dwie. W związku z tym mieszkał w klasztorze przez parę tygodni, grał mnichom na sitarze piosenki w rodzaju »Biedny, biedny bosman / stoi mu jak sosna«, dbał o klasztorny ogródek i opowiadał im o herr Bergu, naszym frankfurckim gospodarzu.

Mnisi byli coraz bardziej zdesperowani, ponieważ nijak nie umieli pana Moritza wykopać z gniazda. Doprowadzony do rozpacz przeor klasztoru obiecał panu Moritzowi, że pokaże mu tajne pomieszczenie, ściśle chronione przed wzrokiem niepowołanych. Pomieszczenie, w którym mnisi ukrywają swoje skarby i świętą księgę, coś na kształt dziennika odwiedzin. I dodał, że potem pan Moritz będzie musiał natychmiast opuścić klasztor.

»Tak życzy sobie wielki duch!«

»Yes, odejdę. Poza tym skończyły mi się bibułki.«

Przeor z panem Moritzem przez tajne wrota weszli do wspaniale oświetlonej piwnicznej sali. Pośrodku, na mahoniowym stoliku, leżał skalp Yetiego i rzeczona słynna księga. Oprawiona w skórę oskalpowanego.

Pan Moritz zdmuchnął z księgi kurz i pajęczyny.

Ostatnia notatka pochodziła z lat 30. XX stulecia, były to wpis i podziękowania od niejakiego Alberta Schweitzera.

»Well« – przeor uroczyście podał panu Moritzowi złote pióro, pan Moritz zaś pod autografem Alberta Schweitzera napisał: »Herr Berg to kutas«.

W dwa dni później pan Moritz zszedł z walizkami w dolinę, do cywilizacji, do najbliższego kiosku, gdzie kupił sobie wielką paczkę bibulek papierosowych Rizzla. A na stojaku przy kiosku ujrzał pierwszą stronę miejscowej gazety. Widniała tam czarno-biała fotografia, na której ówczesny niemiecki kanclerz Helmut Kohl obejmował Václava Havla.

»Czyli że co? Siedzą obaj?« – Pan Moritz nie pojmował.

Poprosił więc kioskarsza, żeby przełożył mu tekst pod zdjęciem, i dowiedział się, że w Europie przed trzema kwartałami miał miejsce jakiś »listopad«, że mur berliński padł i że Václav Havel nie siedzi już w więzieniu, ale na Zamku w Pradze”.

Dokręcanie śruby

Swoją drogą Vlastimil Třešňák to także nietuzinkowa postać. Pisarz, pieśniarz, malarz, którego biografia osobliwie lawiruje przez czeską historię ostatnich siedmiu dekad. Ostrożność nakazuje zauważyć, że w pierwszym zdaniu wspomnianego już wywiadu-rzeczki Třešňák składa następującą deklarację: „Ondřeju, zanim zaczniesz mi zadawać pytania, muszę cię

uprzedzić, że lubię konfabulować. A jeśli mimo wszystko nie udaje mi się wymyśleć odpowiedzi, wzruszam ramionami”. To i owo można jednak ustalić.

Urodził się w 1950 r. w praskiej dzielnicy Karlín. To w tamtym czasie odpowiednik warszawskich Szmulek: rejon cieszący się bandycką sławą i sporym odsetkiem ludności pochodzenia romskiego. Sam Třešňák Romem nie jest, choć zawiera w młodości serdeczne i trwające całe życie przyjaźnie w romskich kwartałach, a jego „biali” koledzy mawiają o nim z przekąsem (i z odrobiną szacunku): „Cygan Třešňák”.

Jego rodzice są w zasadzie nastolatkami. Matkę, sudecką Niemkę, pozna dopiero w 1990 r. Tatuś to też nieopierzony młodzik. Vlastimil trafia na wychowanie do dziadków od strony ojca, jego ojczyzną jest, by tak rzec, ulica. Edukację kończy po podstawówce, włości się z gitarą, słucha płyt, nasiąka powoli bitnikowskim i hipisowskim mitem. Wreszcie pod koniec lat 60. łąduje w środowisku chłopców i dziewcząt, którzy na moście Karola grają folk, ten wzorowany na brytyjskim i amerykańskim, pożyczony od Donovana, Boba Dylana i Joan Baez. Są wśród nich przyszłe gwiazdy czeskiej piosenki autorskiej – choćby Vladimír Merta, Jaroslav Hutka czy Petr Kalandra. Jak również Třešňák we własnej osobie.

Władza wprawdzie urządza sobie polowania na długowłosych, ale do lata 1969 r. śruba pozostaje niedokręcona. Definitywny koniec Praskiej Wiosny (która w istocie trwała jeszcze dobry rok po sowieckiej inwazji) to także koniec niewinnej folkowej subkultury. Nowa partyjna ekipa pod wodzą Gustáva Husáka postanawia terrorystycznymi środkami zmusić społeczeństwo do konformistycznego posłuszeństwa. Wszelka nieoficjalna działalność schodzi do podziemia, wzbudzając jednocześnie zainteresowanie tajnej policji. I nie chodzi tylko o hipisów; czechosłowacka bezpieka infiltruje i śledzi rozmaite środowiska: od nielegalnego skautingu po kulturystów, od ekologów po wielbicieli motocykli, od nudystów po turystykę górską, od gejów po fanatyków majsterkowania. W Czechosłowacji – a zwłaszcza w Czechach (dlaczego, to temat na osobny tekst) – trwa potworna, poststalinowska urawniłowka.

Folkowcy próbują działać w formule półlegalnej, w ramach rozmaitych orga-

VLASTIMIL TŘEŠŇÁK:

Pan Moritz wyjechał,
aby zostać pustelnikiem
w Himalajach.

Wyciszyć się, wyczyścić sobie
umysł – tak utrzymywał.
Wiózł ze sobą dwie walizki,
jedną pełną bibulek
do skręcania papierosów,
drugą pełną
bułgarskich konserw...

nizacji hobbystycznych, ich własne stowarzyszenie muzyczne, „Šafrán” istnieje w takiej czy innej formie do drugiej połowy lat 70., gdy zaczynają się w Czechach przecinać ścieżki różnych offowych przedsięwzięć – przecinają się w konkretnym miejscu i czasie, w Pradze na początku roku 1977, gdy środowisko dysydenckie skupione wokół Václava Havla puszcza w obieg Kartę 77, dokument, w którym wolni obywatele domagają się od państwa, by przestrzegało własnej konstytucji i umów międzynarodowych.

Podpis pod Kartą, który w ogromnej większości wypadków skutkował ostrymi represjami ze strony władzy, złożyło do roku 1989 prawie 2000 osób. Mało? Dużo? W obliczu brutalnego terroru – trudno powiedzieć. W każdym razie na tej liście był także Třešňák i wielu jego kolegów. Třešňák, który – wzorem licznych czeskich artystów, intelektualistów i swobodnych duchów swoich czasów (potrzebowali, jak wszyscy, mieć w dowodzie pieczętkę poświadczającą zatrudnienie) – podejmował się najrozmaitszych prac: w budowlance (nosił cegły), konserwowaniu powierzchni płaskich (bywał sprzątaczem), ochronie (wykonywał zawód nocnego stróża) bądź w dziedzinie inżynierii pomiarowej (dostał fuchę jako pomocnik geodety). To ostatnie zajęcie stało się kanwą dla jego pierwszego undergroundowego przeboju, piosenki „Zeměmříc” („Geodeta”); debiutancki album o tym samym tytule wydali mu w 1978 r. koledzy ze Szwecji, którzy zdołali już wcześniej wyemigrować (taśma matka była przemycana pocztą dyplomatyczną).

Obywatel szwedzki

Zwiąawszy się bliżej z kartystami, Třešňák jednocześnie zagwarantował sobie dwie rzeczy: długoletnią przyjaźń z Václavem i Olgą Havlami oraz to, że reżim prędzej czy później doberze mu się do tyłka. Wydarzyło się w lipcu 1981 r. w znanej skądinąd piwiarni Pod Złotym Tygrysem – w ramach przeprowadzanej od jakiegoś czasu przez bezpiekę akcji „Asanace” („Oczyszczenie”). Třešňák był, rzecz jasna, inwigilowany i nękany od dawna, ale 13 lipca ubecy w cywilu po prostu wyprowadzili ze wspomnianej knajpy całą grupę znajomych z Třešňakiem na czele. Siedzący obok Bohumil Hrabal powiedział podobno do jednego z funkcjonariuszy: „Towarzyszu, pozwól mu chociaż dopić piwo”.

Przez kolejne 48 godzin Třešňák był na przemian bity do nieprzytomności, przesłuchiwany, przypalany zapalkami, zrzućany ze stołka na podłogę i znów poddawany przesłuchaniu. „Upierałem się, że nie wyjadę. Nie chodziło o jakąś tam »miłość do ojczyzny« albo »dumę z bycia Czechem« – nie chciałem wyjeżdżać, bo wciąż miałem tu paru przyjaciół. Złamały mnie i wyгнаły (...) te brutalne przesłuchania. Strata czasu, zmęczenie, strach, poczucie beznadziei” – opowiadał po ćwierćwieczu.

Emigruje w 1982 r., najpierw do Szwecji, potem do Niemiec. Mieszka z panem Moritzem. Dużo pisze. Wraca do Czech na dobre w 1995 r. – jako obywatel szwedzki (do dziś nie wystąpił o czeski paszport). W tym samym roku wydaje powieść „Klíč je pod rohožkou” („Klucz jest pod wycieraczką”), znakomitą kontynuację „Tego, co najistotniejsze o panu Moritzu” (miałbym prośbę do polskich wydawców – weźcie to opublikujcie, nie będziecie żalować). Nagrywa kolejne płyty z piosenkami, ale prowadzi życie z dala od mainstreamu. Nieszczerólnie mu się podoba w polistopadowej republice. Zapytany w 2019 r. w wywiadzie o to, czego się boi, odpowiada: „Współczesnej milicji ludowej, tej łysej, w bejsbolowych czapeczkach. Wiesz, jestem trochę imigrantem, trochę Żydem i trochę Cyganem”. *Hovno, prdel, Vršovice.*

© PIOTR KOFTA

*Vlastimil Třešňák,
TO, CO NAJISTOTNIEJSZE O PANU MORITZU,
przeł. Piotr Godlewski, Dowody 2023*

Muzyka z łez

DOROTA KOZIŃSKA Z LONDYNU

Bezwstydnie piękna kompozycja wyprzedziła swój czas. Z roku na rok coraz celniej współgrała z wielowymiarową, pełną lęków teraźniejszością.

BYŁ PAŹDZIERNIK 1977 R. W REDAKCJI „Ruchu Muzycznego” sześcioro krytyków przystąpiło do podsumowania Warszawskiej Jesieni. Kiedy rozmowa zeszła na polską premierę III Symfonii Góreckiego, komentatorzy podzielili się na dwa obozy. Wygrali przeciwnicy, starsi nie tylko wiekiem, lecz i ówczesnym autorytetem. Ludwik Erhardt zarzucił kompozytorowi nudziarstwo i prymitywizm. Olgierd Pisarenko prychnął lekceważąco, że „desygnować geniusza to wielka satysfakcja, a ryzyko małe”. Tadeusz A. Zieliński przekonywał, że Górecki – odsłaniając nagie emocje i redukując do minimum „całą resztę” – dopuścił się mimowolnie *reductio ad absurdum*. Zwolennicy bronili się nieśmiało. Z wyjątkiem niespełna trzydziestoletniego Andrzeja Chłopeckiego, który wypalił bez namysłu: „Arcydzieło, stawiające twórcę w rzędzie geniuszy”.

Obrażeni na „zdracę ideałów awangardy” nie zmienili zdania nawet po światowym sukcesie wydanej w 1992 r. płyty wytwórni Nonesuch, z Dawn Upshaw w partii solowej i orkiestrą London Sinfonietta pod batutą Davida Zinmana. Nie zrobiło na nich wrażenia, że na brytyjskich listach przebojów III Symfonia została w tyle „Nevermind” Nirvany i najnowszy album Stinga. Uznali rzecz całą za fenomen popkultury, nie wgłębiając się w analizę, jakim cudem ten długi, wolno toczący się utwór trafił w gust i wrażliwość wielbicieli grunge’u i post-punka. Coś jednak zaczęło się zmieniać. Posypały się kolejne interpretacje i nagrania. Stała się ścieżką dźwiękową do filmów – od serialu „The Crown” po „Wielkie piękno” Paola Sorrentino. Bezwstydnie piękna kompozycja wyprzedziła swój czas. Z roku na rok coraz celniej współgrała z wielowymiarową, pełną lęków teraźniejszością.

Niewykonalne

„Symfonia pieśni żalonych” bywała też przedmiotem adaptacji, często nieudanych, lekceważących nieodłączną warstwę tekstową utworu. Dlatego z zaciekawieniem, ale też niepokojem obserwowałam przygotowania do inscenizacji utworu Góreckiego na deskach English National Opera, we współpracy z Instytutem Adama Mickiewicza. Obawiałam się pustych miejsc na widowni. Obawiałam się naiwnych nawiązań do bieżącej wojny w Ukrainie, z drugiej zaś strony aluzji do skandalicznej decyzji Arts Council England, która postawiła ENO przed widmem zagłady, wycofując się z corocznego dofinansowania teatru i proponując mu w zamian wątpliwe działania „naprawcze”. Po licznych protestach melomanów i środowisk muzycznych strony osiągnęły kruchy kompromis, wciąż jednak nie wiadomo, co będzie dalej.

Bo jeśli nawet ENO przetrwa jako instytucja, to i tak może stracić swój ukochany dom: słynne Coliseum, do którego przeniosła się w 1968 r., jeszcze jako Sadler’s Wells Opera Company. Teatr, do dziś najokazalszy na całym West Endzie, wzniesiono na zlecenie Sir Oswalda Stolla, menedżera teatralnego, później zaś producenta niemych filmów, który postanowił urządzić w nim „ludowy pałac rozrywki” na miarę epoki. Gmach projektu Franka Matchama, z wieżą zwieńczoną charakterystycznym ażurowym globem, krył wewnątrz kipiącą przepychem widownię i ultranowoczesną maszynę teatralną. W chwili powstania chlubił się jedyną na świecie potrójną sceną obrotową i mnóstwem rewolucyjnych rozwiązań technicznych, poczynawszy od instalacji wind prowadzących na wyższe piętra widowni, skończywszy na podwieszeniu balkonów na stalowych wspornikach, żeby filary nie zasłaniały odbiorcom akcji.



Inauguracja w grudniu 1904 r. okazała się kompletnym fiaskiem, mimo że w programie uwzględniono rekonstrukcję gonitwy z udziałem żywych koni i najprawdziwszych dżokejów, ścigających się na scenie obrotowej. Teatr ruszył na dobre dopiero dwa lata później, za to z ogromnym sukcesem. Ofertę miał urozmaiconą: od musicali i przedstawień dramatycznych, przez balety i pantomimy, aż po mecze krykieta i seanse filmowe. Odkąd został siedzibą Sadler’s Wells Opera, przemianowanej wkrótce potem na Angielską Operę Narodową, zapisał się w historii dziesiątkami prapremier i setkami innych spektakli, do których sukcesu przyczyniali się artyści tego formatu, co Charles Mackerras, Bryn Terfel i David Pountney.

Naturalną koleją rzeczy wzlotom towarzyszyły upadki, ostatnio częstsze za sprawą nietrafionych powołań na stanowiska kierownicze. Wciąż jednak mieliśmy do czynienia nie tyle z drugą londyńską operą po Covent Garden, ile z teatrem o całkiem odmiennym profilu, z ofertą skierowaną do innej publiczności, grającym prawie wyłącznie po angielsku, nastawionym bardziej na promocję młodych talentów niż zapełnianie widowni występami gwiazd (skądinąd warto podkreślić, że ENO ma więcej miejsc na widowni niż Royal Opera House).



CLIVE BARDA / ENO / MATERIAŁY PRASOWE

„Symfonia pieśni żałosnych”, English National Opera, Londyn, 2023 r.

Ku światłu

Świat muzyczny oczekiwał w ENO rozsądnych zmian, nie zaś słusznie oprotestowanej decyzji o rozpędzeniu kompanii na cztery wiatry i zmarnowaniu jej cennych inicjatyw artystycznych, społecznych i edukacyjnych.

„Symphony of Sorrowful Songs” zaplanowano jako ostatnią premierę sezonu. Także stąd brały się moje obawy: że wszyscy uznają ten spektakl za zapchajdziurę, zwłaszcza że ENO dosłownie tydzień wcześniej wprowadziła na scenę „Blue”, nową operę Jeanine Tesori, historię walki czarnoskórej społeczności Harlemu z systemową przemocą policji. Obydwa przedstawienia szły w ENO właściwie równolegle, po sześć razy na przełomie kwietnia i maja. Opera „Blue” trafiła w nastroje i wzbudziła żywy odzew krytyki, utyskującej na jakość partytury, niekwestionującej jednak walorów teatralnych utworu. Jak wypadła w tej konkurencji inscenizacja statycznej muzyki Góreckiego, która zdaniem wielu muzykologów nie da się szczęśliwie pożenić z żadną inną formą sztuki?

Wybierałam się do Londynu na ostatni spektakl, zdążyłam więc przeczytać kilka rozmów z inscenizatorką Isabellą Bywater i rzucić okiem w zaskakująco przychylne recenzje. W zdumienie wprawiły mnie jednak komentarze na fan-

page'u ENO, gdzie zachwyty mieszały się z pytaniami, czy ktoś podzieli się zbędnym biletem na dowolny termin. Przekonałam się na miejscu, że widownia na przeszło 2300 miejsc istotnie wypełniła się do ostatka. Publicznością złąknioną przede wszystkim teatru, bo trzydzieści lat po sukcesie komercyjnym III Symfonii mało kto już kojarzył, że ta niepokojąca muzyka w serialu „The Crown”, w scenie, w której narzeczony zdradza księżniczkę Małgorzatę z tancerką z West Endu, to właśnie trzecia z „pieśni żałosnych” Góreckiego.

Po konfrontacji z godzinną sesją nagich, szarpających trzewia emocji, ukazanych potężnym gestem teatralnym w doskonałe zagospodarowanej przestrzeni, przyznałam rację zarówno krytykom, jak i wstrząśniętej widowni. Bywater jest przede wszystkim scenografką, co zaowocowało wspianym porozumieniem z reżyserem światła Jonem Driscollem oraz Robertem Vitalinim, twórcą abstrakcyjnych, wizjonerskich w swej prostocie projekcji. Potrafi też – jako reżyserka – uważnie współpracować z odpowiedzialnym za ruch sceniczny Danem O’Neillem. Jej „Symfonia pieśni żałosnych” jest spójną opowieścią o piekle matczynej rozpacz, czyśćcu tęsknoty za utraconym dzieckiem i niebie pojednania ze śmiercią – nie dla każdej matki osiągalnym.

Pierwsza część, na dźwiękach lamentu maryjnego, ukazuje żmudną, lecz nieudaną podróż z piekła do nieba. Kobieta wczługuje się na scenę, wywleka z czeluści długi pas płótna, który skręca jak pępowinę, zwinia w kształt przypominający owiniętego w powijaki noworodka, po czym sadowi się z nim na krześle i rozpoczyna lot wzwyż. Nie dogania zawieszonych na marach zwłok syna, spada z nadscenia, koziółkuje w czasie równie nieskończonym jak pieśń, płacząc się w zwoje białego płótna – wieloraki symbol jej tragicznego macierzyństwa.

W nieco mniej wyrazistej drugiej części tryptyku Bywater ukazała ten sam dramat z punktu widzenia umierającego dziecka, podtrzymywanego w agonii i kołysanego na tamten świat przez podwójną figurę czulej śmierci – w osobach towarzyszących solistce aktorów. Część trzecią inscenizatorka wyprowadziła na pole bitwy, trochę jak z rycin Goi, trochę jak ze średniowiecznych wyobrażeń Sądu Ostatecznego – z matką szukającą poległego syna wśród okopów, w tłumie zjaw okaleczonych żołnierzy, by ostatecznie wznieść się ku światłu niczym anioł z Boscha i tym razem nie spaść. Ale też nie wniebowstąpić: pozostać na tym świecie z całym matczynym bólem, tyle że już oswojonym.

Czy można dobitniej opowiedzieć o szaleństwie współczesnego świata niż uniwersalnym językiem osieroconych matek, losem ich dzieci zabranych przez wojnę, bezdusność i przemoc? Czy można to lepiej wyśpiewać niż obdarzona gęstym, zmysłowym sopranem Nicole Chevalier, tyleż wrażliwa śpiewaczka, co znakomita aktorka? Czy można zadrygować subtelniej niż Lidiya Yankovskaya, precyzyjna w każdym geście, czuła na każdy trzepot w tym oceanie dźwięków? Pewnie można, nie jestem jednak pewna, czy trzeba. I tak siedząca obok mnie dziewczyna przez cały spektakl ocierała ukradkiem łzy, a niewidomy starszy pan po prawej reagował podobnie, zdany wyłącznie na muzykę i bijącą ze sceny energię.

Historia rozsądzi, czy Górecki był geniuszem, czy tylko zręcznym magiem, grającym na emocjach słuchaczy. Na razie historia powinna osądzić członków Arts Council England, którzy tak bezzwłocznie próbują dobić ukochany teatr londyńczyków.

©

Zróbmy sobie miejsce

ANITA PIOTROWSKA

Okrutny jest każdy system, który unieważnia pojedynczego człowieka w imię „wyższego” celu: abstrakcyjnej idei lub szeroko pojętego dobra wspólnego.

W KLASYCZNYM FILMIE „BALLADA o Narayamie” (1958) Keisukego Kinoshity mieszkańcy pewnej wioski zgodnie z tradycją wysyłają swoich starców na szczyt góry, by tam umierali, odciążając w ten sposób swoją społeczność. Čwierć wieku później Shōhei Imamura raz jeszcze przeniósł tę historię na ekran, w dużo bardziej naturalistycznej konwencji. Od tamtych czasów japońska populacja zdążyła zestarzeć się tak bardzo, że dziś przoduje w światowych zestawieniach. Powodem jest nie tylko wydłużenie się średniej życia, ale także coraz niższa dzietność – w 2014 r. sprzedano tam więcej pieluch dla dorosłych niż dla niemowląt.

A co by było, gdyby rozbudzić w seniorach odpowiedzialność za losy własnych wnuków, zachęcając ich do humanitarnego odejścia w stosownym czasie? Oповіда o tym „Plan 75”, w którym przyszłość dzieje się już dzisiaj.

Łatwo wyobrazić sobie, że film Chie Hayakawy może być wykorzystany w batalii przeciw prawu do eutanazji, wskazuje však na jej nieludzką stronę, opartą na socjotechnice. Pod tytułowym planem kryje się bowiem kontrowersyjny (zrazu) rządowy projekt, który zachęca osoby w wieku 75 plus, ażeby bezpłatnie, w przyjaznej atmosferze, sterylnych warunkach i wykwalifikowanej asyście dokonały swego żywota. I tym samym zrobiły miejsce innym, młodszym – na

rynku pracy, w mieszkalnictwie, w nadwreżonym systemie opieki. Sztab sympatycznych urzędników i troskliwych opiekunek czuwa nad dopełnieniem wszelkich formalności i nad samą finalizacją planu, gdyby ktoś po drodze zechciał zmienić zdanie. Oczywiście, decyzja jest całkowicie dobrowolna i zawsze można się z niej wycofać. Lecz czy nie lepiej dzięki finansowej rekompensacie przez chwilę dobrze sobie pożyć i pożegnać ten świat w locie, niż być skazanym na zdrowotny i materialny upadek?

Takie zapewne pytania stawia sobie ciągle żywotna Michi (gra ją znana japońska aktorka i piosenkarka Chieko Baisho), która ostatnio ma coraz mniej powodów do życia. Jej dom będzie wyburzony, ona straci pracę (tak, 78-lotka haruje jako pokojowa w hotelu), a od córki mieszkającej za granicą oddziela ją dużo więcej niż różnica czasowa. W jednej ze scen zamyka jej się tuż przed nosem uliczny szlaban – nic dodać, nic ująć. Tymczasem przywilejem uczestników Planu 75 są bezpłatne telefony zaufania. Pomagają uporać się z samotnością i wątpliwościami, byle rozmowa nie trwała za długo i nie była nazbyt poufała – osobistym konsultantom nie wolno angażować się w emocjonalne relacje z podopiecznymi. Co by się jednak stało, gdyby ktoś spróbował owe reguły złamać? Tu scenariusz Hayakawy przynosi zaskakujące rozwinięcie.

Najciekawsza jest w nim właśnie mozaika etyczno-emocjonalnych dyematów, bo to one, rozgrywane „po japońsku”, czyli powściągliwie i w ciszy, problematyzują główny temat filmu. Mamy więc młodego urzędnika Hiromu (Hayato Isomura), który wśród kandydatów do programu rozpoznaje dawno niewidzianego wujka i zaczyna dostrzegać w nim wcielenie utraconego ojca. Pojawia się też Maria (Stefanie Arianne), pracownica z Filipin, która rozpaczliwie poszukuje pieniędzy na operację córeczki i dla lepszego zarobku trafia do sortowni rzeczy osobistych, należących do „użytkowanych” staruszków. Używam tego słowa, dość upiornego w ludzkim kontekście, z premedytacją, jako że film wprowadza i ten rodzaj gorzkiej refleksji. Przemysłowy charakter Planu 75 wzbudza ewidentne skojarzenia. Nawet w tak błahych scenkach, kiedy Michi obcina sobie paznokcie, po czym nawozi nimi domowe rośliny. W ten sposób biomasa zostaje wzbogacona przez ludzkie odpady, napędza się cykl życia i śmierci. Darujmy sobie jednak przyrodnicze czy buddyjskie metafory, w tym filmie chodzi przecież o efektywną inżynierię społeczną. Najdonośniej wybrzmiewa metafora śmietnika.

Gdzieś pomiędzy kadrkami padają pytania o okoliczności zarówno godnej śmierci, jak i godnego życia. Zanim Michi zdecyduje się poddać eutanazji, zdą-





MASAHITO MIKI / MATERIAŁY PRASOWE

PLAN 75

– reż. Chie Hayakawa.
Prod. Japonia/Francja/
/Filipiny/Katar 2022.
Dystryb. Aurora Films.
W kinach od 26 maja.

Chie Hayakawa to japońska reżyserka i scenarzystka. Jej debiut „Plan 75” wyrósł z krótkiego filmu pod tym samym tytułem. Był on częścią nowelowego „Jū-nen: Ten Years Japan” (2018), w którym pięcioro japońskich filmowców przedstawiało swoje wizje kraju w niedalekiej przyszłości. Rozwinięcie tego pomysłu przyniosło reżyserce m.in. Złotą Kamrę na festiwalu w Cannes.

żymy poznać rozmaite, także najmniej radosne odcienie długowieczności. Bez nadmiernego grania na emocjach „Plan 75” opowiada przede wszystkim o ucywilizowanej znieczulicy, o szarych strefach komfortu i przekraczaniu kolejnych granic. W pewnym momencie rozważa się wdrożenie nowego, ulepszanego projektu, który przesunie wiek dobrowolnej „utylicacji” już do 70 lat. A wszystko to pod zwodniczym szyldem osobistej wolności i prawa do śmierci na własnych warunkach.

Dlaczego jednak japoński dramat nie wchodzi w kolizję z debatą o skracaniu bezsensownego cierpienia? Bo uzmysławia, że okrutny jest każdy system, który unieważnia pojedynczego człowieka w imię „wyższego” celu: abstrakcyjnej idei lub szeroko pojętego dobra wspólnego. Rozgrywająca się we współczesnych dekoracjach dystopia ostrzega nie tyle przed rozwiązywaniem problemów demograficznych metodami barbarzyńskich Spartan, co przed kolejnym wielkim (samo) oszustwem. Albowiem w tym świecie jakoś nie wspomina się o stworzeniu lepszych warunków dla rodzenia i wychowywania dzieci, o konieczności większego otwarcia się na imigrantów czy przemysłowi świata na nowo. Dlatego to szary emeryt okazuje się największym ekonomicznym balastem, współczesnym kamikadze, jak i jedynym na podorzędziu kozłem ofiarnym. Już w pierwszej scenie oglądamy krwawe pokłosie „przestępstw z nie nawiści”, oparte skądinąd na faktach. Plan 75 miał skanalizować tę ejdżystowską agresję i przekuć ją we wskaźniki ekonomiczne.

Ciekawe, że sztuczna inteligencja, która za chwilę pozamiata na globalnym rynku pracy, jeszcze tutaj nie istnieje jako realne zagrożenie – pracę zabierają aktywni i coraz liczniejsi seniorzy. Za to widać, że beznadziejnie samotni są u Hayakawy nie tylko oni. Młodzi, przynajmniej ci przedstawieni w filmie z bliska, nie zyskują obiecanej przez rządowy program przestrzeni życiowej. Wręcz przeciwnie, widzą w jego smutnych beneficjentach swoich wujków, rodziców, dziadków i... siebie samych. Na innym odcinku łańcucha pokarmowego, za to w bardzo podobnym stanie psychicznym. ©

Lektor: Historia i zdrowy rozsądek



■ Marcin Kula

HISTORIA W TERAŹNIEJSZOŚCI.

TERAŹNIEJSZOŚĆ W HISTORII

Stowarzyszenie Kulturalno-Edukacyjne

„Kolegium Gdańskie”,

Gdańsk 2022, ss. 350.

TA KSIĄŻKA DOTARŁA DO MNIE Z OPÓŹNIENIEM, TRZEBA o niej jednak napisać, bo jest nie tylko ważna i mądra, ale szczególnie teraz aktualna. Aktualizujący kontekst to atak na badaczkę dziejów Zagłady Barbarę Engelking, przypuszczony przez premiera i jednego z ministrów. Znowu trzeba tłumaczyć, jak niebezpiecznym pojęciem jest „polityka historyczna” i jak szkodliwe dla nauki są zakusy, by nią ręcznie sterować – obojętne, z fotela ministra czy pierwszego sekretarza. Chciałem napisać o „bezpprecedensowym ataku”, Anna Machcewicz przypominała jednak właśnie obraz z przeszłości: Władysława Gomułkę walącego z wściekłością w pulpit mównicy sejmowej egzemplarzem „Historii Polski” Oskara Haleckiego. Z tym że prof. Halecki mieszkał w USA, no i chodziło o zupełnie co innego. Ale wzory są.

Prof. Marcin Kula, który w marcu obchodził 80. urodziny, bliski francuskiej szkole Annales, jest znawcą tematyki latynoamerykańskiej (m.in. autorem syntezy dziejów Brazylii), co od dawna łączy z zajmowaniem się powojenną historią społeczną Polski. Jego wychowankowie, jak Paweł Machcewicz, Piotr Oseka, Dariusz Stola czy Marcin Zaremba, należą do grona najważniejszych dziś badaczy naszej historii współczesnej.

Nowa książka Profesora gromadzi eseje powstałe w ostatnich latach i wracające do podstawowych pytań o sposób, w jaki powinniśmy się mierzyć z polską przeszłością ostatnich stu lat. Tym samym autor włącza się w publiczne spory – jak w przypadku tekstu „Rozgrywanie historii. Wokół przeprowadzonej w 2018 r. nowelizacji ustawy o IPN” – próbując porządkować i precyzować pojęcia, tłumaczyć, że „antypolonizm” jest bytem sztucznie wykreowanym, bronić wolności badawczej. Odsłania pułapki myślenia w kategoriach wyłącznie narodowych, w populizmie dostrzega „zjawisko długiego trwania”, pokazując jego postpeerelowskie dziedzictwo. Píše też o pandemii, ostatni zaś szkic, ukończony w maju 2022 r., poświęca rozmaitym aspektom rosyjskiej agresji na Ukrainę.

„Chciałbym historii problemowej, analitycznej, porównawczej. Także tego, żeby jak najwięcej spośród nas myślało nie tylko o samych faktach, ale o zjawiskach i problemach (...) historii uwzględniającej niuanse, a nie czarno-białej”. Niestety chyba się oddalamy od tego ideału. ©



10 filmów, które musisz zobaczyć na KFF

1. „PIEŚNI ZIEMI”, reż. Margreth Olin

Trzy lata temu jej „Autoportret”, czyli historia wybitnej fotograficzki chorej na anoreksję, był przedmiotem debaty „Tygodnika”. Tym razem reżyserka kieruje kamerę na swych rodziców i swoje miejsce urodzenia, pośród norweskich fiordów. Efekt jest podwójny, bo łączy nieomal kosmiczną perspektywę z osobistą miniaturą, obezwładniające piękno górzystych pejzaży zaś kryje w sobie słodko-gorzka refleksję o przemijalności ludzkiego świata. A jednocześnie obietnicę wpisanego w naturę wiecznego powrotu. Tymczasem stara się Olin zatrzymać ten świat w kadrze, nasycić nim zmysły, uwiecznić tych, z którymi musi się powoli żegnać. Dlatego ten film trzeba oglądać na dużym ekranie – krystalicznie czysta kąpiel w obrazach i dźwiękach gwarantowana.

2. „CZY JEST TAM KTOŚ?”, reż. Ella Glendining

Fascynuje bezczelność, z jaką młoda twórczyni filmu podchodzi do własnej niepełnosprawności, do zniekształconego przez rzadką chorobę ciała i w ogóle do pojęcia „osoby specjalnej troski”. Bywa ono bowiem naznaczone hipokryzją czy potrzebą zrównania wszystkich wedle jednego wzorca normalności. Ella buntuje się przeciwko naprawianiu na siłę tego, co inne. Domaga się, aby to świat dostosował się do niej i jej podobnych, nie na odwrót. Rodzi dziecko, jeździ ze swoją misją po świecie, dyskutuje z lekarzami, przekonuje zdesperowanych rodziców... Udowadnia całą sobą – także tym dokumentem, kręconym przez kilka lat – że najwyższy czas zmienić myślenie, postrzeganie i język, które współtworzą dzisiejszy ableizm. Również na ekranie.

3. „SPRAWA DMITRIJEWĄ”, reż. Jessica Gorter

Dzisiaj każda, nawet najbardziej dysydencka twarz Rosji może się wydawać podejrzana, lecz bohater tego filmu poznał na własnej skórze, czym jest putinowski reżim. I że w prostej linii, choćby ze względu na rodzaj

stosowanych metod, nawiązuje on do stalinizmu. Właśnie tamtą epokę badał Jurij Dmitrijew, szef karelskiego oddziału Stowarzyszenia Memoriał. Za tę nieprawomyślną działalność został wrobiony w produkowanie pornografii z udziałem swej adoptowanej córki i po długim procesie zamknięty – jak na ironię – w dawnym łagrze. Holenderska reżyserka towarzyszy mu od początku tej sprawy i, mimo bliskiego kontaktu z oskarżonym, nie odbiera widzowi prawa do stawiania kłopotliwych pytań.

4. „HISTORIA NATURALNA ZNISZCZENIA”, reż. Siergiej Łoznica

Ukraiński dokumentalista jak mało kto opanował metodę *found footage*, łącząc nieznane materiały archiwalne we współczesne na wskroś eseje. Pisany gotykiem tytuł odsyła do książki „Wojna powietrzna i literatura” W.G. Sebald, ale Łoznica, skupiając się niemal wyłącznie na obrazie, pozostawia swemu odbiorcy większą swobodę interpretacji. W pierwszej kolejności, z punktu widzenia alianckich bombowców, czyli przyszłych zwycięzców, przygląda się gigantycznym zniszczeniom dokonywanym przez nich w III Rzeszy. Przebieg i skala owej



DAG ASLE MYKLIDEN / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Pieśni ziemi”, reż. Margreth Olin

destrukcji oraz to, co po niej zostało, działają cokolwiek dwuznacznie – nie przywykliśmy widzieć Niemców jako ofiar tamtej wojny. A jednak reżyser dyskretnie polemizuje z jedyną słuszną wersją historii czy może raczej z jej bezrefleksyjnym przyjmowaniem.

5. „WIELE HAŁASU O UMIERANIE”, reż. Simon Chambers

Są tacy, którzy nawet z łoża śmierci potrafią uczynić teatr jednego aktora. Bez wątplenia należy do nich David, sędziwy wujek reżysera – samotny gej i kolorowy ptak, związany niegdyś ze sceną, dziś zamknięty we własnym świecie. Swoje ostatnie pożegnanie chciałby zamienić w jeszcze jeden pasjonujący spektakl, aczkolwiek życie, także w schyłkowej fazie, potrafi nieźle namieszać. Nie mówiąc o bujnym temperamencie bohatera. Dlatego odchodzeniu Davida towarzyszą perypetie niczym z latynoskiej telenoweli, zwariowanej komedii i kina sensacyjnego. Lecz nie dajmy się temu zwieść. Chambers nakręcił film w gruncie rzeczy o sobie i o naszych uniwersalnych lękach związanych z chorobą czy starzeniem się. I o pragnieniu, by do samego końca pozostać swoim własnym reżyserem.

6. „ŻEGNAM CIĘ MÓJ ŚWIECIE WESOŁY”, reż. Joo Joostberens

O umieraniu można też całkiem na serio, ale za to z tradycyjnym śpiewem na ustach. Wyrugowane z naszej codzienności, niemal całkowicie przejęte przez wyspecjalizowane instytucje, ostało się jeszcze w ludowych pieśniach, które dziś, m.in. za sprawą projektu muzycznego „Rzeczy ostatnie” zespołu Polskie Znaki, dostają nowe życie. W filmie o tworzeniu tej niezwykle płyty toczy się pogłębiona dyskusja na temat miejsca śmierci w naszej kulturze, a przy okazji o tym, czym jest „dobra śmierć” i przeżyta żałoba. Przed nami prawdziwie terapeutyczne kino ze świetnym doбором rozmówców, pomysłową strukturą i dużą dawką folkloru z wariacjami.

7. „PIANOFORTE”, reż. Jakub Piątek

Ostry trening fizyczny i psychiczny. Masaż, medytacja, rozgrzewka. Nie jesteśmy jednak na zawodach sportowych, lecz na eliminacjach do finału Konkursu Chopinowskiego. Przed uczestnikami trwający 21 dni maraton, którego wynik zadecyduje o ich przyszłości. Udzielają nam się ich nerwy, przeżywamy razem chwile zwątpienia i euforii. Tyle że budowanie napięcia to nie wszystko. Twórcom udaje się wytworzyć bliską relację z bohaterami, kamera zagląda i za kulisy, i do prywatnych mieszkań w Polsce, Chinach czy nad włoskim morzem, a humor rozbija gęstniejącą atmosferę. Choć z trudem ukrywamy emocjom towarzyszy piękno muzycznych interpretacji, najsilniej przemawia właśnie ten uchwycony przez Piątkę „czynnik ludzki”. Sprawia, że chce się kibicować każdemu z bohaterów.

8. „APOLONIA, APOLONIA”, reż. Lea Glob

Jak zostać konsekrowaną artystką w XXI wieku? Najciekawsze w portrecie młodej francuskiej malarki Apolonii Sokal jest to, że owo pytanie dość szybko przestaje być najważniejsze. Liczy się intensywna obecność bohaterki, dziecka paryskiej bohemy, obserwowanej przez duńską reżyserkę na przestrzeni kilkunastu lat. Orz też wytworzona między kobietami z różnym podejściem do życia i sztuki. Czegóż tu nie ma w tle: barwne dzieciństwo w starym teatrze, dyplom na prestiżowej uczelni, związek z działaczką ukraińskiego Femenu, polskie korzenie, próba podboju Ameryki... I jeszcze uwikłanie w ciążę, płeć oraz związane

z nimi stereotypy. Łatwo w takich przypadkach o deklaratywność. Zamiast tego mamy wyostrożone zbliżenie na outsiderkę, której kamera nie próbuje formatować.

9. „SOLARIS MON AMOUR”, reż. Kuba Mikurda

To nie jest okolicznościowy film o Stanisławie Lemie ani kolejna adaptacja powieści o tajemniczej planecie. W tym przypadku lektura „Solaris” zainicjowała osobliwą podróż między różnymi galaktykami: głębokim peerelem a milczącym kosmosem, między ludzkimi tęsknotami a różnymi dziedzinami wiedzy, wreszcie: pomiędzy kinem naukowym a eksperymentalnym. Powstała z tego niepokojąca dźwiękowo-wizualna hybryda, skonstruowana z archiwalnych zasobów łódzkiej Wytwórni Filmów Oświatowych. Dalekie echa „Hiroszimy, mojej miłości” Alana Resnais spotykają się tutaj z poetyką *science fiction*, a czysto sensualny odbiór z medytacją na temat życia i śmierci tudzież granic ludzkiego poznania.

10. „ULA”, reż. Agnieszka Iwańska

Aż dziwne, że dotychczas nie powstał o niej film. Bo Urszula Dudziak to nie tylko mistrzyni jazzowych wokaliz i spełnienie *American dream*. To także kobieta mocno zahartowana przez życie, z biografią Kopciuszka, który udowodnił, że potrafi być królową balu nawet bez złotych pantofelków i bez księcia. Ów temperament artystki wyraźnie czuje się na ekranie. Ze swadą prowadzi pierwszoosobową narrację, a ilustracją są w dużej mierze archiwalia, pochodzące z kilku dekad XX wieku i powstałe po obu stronach oceanu. Schowana za nimi współtwórczyni przebojowej „Papai” dokonuje inwentaryzacji osobistych osiągnięć i strat. Muzyka, macierzyństwo, marzenia, miłość, doświadczenia emigracji – po obejrzeniu tego dokumentu inaczej będziemy słuchać jej rozwibrowanego głosu.

© ANITA PIOTROWSKA



63. Krakowski Festiwal Filmowy
trwa w kinach od 28 maja do 4 czerwca
oraz online dla widzów z całej Polski
od 2 do 18 czerwca 2023 r.

OLGA

Drenda:

Więcej niż jedno zwierzę



Najpowszechniejsi przedstawiciele fauny w Polsce to pewien owad w kropki i pewien zielony płaz. Nie brakuje ich w miastach, a ostatnio również i na wsiach – pod tym względem są zdecydowanie gatunkami dominującymi. To jednak symboliczna zwierzyna świata handlu – a ta żywa, wielogatunkowa, zamieszkująca pola, rzeki, bagna i osiedla, stopniowo ubożeje. Coraz trudniej kochać wróbelka (do jasnej cholery), bo tym pospolitym niegdyś ptakom nie sprzyja traktowane agresywną chemią i betonem środowisko. Żyją żabę, nie taką, u której kupuje się hot-dogi, również rzadziej widzujemy. W tych nieprzyjnych warunkach najlepiej radzą sobie zwierzęta bezpardonowo rozpychające się w świecie skrzydłami, dziobami i odnóżami, zwierzęta przez ludzi nielubiane, wobec innych stworzeń napastliwe, głośnie, inteligentne i rozmiłowane w konsumpcji śmieci; zwierzęta wyrzutki: wrony, gołębie, szczury.

To od natury odpycha, wyobcowuje i sprawia, że niektórzy z nas wolą żyć w atrapie. Trawnik, łąka kojarzy się dziś wielu ludziom z miejscem, w którym najłatwiej spotkać kleszcza, bo jego naturalni konsumenci, czyli ropuchy, wróble, chrząszcze znikają z krajobrazu, a gospodarskie kury, wyjątkowych smakoszy kleszczy, skazano na chów przemysłowy. W świecie, w którym ludzie daremnie walczą o bezpieczeństwo i sterylność, dobrze i co-

raz lepiej mają się tylko najbardziej agresywne gatunki, bo ich naturalni przeciwnicy giną po drodze. Smutnym paradoksem współczesności jest fakt, że choć więcej niż kiedykolwiek mówi się o „życiu eko”, świadomość tego, czego ekologia jako nauka rzeczywiście dotyczy – wzajemnych zależności w przyrodzie i tego, że każdy krok pociąga za sobą szereg innych – wydaje się nikła.

Zastanawiałam się nad tym nie tylko dlatego, że nareszcie doczekaliśmy się prawdziwej wiosny, ale też z przyczyn jajecznych. Oto w centrum Warszawy wylądowało jajo, a dokładniej rzeźba dźwiękowa Joanny Rajkowskiej „Pisklę”. Przystawiając do niego ucho, możemy usłyszeć odgłosy wykluwającego się pisklaka drozda. Jajo jest zaskakujące, jajcarskie i fotogeniczne, czyli ma wszystkie cechy oczekiwane od rzeźby w przestrzeni publicznej, a jako inwestycja miasta gwarantuje również rozrywkę w postaci internetowej inby na temat tego, na co lepiej wydać pieniądze – same zalety. Element ironii wprowadza dodatkowo obecność rzeźby nawiązującej do natury na placu, który często krytykowano za niedostatek zieleni. Dowiedziawszy się o instalacji, pomyślałam: jakie jest prawdopodobieństwo, że spotkamy dość powszechnego przecież na naszym kawałku ziemi drozda we własnej okolicy? I dalej: jaka jest szansa, że go rozpoznamy – po śpiewie, którego repertuar ma wyjątkowo bogaty, czy po charakterystycznych plamkach na upierzeniu?

Na pewno nieprzypadkowo ten właśnie ptak zainspirował rzeźbę Rajkowskiej. Skorupki jaj drozda to cud natury. W języku angielskim istnieje wywodzące się od nich określenie na jasny odcień niebieskiego – *eggshell blue*. Jaśniejsze niż właśnie ta barwa oczy miał mieć adresat piosenki „Diamonds and Rust” Joan Baez, czyli nie kto inny, jak Bob Dylan. To tylko jeden z wielu śladów drozda w kulturze, zwłaszcza w USA i Kanadzie, gdzie ptak uważany jest za zwiastuna wiosny. Zaludnia amerykańską poezję, np. wiersze Emily Dickinson („Czy drozda co zdrętwiał, powrócę / Na jego uścielenie, / Na darmo żyć nie będę” – przeł. T. Pelka) i Roberta Frosta – przy czym tam jest to drozd wędrowny (*american robin*), a nie ten, który metaforycznie zniósł jajo w Warszawie, czyli drozd śpiewak (*song thrush*). Tego woleli dla odmiany poeci angielscy, jak Robert Browning („to mądry drozd śpiewem nas wzrusza / Po dwa razy – nie powiesz, że się gubi w śpiewie, / I jak odtworzyć dawną swą melodię nie wie” – przeł. W. J. Darasz).

Jeśli zapomnimy albo nie dowiemy się, jak śpiewają poszczególne ptaki, osłabnie nie tylko nasza więź z przyrodą, ale staniemy się bardziej wyobcowani z własnej, ludzkiej kultury. Przestaniemy rozumieć np. wspomniane odniesienia w wierszach, ale też muzykę Vivaldiego czy Beethovena. „A jeżeli nie ma podszewki świata? / Jeżeli drozda na gałęzi nie jest wcale znakiem / Tylko drozdem na gałęzi” – pytał w wierszu Czesław Miłosz. Być może są okoliczności, w których drozd może być znakiem albo wskazówką, by rozglądać się i słuchać uważniej.

©

Wrogowie
kleszczy
na warcie.



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Bravo: Pożytki z lufcika



OSIEMDZIESIĄT PARĘ PROCENT POLSKICH GOSPODARSTW DOMOWYCH GOTUJE NA GAZIE. W tym gospodarstwo waszego uniżonego felietonowego sługi, który – co już zostało opisane na łamach tej rubryczki – pędząc życie nieco koczownicze, za każdym razem,

gdy szuka nowego lokum, upewnia się, czy aby na pewno będzie tam kuchenka z błękitnym płomykiem. Trochę z przyczyn racjonalnych – inżynier Bialetti zbudował w latach 30. swoją niemożliwą do prześcignięcia maszynkę do kawy ze zwykłego aluminium i teraz wymiana jej na wersję z odpowiednio spreparowanym pod kątem indukcji dnem to jednak spory wydatek.

Trochę zaś z powodu atawistycznego przywiązania do ognia, do tego widomego i groźnego znaku, że każdy posiłek, choćby to było jajko na twardo posypane solą, jest wynikiem ryzykownej gry z okiełznanym żywiołem. Z tego przecież powodu, a nie z zamiłowania do towarzystwa podpitych ludzi na zafajdanym chodniku, staję niekiedy w kolejce przed błękitną nyską przy krakowskiej Hali Targowej. Kiełbasa jest, owszem całkiem smaczna, ale to, co odróżnia tę jedyną w polskim street foodzie placówkę od tysięcy innych grilli i rożnów, to nie jakość masarskiej roboty, lecz żywy, wysoki ogień z płonących polan, wwiercający się w głąb mózgowego ośrodka nagrody syk płomienia, a także swąd, który przywraca na moment lekkość pozalekcyjnej dziecinady przy ognisku z patyków.

Dym unoszący się nad płonącym drewnem to koktajl nie tylko przydatnych w wędzeniu aromatów, ale też szkodliwych substancji – tu chyba nie ma między nami sporu. W porównaniu z nim „bezdymny” metan z miejskiej rury był dotąd potocznie uważany za bardzo czyste źródło ognia. Każdy pamięta z podstawówki najprostsze z szeregu równań chemii organicznej – CH_4 plus O_2 daje samą parę wodną i nieszkodliwy dwutlenek węgla (o ile założymy swobodny dopływ tlenu).

Równania chemiczne są jednak proste tylko w zeszyście do ósmej klasy, w życiu realnym kuchenka gazowa generuje m.in. tlenki azotu – te same, których stężenie na ulicy podają nam komunikaty smogowe. I które odpowiadają za wiele problemów oddechowych, np. sprzyjają astmie. Jak głosiły szeroko rozpowszechniane zeszłej zimy wyniki badań z USA, przy zwykłym gotowaniu obiadu w kuchni zostają przekroczone obowiązujące na zewnątrz normy skażenia (norm dla pomieszczeń nikt dotąd nie ustanawiał). Podchwycony przez media raport pochodził z naukowego czasopisma. Tyle jednak, że posłużył jako podkładka do manipulacji, bo nikt w redakcjach nie dociekał, jak wyglądały pomieszczenia i urządzenia użyte w badaniach, czy był tam uchylony lufcik i wyciąg, rzecz raczej oczywista w domowej kuchni. Powołani przez media eksperci radzili, co zrobić, jeśli nie da się ot tak zmienić kuchenki – bo np. stara instalacja elektryczna nie uniesie kilowatów wymaganych do podłączenia indukcji. Najważniejsza rada to oczywiście: wietrzyć. Ale ile wietrzenia zapewnia niezbędne dla zdrowia minimum? Jaki przepływ powietrza przy jakiej kubaturze realnie

uchroni nas przed astmą? Tego żaden ekspert nie próbował symulować, wygodniej ludzi zostawić z mglistym strachem.

W kontekście amerykańskim ma on szczególne znaczenie, bo wiele miast – ostatnio także cały stan Nowy Jork – uchwała, w ramach działań na rzecz klimatu, zakaz przyłączania nowych budynków do sieci gazowej. Wybuchła łatwa do przewidzenia partyjna awantura („najpierw lewacy zabrali nam żarówki, teraz odbierają samochody, jutro przyjdą po nasze kuchenki”), ale proces będzie się powoli toczył, zwłaszcza że tam tylko jedna trzecia gospodarstw gotuje i ogrzewa się gazem (i, co paradoksalne, w raczej lewicowych stanach). W Polsce nowe budynki rzadko mają przyłącza gazowe, ale tych starych, w większości podpiętych pod gaz, nikt na razie nie myśli elektryfikować na siłę, nawet wśród unijnych klimatycznych prymusów się na to nie zanoś. Dlatego, pocieszam się, momentalny wysyp tekstów na ten temat w Polsce był tylko krecią robotą którejś z agencji pracujących dla producentów drogich sprzętów kuchennych. Widać było zresztą z daleka, że prawie wszystkie wyszły spod jednej sztancy. Tymczasem nie dajmy się zwariować i otwierajmy szeroko lufcik, co z pewnością robicie. Nie powiecie mi chyba, że wasza rodzina nie każe wam wietrzyć, kiedy gotujecie kalafiora?! ©



Można teraz, kiedy młody, tego kalafiora wcale nie gotować – odcinamy drobne różyczki, te większe dzielimy i mamy surowiec do miłych sałatek. Najlepiej, kiedy zmacerujemy go przed podaniem w jakimś podkreślonym smakowo winegrecie. Łączymy oliwę z sokiem z cytryny (w kanonicznej proporcji 3:1, ale ja czasem lubię nieco kwaśniej, 2:1), dodajemy parę filecików anchois, mieszamy tak, by się całkiem rozpadły. Tak przygotowanym sosem zalewamy rozdrobnionego kalafiora, do którego dodaliśmy kawałki tuńczyka z puszek, garść opłukanych z soli kaparów i garść greckich czarnych oliwek. Można też surowego kalafiora zetrzeć na grubej tarce i połączyć ze startą młodą marchewką, drobno posiekanymi suszonymi pomidorami, czerwoną papryką, do tego sporo siekanej natki, oliwki i na koniec winegret.



LUIGI GIORDANO / ADOBE STOCK

ZNÓW TU SĄ

Aby się przyjęły na wolności, musieli wypuścić ich jak najwięcej, w jak najkrótszym czasie. To było wyzwanie. Bo skąd wziąć rysie, których brakuje w całej Europie?

KRZYSZTOF STORY



NAJPOTĘŻNIEJSZY JEST GŁOS. MOŻE DLATEGO, ŻE CAŁĄ RESZTĘ znamy z podręczników do przyrody i tablic przy leśnych ścieżkach edukacyjnych. Tytuł w rodzaju: „Rys. Największy polski kot” – i zdjęcie. Masywne łapy, krótki ogon i piękne pędzelki sierści nad uszami wydają się na nich oswojone, niemal pocztówkowe. O głosie nikt nie ostrzega – a to dzikość w czystej postaci. Rwany, charczący dźwięk, bez żadnej melodii, który można opisać jako absolutne przeciwieństwo miauczenia kotów domowych. Nie bez powodu mówi się, że rysie szczekają.

Zły byłem, bo obudził mnie w środku nocy. W namiocie rozbitym za świetlicą wiejską w Ginawie, zachodniopomorskiej wsi ze 185 mieszkańcami, odpoczywałem po całym dniu wędrówki przez Iński Park Krajobrazowy. Po omacku znalazłem telefon i wysłałem wiadomość: „Czy któryś z »waszych« rysi mógł być dzisiaj o 3 rano w okolicy Ginawy?”. Odpowiedź przyszła nad ranem: „Możliwe. To rewir jednego z samców”. Pisała Malwina Kujawa-Strejz z Zachodniopomorskiego Towarzystwa Przyrodniczego.

„Możliwe”. Cały poranek cieszyłem się tym jednym słowem. Wcześniej ostatni moment, kiedy spotkanie rysia w zachodniej Polsce było „możliwe”, wydarzył się ponad dwieście lat temu. Dziś to właśnie tu, na Pomorzu Zachodnim, żyje jedna z największych populacji tego drapieżnika.

Powrót

Reintrodukcja rysia na te tereny to efekt kilku lat pracy zespołu, do którego należy Malwina. Spotykamy się w siedzibie towarzystwa w Jabłonowie koło Mirosławca. Kilkadziesiąt metrów od przecinającej region drogi krajowej nr 10 stoją: biuro, ekspozycja edukacyjna i zagrody pokazowe. Żyje w nich kilka żubrów i rysi, które z różnych powodów nie mogą już zostać wypuszczone na wolność albo właśnie na to czekają. Od 2017 r. towarzystwo prowadzi tutaj program reintrodukcji rysia. W ciągu sześciu lat wypuścili na wolność 75 tych kotów.

– Od lat zajmowaliśmy się i nadal zajmujemy żubrami. Myśleliśmy jednak o kolejnych gatunkach – mówi Maciej Tracz z ZTP. On i jego żona Magdalena są inicjatorami projektu. Pasję do przyrody Maciej przejął od rodziców, Magda jest z wykształcenia chemiką. Razem fascynowali się ornitologią, pracowali w Ińskim Parku Krajobrazowym.

– Dzisiaj w całej Polsce żyje sto pięćdziesiąt, może dwieście rysi – wylicza Maciej. – To tyle co, *nomen omen*, kot napłakał. Jakby nie było ich w ogóle. Postanowiliśmy spróbować przywrócić je tutaj, bo naszym zdaniem teren nadaje się idealnie.

– Sarny, jelenie, łosie i żubry już mamy, wilki świetnie radzą sobie bez pomocy człowieka. Niedźwiedzie na Pomorzu to jednak abstrakcja, choć i takie pomysły przychodziły nam do głowy – dodaje Magda Tracz. – Został rys.

Historie europejskich wilków i rysi mają wiele punktów wspólnych. Obydwa gatunki do początku XIX w. zamieszkiwały cały kontynent. Później przez dwa stulecia były tępione – widzieliśmy w nich albo szkodniki, albo źródło skór i myśliwskich trofeów. Gdy w 1995 r. Polska wpisała rysie na listę zwierząt chronionych, koty te żyły tylko we wschodniej części kraju – głównie w Białowieży i Karpatach. Podob-

nie było z wilkami, tylko że te szybko same nadrobiły straty, w niespełna 20 lat wróciły do całej zachodniej Polski. Rysiom jest trudniej, choćby ze względu na mniejszą dzietność (wilczyca rodzi nawet dziesięć młodych, u rysi cztery w jednym miocie to już rzadkość), ale też mniejszą skłonność do dalekich wędrówek. W całej Europie żyje nie więcej niż 10 tys. tych kotów.

Szansą dla rysia – i innych gatunków – są właśnie projekty reintrodukcji na kolejnych obszarach. To takim pomysłem zawdzięczamy istnienie dzikich żubrów, okazałą populację bobrów w Polsce i rysie w Puszczech Kampinoskiej i Piskiej. To pomysły realizowane prawie wyłącznie przez pasjonatów (którzy tylko czasami bywają naukowcami). Odtworzenie gatunku wymaga ogromnej pracy, zwłaszcza przez kilka pierwszych lat. Znalezienie i przebadanie odpowiedniego dla danego gatunku środowiska, pozyskanie pieniędzy i wreszcie... zwierząt.

Maciej wspomina: – Pamiętam najważniejszą radę, jaką dostaliśmy na początku. Jeśli to ma się udać, musicie wypuścić na wolność jak najwięcej kotów, w jak najkrótszym czasie. Inaczej zwierzęta zaczną migrować, rozejdą się w poszukiwaniu partnerów, część wymrze i cała praca na nic.

To było największe wyzwanie. Skąd wziąć rysie, których brakuje w całej Europie?

Połowanie

Jedynym rozwiązaniem okazały się koty żyjące w niewoli. Starszyzna zachodniopomorskich rysiów (bo w lasach dorasta już drugie i trzecie urodzone na wolności pokolenie) pochodzi głównie z niemieckich ośrodków hodowli i zagród pokazowych. Wszystkie przeszły długą drogę do dzikości.

Zaczyna się ona od garści kłaków. Ta z Niemiec jedzie na Podlasie, gdzie prof. Mirosław Ratkiewicz z Uniwersytetu w Białymstoku robi badania genetyczne. Kandydat na dzikiego rysia nie może genetycznie odbiegać od tzw. populacji bałtyckiej. Zakaz krzyżowania zupełnie różnych populacji, nawet w obrębie tego samego gatunku, to standardowy wymóg przy takich projektach. Z drugiej strony dobrze, jeśli zwierzęta przyjeżdżają z różnych ośrodków i nie są ze sobą blisko spokrewnione – w przyrodzie chów wsobny nigdy nie wróży nic dobrego.

Jeśli geny się zgadzają, ryś może przyjechać na Pomorze. W podróż wyrusza najczęściej przed pierwszymi urodzinami, bo właśnie wtedy młode naturalnie odłączają się od matki. Potem jego lub ją czekają kwarantanna, szczepienia i badania lekarskie. Wszystko to odbywa się w zagrodach adaptacyjnych w Dłusku. Ukryte w środku lasu i ogrodzone trzymetrowym płotem wybiegi to najważniejszy przystanek na drodze do wolności. Tutaj kot z zoo zamienia się w normalnego drapieżnika. Każdy w swoim tempie.

– Niestety, najważniejsza lekcja, którą ryś musi przyswoić, brzmi: człowiek jest zły i trzeba go unikać. Omijać z daleka wsie, śmietniki, grzybiarzy, dla własnego bezpieczeństwa – mówi Maciej Tracz. – Każde zwierzę jest inne. Już odbierając kota często widzę, jak dużo pracy nas czeka. Zawsze pytam, jak ma na imię. I najbardziej cieszę się, gdy słyszę, że nie ma imienia, tylko numer. Bo to znaczy, że nie było zbyt dużego kontaktu. Że prawdopodobnie żaden opiekun nie karmił go

→ z butelki ani nie spał z tym rysiem w łóżku, bo i taki przypadek mieliśmy.

Większość rysi dziczeje w tygodnie, ale niektórym potrzeba więcej czasu. Strachu przed ludźmi nie wymusza się tu żadną pręmością fizyczną, wystarczy hałas, nieźle sprawdza się też rzucanie śnieżkami, ale to i tak najmniej przyjemna część całego procesu. Niestety bez tej lekcji zwierzęta miałyby znacznie mniejsze szanse na przetrwanie. Ze wszystkim innym, poza ludźmi i świerzbowcem, radzą sobie świetnie. Rysi, nawet urodzonych w niewoli, nie trzeba uczyć polować. Potrafią to doskonale.

Maciej: – Pamiętam naszego pierwszego rysia. Był grudeń, na zewnątrz taki zamróz cholerny, aż zęby dzwonią. Wyłożyliśmy mu w zagrodzie mięso, cały bufet miał, ale nawet nie spojrzał. Minął tydzień, nic. Drugi, nic. Po trzecim stwierdziłem, że jeśli chce umrzeć, niech umrze na wolności. Kiedy go złapaliśmy do transportu, dotknąłem brzucha, a tam fałda tłuszczu! Okazało się, że jechał na myszach. Wypuściliśmy go, na trzeci dzień upolował samę. Żyje do dzisiaj, ma się świetnie.

Narodziny

Skąd przyrodnicy znają dalsze losy kotów? To proste: rysie piszą do nich SMS-y. Przed wypuszczeniem każdy dostaje obrozę z nadajnikiem GPS, która co trzy godziny rejestruje lokalizację. Urządzenie nie może przekraczać 3 proc. masy ciała zwierzęcia. W przypadku żubrów to nie problem, bo jak śmieje się Maciej, można by takiemu wiadro na szyi powiesić, ale dla rysi nie używają obroży cięższych niż 320 gramów. Bateria wytrzymuje półtora roku (u żubrów nawet pięć lat).

– Bardzo się staramy przed upływem czasu odłowić rysia i wymienić obrozę – mówi Malwina. – Inaczej natychmiast tracimy go z radaru i możemy się nigdy więcej nie zobaczyć.

Nie bez powodu ryś jest nazywany „duchem puszczy”. Nie ma w Polsce drugiego tak skrytego, nieuchwytnego drapieżnika. Aktywny głównie nocą, lubiący gęste lasy, prowadzący samotniczy tryb życia – spotkanie z rysiem jest jak wygrany los na loterii. Dzięki Zachodniopomorskiemu Towarzystwu Przyrodniczemu powstał największy zbiór danych telemetrycznych na temat rysi w historii polskiej nauki. Pierwsze raporty na ich podstawie powstały w Instytucie Biologii Ssaków w Białowieży.

Rozmawiam z ich autorem, dr. hab. Tomaszem Borowikiem: – Największym zaskoczeniem było to, jak dobrze rysie wychowane w niewoli zaadaptowały się do życia tutaj. Oczywiście mają sporą śmiertelność, ale to naturalne dla populacji zajmującej nowy teren. I jeszcze jedna ciekawa rzecz: aktywność kotów była największa w ekotonach, czyli obszarach łączących różne ekosystemy. Na przykład na granicy lasu – mówi badacz.

Nie bez powodu ryś jest nazywany „duchem puszczy”.

Nie ma w Polsce drugiego tak skrytego i nieuchwytnego drapieżnika. Aktywny jest głównie nocą, prowadzi samotniczy tryb życia. Spotkanie z rysiem jest jak wygrany los na loterii.

Przez lata przyjmowało się, że ryś niczego nie kocha tak bardzo jak gęstej puszczy, w której może niezauważony podejść do ofiary na odległość jednego porządnego susa. Można było jeszcze dodać ironiczny komentarz, że ryś, jak to kot, jest po prostu wybredny. Że na granicy lasu odwraca się na pięcie, bo nie umie polować na otwartym terenie, a młode musi wychowywać w idealnie osłoniętej kryjówce. Dzisiaj, także dzięki danym z Pomorza Zachodniego, widać, że prawda jest bardziej skomplikowana.

Malwina odwraca ekran komputera w swoją stronę. Film ma półtorej minuty i jest nagrany kamerą termowizyjną. Pochyłony do ziemi ryś skrada się w stronę trzech pasących się saren. Każdy mięsień w ciele napięty, wzrok czujnie wbity w cel, założył się, że krok jest idealnie bezgłośny. Gdy jest już blisko, robi trzy dłuższe skoki, jakby od niechcenia, w zwolnionym tempie. Mimo to polowanie jest udane. Wszystko dzieje się na zaorany po horyzont polu, bez najmniejszej nawet osłony.

– Tak szeroko zakrojona telemetria daje olbrzymie możliwości – mówi Tomasz Borowik. – Dla mnie była źródłem danych do analizy, ale gdy spotkałem się z zespołem ZTP na konferencji, zobaczyłem też drugą stronę lustra. Dzięki tym obrotom i godzinom spędzonym w lesie oni mogą bardzo często obserwować te zwierzęta i ich zachowania.

Dostęp do tej drugiej strony nie jest łatwy. Fotograf Laurent Geslin przez dziewięć lat pracował nad filmem dokumentalnym „Ryś. Król puszczy” o kotach żyjących w szwajcarskiej Jurze. W Jabłonowie po sześciu latach projektu reintrodukcji można usłyszeć podobną opowieść. Rysie wymykają się w niej schematom, a wielu rzeczy po prostu o nich nie wiemy. Samotniczy tryb życia? Najczęściej tak, ale Maciej, Magda i Malwina pokazują mi też nagrania, jak młody samiec rysia po wypadku drogowym jest wspierany przez swoją mamę i siostrę. Dane lokalizacyjne, które pokazują, że syn z poprzedniego roku pomagał matce wychować dzieci. Że terytoria dwóch samców mogą nakładać się na siebie nawet w 25 proc.

Na dłuższą chwilę zatrzymuję się przy tabeli z narodzinami rysi na wolności (przyrodnicy wiedzą o nich tylko, jeśli mama miała obrozę). Rysie, jak większość kotów, marcuja, a ciąża trwa dziesięć tygodni, więc młode przychodzą na świat głównie od połowy maja do początku czerwca. W tabeli najbardziej interesuje mnie kolumna „miejsce narodzin”. Jest jak krótka opowieść z rysiego życia. „Ogromna sterta gałęzi na skraju lasu; pod starym przewróconym drzewem w kępie śródpolnej; kępa turzyc na morenie pomiędzy doliną Noteci a polami uprawnymi; składowisko słomy w dawnym budynku PGR na uboczu wsi; w środku spróchniałej kłody obrośniętej jeżynami między ogrodzoną uprawą leśną a polem; stary opuszczony budynek gospodarczy”.

Koło wielu z tych miejsc ludzie przechodzą codziennie. Rysia zobaczają nieliczni.



Przyrodnicy (od lewej: Marcin Grzegórzek i Maciej Tracz) wypuszczają na wolność rysia po okresie adaptacji. Dla kota moment od opuszczenia zagrody do pierwszego udanego polowania i znalezienia swojego terytorium jest kluczowy. Nadleśnictwo Drawno, marzec 2023 r.

Spojrzenie

Do tej pory zespół ZTP wypuścił na wolność 75 rysi: 29 samic i 46 samców. Kolejne kilkadziesiąt urodziło się już w pomorskich lasach. Dwa przeszły do Niemiec, jeden do Czech (to kilkaset kilometrów), inny dotarł aż pod Terespol. Niestety 29 rysi zmarło – największe zagrożenia to wypadki drogowe, zarażenie świerzbowcem i kłusownictwo. W 2022 r. potwierdzono informacje o trzech zabitych rysiach. Jedna samica osierociła troje kociąt, zbyt małych, by przeżyły bez matki. Jeszcze większą skalę ma kłusownictwo na żubrach, którymi też opiekuje się i monitoruje ZTP.

– W zeszłym roku „leciał” nam żubr za żubrem, myślę, że na przestrzeni lat parędziesiąt zwierząt zostało zabitych – denerwuje się Maciej Tracz. – Dokładnej liczby nigdy nie poznamy, nie wszystko znajdziemy, a czasami nagle ginie nam bez wieści sygnał z obroży i tyle. Często wszyscy wiedzą, kto strzelił, ale krzywda nie dzieje się nikomu poza zwierzęciem, policja jest bezradna. Ciężko tu cokolwiek powiedzieć, tak żeby nadawało się do druku. Może tylko tyle: kłusownikiem nazwałbym kogoś, kto nielegalnie poluje na zwierzęta łowne. Jeśli ktoś strzela do chronionego, bardzo rzadkiego gatunku, to nie jest żaden kłusownik, tylko zwykły bandyta.

Znajdowanie w lesie podziurawionych śrutem zwierząt to najtrudniejsze momenty w pracy zespołu ZTP. Pytam o te najlepsze: – Kiedy budzisz się rano i na telefonie widzisz, że w nocy żubr albo ryś przeszedł koło twojego domu. I masz poczucie, że trochę dzięki tobie coś żyje, coś jest. A mogłoby nie być – mówi Tracz.

Obecny projekt reintrodukcji rysia już się skończył. Teraz ZTP stara się o nowy grant z unijnego programu LIFE. Dzięki temu udało by się rozszerzyć teren działania i kontynuować pracę na Pomorzu, bo przyszłość tej populacji rysia wcale jeszcze nie jest pewna. Kotów nadal nie jest na tyle dużo, by być spokojnym. Cały czas trzeba też uważać na potencjalne konflikty między zwierzętami a ludźmi. To istotne zwłaszcza przy pracy z żubrami, które potrafią spowodować spore straty na polach, ale i rysiom zdarza się nie odróżnić dzikiego daniela od daniela z prywatnej hodowli. ZTP na takie okazje prowadzi pogotowie żubrowe i rysiowe.

Wkrótce żegnam się z małżeństwem Traczów i idę jeszcze na spacer do zagrody z Malwiną Kujawą-Strejk i Roksaną Czerniawską. Wchodzimy na wybieg będący domem dla dwóch kotów. Jeden jest w kacie zajęty obiadem. Drugi podchodzi bliżej. Zatrzymuje się dwa metry ode mnie, aż trudno wytrzymać to spojrzenie. Od nosa ku policzkom biegą trzy rzędy czarnych cętek. Wyrastają z nich długie, białe włosy, zwane wibrysami, które są dla rysia przedłużeniem zmysłu dotyku. Rysica odwraca się i idzie w swoją stronę. Jest w niej jakaś siła, pierwotność, nawet wilki tego nie mają. W mięśniach jej łap, w niewidocznych teraz pazurach, w wygięciu grzbietu kryje się coś, czego nigdy nie będziemy w stanie okiełznać, skontrolować.

Można się tylko cieszyć, że jest.

© KRZYSZTOF STORY

STANISŁAW

Mancewicz:

Od malucha do starszaka



JEST TO SPOSTRZEŻENIE Z GATUNKU TYCH wybijających myśl człowieczą z ułożonych od dawien dawna torów przyzywczażeń. Myśl owa ukazuje, że posługiwanie się stereotypami prowadzi wprost na kanapę stojącą tuż obok ciepłego pieca,

ku sofie, gdzie czeka pled i leżą miękkie, pachnące, wielkie poduchy, którymi jakże chętnie głośzymy turkot toczącej się rzeczywistości.

Otóż spostrzeżenie to parę dni temu przeskoczyło oślepiając błyskawicą przez nasze sterane życiem synapsy. A każdy, kto teraz przeczyta grackie streszczenie tej pięknej myśli, przyzna, że niczego lepszego w ostatnich latach w prasie polskiej nie przeczytał.

Każdy z nas, jak tu ponuro siedzimy, używa takich oto weszłych do polszczyzny sformułowań: „Jak z »Misia«”, „jak z Barei”, „jak za Peerelu”, „jak za Gomułki”, „za Gierka” i tak dalej, i tak dalej. Wiadomo. Pod tymi słowami, tworzącymi jasny dla każdego przekaz, znajdujemy zawsze to samo – że mamy akurat do czynienia z absurdem, z idiotyzmem, czasem zaś z idiotyczną brzydotą. Tak, absurd, idiotyzm i idiotyczna brzydota to słowa kluczowe, bo Polska Rzeczpospolita Ludowa jawi się nam jako twór absurdalny, idiotyczny i idiotycznie brzydki z wyjątkami. Twór zbudowany przemocą przez czerwonego, przez czerwonego przemocą wymyślony. Popatrzmy na te słuszne w każdym calu refleksje. Mogłyby one natychmiast, bez skrótów i przeróbek dowolnego pisowskiego pisarza, znaleźć się w dowolnym podręczniku polskich doktryn, obsługującym intelektualnie wszystkie polskie grupy wiekowe i umysłowe, tzn. od

maluchów, poprzez średniaków, do jakże zasłużonych starszaków. Trzeba tu koniecznie dodać, iż fundamentem wszystkich tych doktryn jest niepodważalne założenie, że Polak był w tym brzydkim i absurdalnym dziele wyłącznie ofiarą. Był niewinny. Przeszedł on przed dekady peerelowizny ubrany na białą, trzymając w lewej ręce lilie, w prawej zaś tom pt. „Myśli nowoczesnego Polaka” autorstwa Romana Dmowskiego. Bądź jakąś inną książkę z tego gatunku, słusznie rozprawiającą się z bolszewizmem i obcymi miazmatami. A więc to obca doktryna, narzucona siłą przez obcych – zamieniła ojczyznę naszą na pół wieku w kraj absurdu, groteski i brzydkich krajobrazów. Każde dziecko w Polsce to wie, a jak nie wie, to ma wiedzieć, a jak nie chce wiedzieć, to niech sobie takie dziecko wyjedzie, najlepiej do Izraela.

A więc – utrwalmy sobie: absurd, nonsens, groteska i brzydki krajobraz. To Peerel. Ale Peerelu – popatrzmy – już nie ma. Dla jednych od ponad trzech dekad, dla innych od niedawna, odkąd krajem włada niepodzielnie Jarosław Kaczyński. Nie ma Peerelu i już. Nie ma też ani obcych, ani czerwonych, znakomita bowiem ich większość albo umarła, albo zapisała się do PiS-u. Był na to czas, przez lata – za przeproszeniem – przewartościowań. I oto mimo tych peerelowskich braków, niebicia Gomułki i Gierka, absurd jest szokująco obecny i żywy. Nonsens goni nonsens, a brzydota jest, zdaje się, brzydsza niż dawniej. Wystarczy posłuchać prezydenta, gdy mówi, zwłaszcza o sobie, gdy dzieli się życiowymi mądrościami, można w zdumieniu długo patrzeć na lewitującego premiera albo na dziwnie definiującego świat Gospodarza, albo na jego ministrów od zagranicy, kultury i od wojny, a zwłaszcza od edukacji. Oni wszyscy są jak z „Misia”? Są żywcem wyjęci z Peerelu? Wydlubani z szerokiego kadru, na którym widać tańczących Władysława Gomułkę i Mieczysława Moczarę? Owszem. Ale w takim właśnie patrzeniu tkwi błąd stereotypu. Zasadniczy. Tu i teraz znajdujemy ów błysk reklamowanego na początku spostrzeżenia: do budowy absurdu, nonsensu, do kreacji groteskowych bądź brzydkich krajobrazów nie był potrzebny komunizm ani komunista, ani żaden, broń Boże, obcy. Zawsze wystarczył i wciąż wystarczy, po prostu, zespół składający się z tutejszych, swojskich i szczerých obywateli. Od malucha, poprzez średniaka, do starszaka. Kropka. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

NOWA KSIĄŻKA NASZEGO DUSZPASTERZA

**Wybór tekstów
ks. Adama Bonieckiego,**

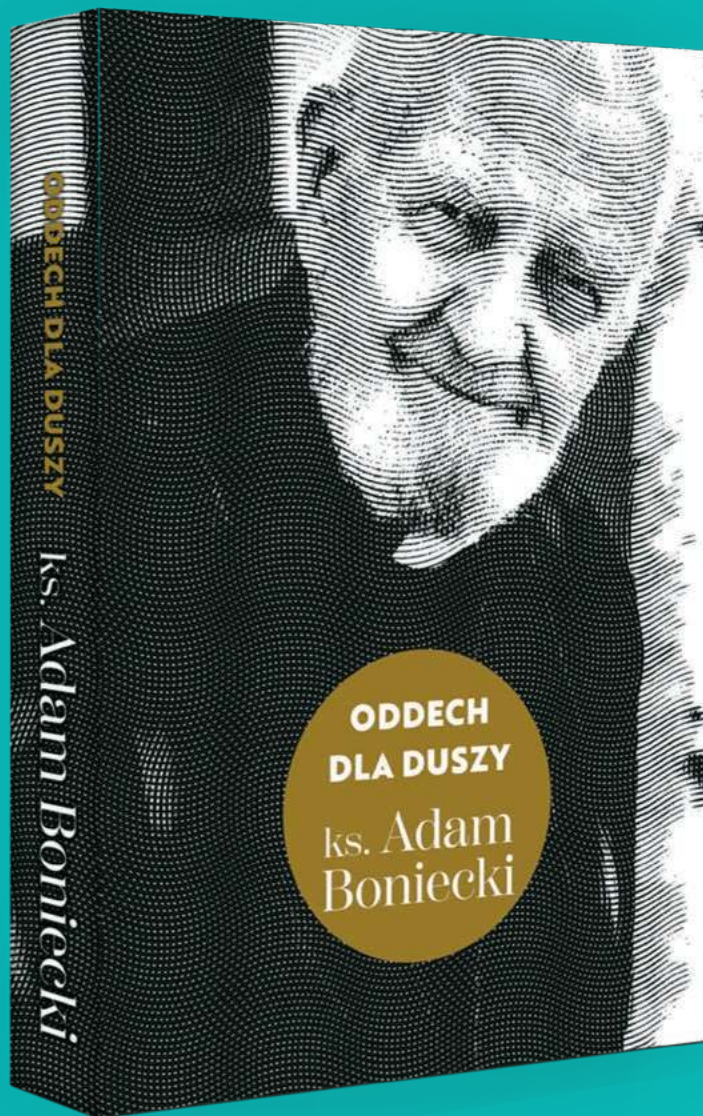
tych publikowanych –
ale również
nowych impresji
i wspomnień.

Co je łączy?

Uważność. Optymizm.
Spokój. Nadzieja.

**PRZEDSPRZEDAŻ NA
VIVELO.PL**

**PREMIERA W KSIĘGARNIACH
14 CZERWCA 2023**



WYDAWCA



vivelo.pl

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

PARTNERZY WYDANIA

„Tygodnik Powszechny” dziękuje swoim partnerom i dobroczyńcom za pomoc przy wydaniu książki – **Miastu Kraków, Miastu Gdańsk**, firmom **Orange Polska** i **Santander Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych S.A.**, **Stowarzyszeniu Autorów ZAiKS** oraz **Polskiej Radzie Biznesu**.

 **Kraków**



 **Santander**
Fundusze Inwestycyjne

za'ks
sprzyjamy wyobraźni

 **Polska
Rada
Biznesu**

**Książka lub e-book w promocyjnej cenie
TYLKO w księgarni Vivelo.pl**

**Zamówienia hurtowe oraz indywidualne,
współpraca, spotkania autorskie:
zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**

25.
MAŁOPOLSKIE

DNI DZIE DZIC TWA

KULTUROWEGO

ORNAMENT



**3-4,
10-11
i 17-18
CZERWCA 2023**

WSTĘP WOLNY

dniedzictwa.pl

Organizator:

małopolski
instytut
kultury

mik

INSTYTUCJA KULTURY
WOJEWÓDZTWA
MAŁOPOLSKIEGO


MAŁOPOLSKA